

HEATHER GRAMAM

PORTRET ZABOJCY

PROLOG

Noc. Spojrzała na mroczny pokój, nagle świadoma, gdzie jest. Gdzie i z kim. Umysł ożył, próbując rozpaczliwie odtworzyć wypadki z ostatnich kilku godzin. Nadaremnie, bo w głowie, oprócz pustki, tylko jeden fakt. Dała się podejść, ona, zawsze taka czujna, przezorna, zważająca na każdy krok.

Ciemność i cisza, słysząc tylko głęboki, miarowy oddech. Mężczyzna śpi.

Nie ma czasu na zastanawianie się. Nieważne, co zrobiła, jaką granicę pozwoliła sobie przekroczyć. Nie ma czasu na żadne analizy, na choćby jedną myśl.

Uciekać.

Jak najostrożniej przekręciła się na bok. Zsunęła się z łóżka i ubrała, prawie bezszelestnie.

- Wychodzisz?

Odwróciła się, dobrze widoczna w srebrzystej

smudze księżycowego światła. Mężczyzna już nie spał. Leżał na boku, oparty na łokciu i patrzył.

- Ach! Cóż to była za noc! - rzuciła wesoło, przysiadając na brzegu łóżka. Pochyliła się, musnęła wargami czoło mężczyzny. - Nic dziwnego, że teraz mam ochotę na lody. I na kawę. Tak, koniecznie muszę napić się kawy.

- Lody znajdziesz w zamrażalniku. Z kawą nie będzie problemu.

- Ale ja mam ochotę na coś specjalnego! „U Denny'ego pojawił się podobno jakiś nowy rodzaj lodów, słyszałam, że są przepyszne. Na pewno jeszcze nie zamknęli, zresztą, jak nie tam, można zajrzeć gdzie indziej. A poza tym, szczerze mówiąc, wolałabym już zniknąć. Czuję się tu trochę niezręcznie.

Wstała i wsunawszy stopy w pantofle, sięgnęła po torbę.

Dlaczego ta torba zrobiła się raptem taka lekka...

- Bardzo mi przykro. Nigdzie nie pójdziesz.

Głos miał spokojny, ruchy też, kiedy podnosił się z łóżka.

- Ale ja naprawdę marzę o lodach...

Na jego twarzy ani cienia gniewu, raczej coś podobnego do smutku.

- Nie kłam. Ja wiem, po co naprawdę tu przysłałaś. Dlatego już stąd nie odejdziesz.

Leciuteńko dotknęła palcami chłodnej skóry torby.

- Nie ma bronii - powiedział tym samym spokojnym, równym głosem.

Zrobił drugi krok, drugi krok w jej kierunku.

A w dużej brązowej torbie nie ma broni. Ten fakt napełnił ją przerażeniem.

- Co masz zamiar ze mną zrobić?

- Ja? Ja nie chcę cię skrzywdzić, dobrze o tym wiesz.

On nie chce jej skrzywdzić... Sukinsyn. On chce zabić.

Chwyliła za torbę, która, choć pusta, mogła posłużyć jako broń. Zamachnęła się, walnęła go w głowę, prawie jednocześnie robiąc jeden szybki krok do przodu. Teraz kolaniem, z całej siły, w najczulsze miejsce.

Słyszała, jak dziwnie sapnął. I zgiął się w pół.

Wybiegła z sypialni, do dużego pokoju od frontu. Wyjście, gdzie tu jest wyjście... Nie widać drzwi, jest za to jakiś człowiek, mężczyzna, tarasujący drogę. Mężczyzna, w dodatku znajomy, dlatego zamarła. Na ułamek sekundy. Wystarczyło, aby wyciągnąć oczywisty wniosek, który wszystko uporządkował.

- Ty karaluchu.

- Niech będzie i karaluch, za to na kasę teraz nie narzekam.

Instykt kazał jej działać. Uciekaj, walcz. Walcz o siebie.

Nogi zanosły ją wprost do drzwi, palce błyskawicznie poradziły sobie z zamkiem. Żadnego wycia, czyli nie ma alarmu. Jasne, przecież alarm mógłby sprowadzić...

Policję.

Chryste! Ona już wpada w histerię. A liczą się

sekundy. Z głębi domu dobiegają krzyki. Szybko, do garażu... Nie, do garażu nie. Dopadnajej, zanim zdąży uruchomić silnik. Trzeba zbiec tym długim podjazdem do drogi, z nadzieją, że komuś zachciało się wyjechać z domu jeszcze przed świtem.

Nie wiedziała, że potrafi biec tak szybko, wsłuchana we własny dziwnie chrapliwy oddech. Nie zwalnając kroku, sięgnęła do torby. Eureka! Jest komórka! Szybko, szybko. 911. Odezwij się, odezwij...

Cisza. Komórkę jej zostawili, ale wyjęli baterie.

Dotarła do drogi. Stopy miarowo uderzały o asfalt. Nic miała pojęcia, że na wsi nocą jest tak ciemno. Dorastała w mieście, tam wszędzie są światła, a tutaj...

Tutaj też. Rozbłysły nagle w ciemności, coraz większe, coraz bardziej oślepiające. Jakiś samochód nadjeżdża drogą, właśnie teraz, kiedy ona tak rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Zatrzymała się, ciężko dysząc, słaniając się na nogach. Oszołomiona faktem, że cud jednak się zdarzył.

Samochód stanął.

Rzuciła się do drzwi, za którymi majaczyła postać kierowcy.

- Chwała Bogu! Proszę, jedźmy stąd, jak naj...

Chłód stalowej lufy, tuż pod żebrem. I szept. Ten ktoś nie był nawet zadyszany.

- Gra skończona.

Przez szybę samochodu widziała twarz kierowcy, pogodną, prawie uśmiechniętą. Tę samą znajomą twarz.

Jej serce prawie przestało bić. Boże, wybacz mi

grzechy moje, i ten jeden, najcięższy. Pychę. Bo ja koniecznie sama chciałam dojść prawdy. Chciałam być sławna.

Sławna... Śmiechu warte.

Zdumiewające, że ktoś, zawsze bardzo pewny siebie, może być aż tak przerażony.

- Jedziemy.

- Zastrzel mnie. Teraz.

- Nie. A ty zrobisz, co ci każę, bo wiesz... Dopóki oddychasz, nie trać nadziei. Wszystko może się jeszcze zmienić, obrócić przeciwko mnie. Dlatego wsiadaj do samochodu, z przodu, koło kierowcy. Powolutku, żadnych głupstw. Zrozumiano?

Miał rację. Ona się nie podda, dopóki będzie się w niej tlić najmniejsza iskierka życia. Jej umysł, dziwnie teraz jasny, stawiał sobie jedno pytanie za drugim. Co on planuje? Co zamierza zrobić, żeby nikt mu potem nie mógł niczego udowodnić?

Kiedy podjeżdżali pod dom, drzwi garażu jakby same się otwarły. Wóz stanął. On wysiadł pierwszy, otworzył drzwi i prawie wyciągnął ją z samochodu.

Ten jego grymas to miał być chyba uśmiech.

- Jeszcze jedna przejażdżka. Ostatnia. Bardzo mi przykro.

Drzwi jej samochodu otwarte. Wsiadła bez oporu, z lułą pistoletu wciśniętą pod łopatkę. Wsiadła, bo co innego miała zrobić. A jeśli naprawdę wydarzy się cud?

Kazał jej usiąść za kierownicą, słyszała, jak ktoś, nie odzywając się ani słowem, wsuwa się na tylne siedzenie. On usiadł obok niej i kazał ruszać.

Nadzieja...

Przekręciła kluczyk w stacyjce. **Jeden ruch**, jeden krok bliżej śmierci.

Nadziei nie wolno tracić, a teraz trzeba mówić. Koniecznie coś powiedzieć, by nie domyślili się, jak wielki jest jej strach.

- Jesteś sukinsynem, ostatnim sukinsynem. To nie ma nic wspólnego z religią. Mamisz tych nieszczęśliwych, zagubionych ludzi, obiecujesz im zbawienie, a tak naprawdę po prostu ich wykorzystujesz.

- No, proszę, jaka bystra dziewczynka. Za bystra.

Zobaczyła pojedyncze drzewa, ale lasu już nie. Spojrzała w lusterko wsteczne, szukając twarzy mężczyzny siedzącego na tylnym siedzeniu. Tak, to on. Ten, który ją zdradził. Jakaż ona była głupia i ślepa! Jak wszyscy...

Znów zaczęła mówić, podniesionym, pełnym pewnością siebie głosem.

- Macie jeszcze szansę, obaj. Jeśli zgłosicie się sami...

- Nie - przerwał mężczyzna siedzący obok. - My nie możemy cię wypuścić.

Powiedział to jakby z przykrością, jakby naprawdę nie chciał uczynić jej krzywdy. Niestety, to nie on pociągał za sznurki.

- Jeśli coś mi się stanie, Dilessio nigdy nie da wam spokoju.

- Dilessio do niczego nie dojdzie - warknął mężczyzna na tylnym siedzeniu. - Niczego nie udowodni.

- Najpierw będą musieli cię odnaleźć - wyjaśnił

mężczyzna siedzący obok. Znow łagodnie, prawie ze smutkiem. Tak jakby i on się bał. A jej przecież nie wszystko udało się wyjaśnić.

Za późno.

Bystra dziewczynka. No tak.

Samochód sunął przez ciemność, ku swemu miejscu przeznaczenia. Znow zaczęła się modlić. Prosić Boga, żeby przyjął ją do siebie, wybaczył wszystkie grzechy, jakie popełniła...

Można zrobić już tylko jedno. Zjechać z drogi, uderzyć w coś, zabić ich wszystkich.

Zdążyła przekręcić kierownicę zaledwie o centymetr. Silne palce zamknęły się na jej dłoniach, omal ich nie miażdżąc.

- Stajemy!

Ręce bołą, ale umysł nie chce przyjąć tego do wiadomości. Jeszcze szuka rozpaczliwie jakiejś podpowiedzi, jakiejś wskazówki...

Ułamek sekundy. Uderzenie tak mocne, że może przynieść jedynie śmierć.

Światła blakną, ból rozpływa się, słabnie. Jeszcze tylko ten głos, cichy i łagodny.

- Ja nie chciałem cię skrzywdzić. Przykro mi, naprawdę bardzo przykro.

Boże, wybacz mi...

W głowie już tylko słowa modlitwy.

A potem nicość...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pięć lat później

Wszystko, co się zdarzyło, było po części i jej winą, Ashley wcale nie miała zamiaru zaprzeczać. Jej winą, ale tylko w drobnym ułamku - przecież on ją zaskoczył i trochę przestraszył. A z tym niełatwo się pogodzić, ten fakt absolutnie nie pasował do wizerunku jej osoby, na jaki Ashley Montague konsekwentnie pracowała.

Poza tym nie było jeszcze szóstej! Nick, owszem, ma kilku znajomków, którzy pukają do drzwi o bladym świetle, wiedząc, że Nick jest już na nogach i na pewno im otworzy. Jednak Ashley o tak wczesnej porze dnia po prostu miała w zwyczaju spać.

Kiedy odezwała się komórka, była pewna, że to Karen albo Jan. Któraś z koleżanek chciała się upewnić, czy Ashley już wstała. Chwyciła więc komórkę,

choć trzymała już kawę, klucze, torebkę i torbę. Okazało się, że to żadna z dziewcząt, tylko Len Green, młody oficer z policji hrabstwa Miami-Dade, osoba z Ashley bardzo zaprzyjaźniona i czuwająca nad każdym jej krokiem. Wiedział, że Ashley wyjeżdża, musiał więc koniecznie zadzwonić, by sprawdzić, czy już wstała. Ashley, niby wielce oburzona, poinformowała go, że zawsze wstaje o właściwej porze. Len poza tym miał do przekazania krótką wiadomość. Kto wie, czy nie wpadną na siebie, bo on i jego kumple ze straży pożarnej z Broward też wybierają się do Orlando. Ashley wyraziła wielką radość, rozłączyła się i przystąpiła do otwierania drzwi.

Ten mężczyzna wcale nie zapukał, nawet nie zaskrobał w drzwi. Cóż więc dziwnego, że w pośpiechu otworzyła drzwi dość gwałtownie i nagle napotkała nieoczekiwaną przeszkodę. Wpadła na niego z całym impetem. Najpierw zauważyła, że jej torba podróżna ląduje u jego stóp, a jedna z puszek z drogocennymi ciasteczkami - niestety otwarta - frunie sobie w dal. W dodatku kubek z kawą zadrżał niebezpiecznie i gorący, czarny płyn skwapliwie wydostał się na wolność.

- Cholera!

- Cholera!

Jego dżinsowa koszula z krótkimi rękawami była rozpięta, więc kawa spłynęła po nagim ciele. Facet zaklął, normalna w końcu reakcja, kiedy człowiek zostanie oparzony. Ashley również zakląła i odzyskawszy równowagę, szybko cofnęła się o krok,

zastanawiając się w duchu, czy nie powinna teraz wrzasnąć. Nie, chyba nie, facet nie wyglądał groźnie. Rozrośnięty, opalony bubek, jakich pełno włóczy się po plaży.

- A kogo tu, do diabła, przygnało - wymamrotała raczej nieskładnie.

- Właśnie. Do diabła - zgodził się skwapliwie, wycierając dłonią czarne stajżki spływające po gołym brzuchu. - Szukam Nicka.

- O tej porze?

- A tak. Bardzo mi przykro, ale Nick prosił, żebym przyszedł właśnie o tej porze.

Jakiś nerwowy ten kolejny znajomek Nicka. Hm... Cofnęła się i omiotła intruza wzrokiem. Któż to może być? Na pewno nie jeden z tych, co regularnie wysiadują przy barze, a w niedzielę, rozparci w fotelach, oglądają z kumplami mecze w telewizji. Zaraz, chyba już gdzieś go widziała. Tak, na pewno, już sobie przypomniała. Nigdy nie sprawiał wrażenia ożywionego, przeciwnie, typowy ponurak. Gdyby go inaczej ubrać, wyglądałby jak Heathcliff sunący z nadętą miną przez wrzosowisko.

Wysoki ten Heathcliff, chyba metr dziewięćdziesiąt. Ciemne włosy, ciemne oczy, rysy mocne, wyraziste. Wiek? Pod trzydziestkę albo tuż po. Twardy facet, opalony, z takich, co to dużo czasu spędzają na

¹ Jedną z głównych postaci głośnej powieści „Wichrowe wzgórza” angielskiej pisarki, Emily Bronte (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

dworze, chociaż w tej okolicy, koło basenu portowego, większość facetów wyglądała podobnie. Brązowy, umięśniony jak należy - trudno tego nie zauważyć, skoro zjawił się w szortach. Rozpięta koszula, prawdopodobnie narzucona na grzbiet tylko dlatego, że zgodnie z prawem stanu Floryda w miejscach publicznych, gdzie serwowano jadło i napoje, należało zjawić się w stroju kompletnym.

- Trzeba było zapukać - wygłosiła, bardzo z siebie niezadowolona, zabrzmiało to bowiem nieco defensywnie, a ona, do diabła, miała przecież prawo otworzyć drzwi od własnego domu.

- Nie zdążyłem, bo oblano mnie kawą.

Czekał na przeprosiny, to oczywiste. Ale nie doczeka się, o nie! Zaskoczyła ją, szczerze mówiąc, nawet przestraszył, w konsekwencji czego była po prostu wściekła. Bo niby dlaczego miałyby z własnego domu wychodzić cicho i ostrożnie, aby, nie daj Boże, przypadkiem kogoś nie potrącić? Poza tym nie tylko on został oblany kawą...

- O, nie... -jęknęła, dostrzegając w tym momencie, że z jednej z puszek wypadły wszystkie ciasteczka. Okoliczne ptaki właśnie ochoczo zabierały się do uczyty.

Spojrzenie, jakim obdarzyła typka, na pewno było pełne wyrzutu. Takie zresztą miało być.

- Połowa ciasteczek zmarnowana! Przez ciebie!

- Ciasteczek?

Niemal prychnął. Jakby te ciasteczka nic nie znaczyły, a przecież Sharon upiekła je osobiście. Obie

puszki czekały rano na kontuarze, ozdobione dodatkowo piękną kokardą- taka miła sugestia, że weekend na pewno będzie udany.

- Takie dobre ciasteczka, posypane wiórkami z czekolady, ktoś je upiekł specjalnie dla mnie - tłumaczyła Ashley, dziwiąc się trochę własnej elokwencji. - A moja bluzka... No tak, muszę wracać do domu, żeby się przebrać... A ty, jeśli łaska, przyjmij do wiadomości, że otwieramy o jedenastej, ani minuty wcześniej. Skoro jednak mówisz, że Nick na ciebie czeka... Dobrze, przekażę mu, że jesteś.

Przekroczyła próg i efektownie huknęła drzwiami.

- Nick! Ktoś do ciebie! - krzyknęła prawie na całe gardło. - Jakiś wyrośnięty palant.

Druga część wypowiedzi została wygłoszona już o wiele ciszej w drodze przez pokoje prywatne, przylegające do restauracji. Po kilku minutach Ashley, przebrana w świeżą bluzkę, pokonywała tę samą drogę w kierunku przeciwnym. Nick widać słyszał jej krzyk, bo opalony typek został wpuszczony do środka. A więc to jakiś znajomek Nicka. Teraz obaj, zajęci rozmową, popijali kawę. Kiedy Ashley przemierzała kuchnię, znajomek Nicka uniósł głowę. Spojrzenie było zdecydowanie chłodne. Bóg z nim, niech sobie myśli, co chce, Ashley nie zamierzała się tym zajmować. W końcu Nick nie wymagał, aby Ashley czy którakolwiek z jego pracownic padały na kolana przed każdym, kto raczy zjawić się w restauracji.

Niestety, trzeba było przystanąć, ponieważ Nick zapragnął konwersacji.

- Ashley... — zaczął, przerwała mu więc natychmiast konkretnym pytaniem.

- Gdzie jest Sharon? Już wstała? Chciałabym podziękować jej za ciasteczka.

Wyraz „ciasteczka” wypowiedziała z odpowiednim naciskiem, wpijając wzrok w nieznanego przybysza, po czym celowo bardzo powoli odwróciła głowę, kierując spojrzenie na wuja.

- Sharon nie ma - poinformował. - Dziś tu nie nocowała, mówiła, że od świtu zajęta będzie swoją kampanią wyborczą. Ashley, masz chwilę...

- Nie. Jeśli zaraz nie wyjadę, trafię na godziny szczytu.

Cmoknęła wujka w policzek, pokonała resztę drogi do drzwi. Tuż za progiem przykucnęła, zbierając z ziemi swój dobytek, wszystko z wyjątkiem sponiewieranych ciasteczek, którymi raczyło się co najmniej pół tuzina zachwyconych mew. Przez otwarte drzwi słyszała, jak Nick tłumaczy się przed swoim gościem:

- Nie wiem, co ją ugryzło. Zwykle jest taka uprzejma, bardziej uprzejmej dziewczyny ze świecą szukać.

Podjeżdżając po Karen, miała już kwadrans spóźnienia. Kolejną pasażerkę, Jan, odebrały dwadzieścia pięć minut po umówionym czasie. Tragedii jednak nie było, najważniejsze, że wszystkie trzy siedziały już w samochodzie, sunęły przed siebie drogą międzystanową 1-95, a do godzin szczytu brakowało około dwudziestu minut. Humor Ashley zdecydowanie zaczynał się poprawiać, tym bardziej że drogie

przyjaciółki były w świetnym nastroju, zachwycone perspektywą kilku wolnych dni. Jan, usadowiona na tylnym siedzeniu, koło toreb, zdążyła już odkryć puszkę z ciasteczkami, i ochoczo zanurzyła w niej rękę.

- Ej, dawaj no tu te ciasteczka! - zawołała natychmiast Karen, Jan uprzejmie podsunęła puszkę, najpierw jednak właścicielce ciasteczek.

- Nie, dzięki - odparła Ashley, nie odrywając wzroku od drogi.

- No tak - westchnęła Jan. - Potrafi sobie odmówić i dlatego jest taka szczupła.

- Przecież to glina - mruknęła Karen.

- Szczerze mówiąc, zdążyłam się najeść jeszcze przed wyjazdem - wyznała Ashley.

- Czy to ciasteczka dietetyczne? - spytała Karen, z wyraźną nadzieją w głosie.

- Niemożliwe! - zaprotestowała gwałtownie Jan. - Coś tak pysznego nie może być dietetyczne. Ale spokojna głowa, najpierw zainstalujemy się w hotelu, a potem wskakujemy do basenu i szybko spalimy mnóstwo kalorii.

- Nie wierzę - stwierdziła smętnie Karen. - Raczej pójdziemy do parku, rozsiądziemy się na ławce i znów będziemy obżerać się ciasteczkami. Ashley! Musiałaś je zabrać?!

- Musiałam. Gdybym ich nie wzięła, już zaczynałybyście marudzić, żeby zrobić postój na pierwszym parkingu. A tych ciasteczek było o wiele więcej, wystarczyłoby na cały weekend. Niestety...

- Co się stało?

- Jakiś typek przyszedł skoro świt do Nicka, wpadł na mnie i wytrącił mi z ręki puszkę. To była jego wina, nie moja.

- Na szczęście, trochę się uchowało. A na pierwszym parkingu i tak musimy się zatrzymać. Te ciasteczka koniecznie trzeba popić kawą - oznajmiła radośnie Karen.

- Ze śmietanką - uzupełniła z tyłu Jan.

- Kawę to ja już piłam - przyznała ponurym głosem Ashley. - To znaczy, nie wypłam do końca...

- Kawę też wytrącił ci z ręki?

- Niestety ~ przytaknęła Ashley. - Oblałam go, siebie zresztą też. Musiałam się przebrać i dlatego się spóźniłam.

- Czy to jakiś bliski przyjaciel Nicka? Byli umówieni? - dopytywała się ciekawska Jan, Karen również zaczęła domagać się bliższych szczegółów.

- Jak wyglądał? Przystojny? A może to jeden z tych starych przyków?

- Nie wydaje mi się, żeby byli z Nickiem w wielkiej przyjaźni. W każdym razie dla mnie przyszedł bardzo nie w porę. No bo pomyślcie. Otwieram drzwi o szóstej rano, a tu jakiś obcy facet wyrasta mi przed samym nosem.

- Mogłaś się tego spodziewać - zawyrokowała Karen. - Wszyscy staruszkowie, którzy mieszkają na łodziach w waszej okolicy, wiedzą doskonale, że z Nicka ranny ptaszek. I wolą napić się kawy u niego, zamiast samemu włączać ekspres.

- Czyli co, Ash? Zaczęłaś dzień od oblania wrzaskiem jakiegoś trzęsącego się staruszka? - pytała ze śmiechem Jan. - To do ciebie zupełnie niepodobne. Ludzie, którzy bywają „U Nicka”, są tobą zachwycceni. Uważają cię za nadzwyczaj miłą i uprzejmą dziewczynę.

- Mam nadzieję, że staruszkowi nie stanął rozrusznik - zauważyła dowcipnie Karen.

- Nie sędzę, żeby on miał rozrusznik.

- Czyli to nie był stary przyk?

- Nie. To był młody bubek.

- No to mów! Mów, jak wygląda!

- Niezbyt ciekawy, choć nie najbrzydszy.

Karen była niepokieszona.

- Szkoda. A już myślałam, że „U Nicka” nareszcie będzie na kogo popatrzeć. Zaraz, zaraz... Ale ty wcale nie powiedziałaś, że ten facet jest beznadziejny!

- Nie. Ale nie powiedziałaś też, że ktoś taki mógłby mnie zainteresować.

Do śledztwa włączyła się Jan.

- Dlaczego? Był chamski? A ty? Bo mnie się wydaje, że ty wcale nie zachowałaś się jak wzór uprzejmości.

- Dobra, niech będzie. Nie był chamski, to ja naskoczyłam na niego, choć właściwie powinnam przeprosić. Aleja się śpieszyłam, on mnie zaskoczył... A co do jego wyglądu, to on jest... przede wszystkim ciemny.

- Ciemny? Latynos?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Jest po prostu bardzo

opalony, ma ciemne włosy i oczy. Prawdopodobnie lubi wodę, słońce i swoją łódź.

- Rozumiem. Taki ciemny typ. Brzmi całkiem zachęcająco - oświadczyła Karen. - W takim razie zacznę częściej zaglądać do Nicka.

- Ty? - Jan nie kryła zdumienia. - Kto jak kto, ale ty nie musisz uganiać się za facetami.

- Niestety, muszę. W podstawówce ich nie znajdę. To ty masz ułatwione zadanie. Wszyscy faceci pożerają cię wzrokiem.

- Samo patrzeć to za mało. Trudno znaleźć jakiegoś do rzeczy.

- Dlatego nie ma sensu przesiadywać „U Nicka” - oświadczyła Ashley. - Zresztą wszyscy psychologowie twierdzą, że umawianie się z facetem poznanym w barze, jest bardzo ryzykowne. To już lepiej poderwać kogoś na kręglach.

- Nienawidzę kręgli - wyznała Karen.

- Poszukaj więc gdzie indziej - poradziła Jan enigmatycznie, sadowiąc się wygodniej. - No i patrzcie. Jak tylko zbierzemy się we trzy, jesteśmy w stanie rozwiązać wszystkie problemy tego świata.

- Ja rozwiązuję problemy codziennie - oznajmiła Karen. - Co prawda problemy sześciolatek, ale spoczywa na mnie wielka odpowiedzialność. Kształtuję umysły i morale przyszłych wyborców, dzięki mnie nasz kraj ma szansę pozyskać nowe pokolenie wykształconych i świadomych obywateli. Ashley też nie ma słodko, całe dni spędza albo na strzelnicy, albo na ulicy, wśród najgorszych mętów. Dlatego,

dziewczyny, koniec z problemami, Jest weekend. Teraz interesują nas tylko trzy sprawy: nasza opalenizna, obwód w biodrach i upojne wieczory.

- Wieczory... - westchnęła Jan. - Nie stawiajmy sobie tylko zbyt wygórowanych celów. Jeśli uda nam się znaleźć czystych, w miarę rozmownych i zdecydowanych spędzić kilka chwil na parkiecie facetów, uznam to za prawdziwy sukces towarzyski. A teraz przede wszystkim potrzebne mi ciasteczko.

- Mnie też - oświadczyła Karen, również sięgając do puszki. Ashley spojrzała przelotnie na przyjaciółkę. Karen odgryzła maciupeńki kawałeczek ciasteczka i przeżuwała powolutku, rozkoszując się smakiem. Ten widok utwierdził Ashley w przekonaniu, że Karen jest bliska doskonałości, bo potrafi malutkie ciasteczko konsumować całą godzinę. Była nieduża, numer konfekcji idealny, czyli dwa. Wielkie błękitne oczy i jasnoblond włosy odziedziczyła po nordyckich przodkach, wraz z nazwiskiem Ericson. Jan była zupełnie inna, ciemnowłosa i ciemnooka. Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ognisty temperament i do kompletu latynoskie nazwisko Hevia. Karen i Jan, Biała Różyczka i Czerwona Różyczka. Te bajkowe imiona przyłgnęły do nich w dzieciństwie, Ashley w żartach używała ich do dziś. Ona sama była ruda i zielonooka - po irlandzkiej mamie. Rodzina ze strony ojca, Montague'owie, to z kolei mieszanka francusko-indiańska. Dzięki temu piegi na nosie Ashley były prawie niewidoczne, poza tym od razu opalała się na piękny brąz z pominięciem fazy okropnej czerwieni.

Jeśli chodzi o wzrost - w jej przypadku metr sześćdziesiąt siedem - plasowała się na drugiej pozycji, za wysoką Jan. A jeśli chodzi o przydomki z dzieciństwa, drogie przyjaciółki Różyczki zwykły zwać ją Kolcem.

Przyjaźniły się od podstawówki, wspólne przeżywały swoje sukcesy i porażki. Dorosłe życie popchnęło każdą z nich w inną stronę. Karen została nauczycielką, studiowała też pilnie, pragnąc uzyskać stopień magistra. Jan była piosenkarką i choć wątpiła, że zostanie megagwiazdą, jej kariera nabierała tempa. W chwili obecnej Jan i jej akompaniator reklamowali się jako numer „na rozgrzewkę”, występując przed bardziej znanymi gwiazdami. Natomiast Ashley od trzech miesięcy z wielkim zapałem przyswajała sobie zawiłości przepisów prawnych, tajniki samoobrony i wiele innych mądrości, jakimi raczyła studentów Akademia Policyjna na Florydzie.

- Ashley? Jak myślisz - zagadnęła Jan, pochylając się do przodu - czy twój wuj ożeni się z Sharon?

Sharon Dupre, twórczyni przepysznych ciasteczek, spotykała się z Nickiem od roku. Przyszłość tej pary dyskutowana była niemal powszechnie.

- Może - mruknęła Ashley, spoglądając na zegar, potem znów na drogę. - Nick jest starym kawalerem, ma swoje nawyki. Kocha łowić ryby i kocha swoją restaurację. Jeśli Sharon to zaakceptuje, kto wie...

- Nick musi też zaakceptować zwariowane godziny pracy Sharon.

- Wydaje się, że Nickowi to nie przeszkadza. On

jest bardzo wyrozumiały. Lubi żyć po swojemu i innym też na to pozwala.

Wiedziała o tym najlepiej, wyrosła przecież pod dachem wuja. Miała zaledwie trzy lata, kiedy rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Ashley uwielbiała wuja i życzyła mu szczęścia, choć nigdy nie wtrącała się w jego życie.

- Niezłe spodnie - oznajmiła Jan, znów podsuwając się do przodu, żeby pokazać Karen reklamę w kolorowym czasopiśmie. - Jak myślicie, czy to dobry fason dla kogoś, kto ma grube uda?

- Dla ciebie chyba nie - mruknęła Karen.

- Ejże! Chcesz powiedzieć, że ja wcale nie mam grubych ud?

- Tak. Z przykrością stwierdzam, że moim zdaniem twoje uda są w porządku. A te spodnie byłyby niezłe dla kogoś małego z grubym tyłkiem. Czyli dla mnie.

- Co ty wygadujesz?

- Chyba nie powiesz, że nie mam wystającego tyłka?

- Zazdroszczę ci. Wolałabym mieć trochę wystający tyłek niż taki w zaniku.

Jan westchnęła i umościwszy się z powrotem na tylnym siedzeniu, poruszyła nowy temat, równie ekscytujący.

- Ashley! Powinnaś wstąpić do policji w Coral Gables albo South Miami, a nie do policji hrabstwa. Chłopaki z Coral Gables są świetni, znam kilku.

- Masz całkowitą rację - przytaknęła skwapliwie Karen. - Chłopaki z policji hrabstwa są do niczego.

- Mówisz tak, bo jeden z nich dał ci kosza - stwierdziła bez ogródek Ashley. - A ja i tak wstąpię do policji hrabstwa.

W skład hrabstwa Miami-Dade, oprócz wielkiej aglomeracji Greater Miami, wchodziły ponad dwa tuziny niewielkich miast, sporo wiosek i osiedli. Niektóre z nich posiadały własne, niewielkie departamenty policji, zajmujące się wszystkim - od niefrasobliwych pieszych po morderstwa, lecz większość obszaru podlegała policji utworzonej na potrzeby całego hrabstwa. Był to prężna i rozbudowana struktura, z wydziałem zabójstw i zakładem kryminalistyki. Ashley Montague marzyła, by właśnie tam dostać pracę.

- Jasne — poparła ją Jan. - A z tobą, Karen, będzie kiepsko, kiedy nasza Ashley zacznie patrolować ulice. Już ona wlepi ci kilka mandatów. Wystarczy, że przyczai się pod twoim domem, kiedy wypryśniesz z podjazdu dziewięćdziesiątką.

- Bez przesady! Ashley jeździ szybciej ode mnie, popatrz no...

- Faktycznie. Przekroczyła prędkość o dwa kilometry. Ale zaraz to zauważy i będziemy wlec się tak aż do samego Orlando.

Rzeczywiście, ręka Ashley spoczywała już na hamulcu.

- No i widzisz, Karen... - zaczęła Jan.

- Cicho - syknęła Ashley. - Tam coś się dzieje.

Samochody z przodu hamowały gwałtownie, Ashley, oczywiście, natychmiast dostosowała się do

nowego tempa. W lusterku zauważyła, jak dwa wozy za nią przy hamowaniu omal nie zjechały na środkowy pas. Coś musiało się stać, skoro sznur samochodów zmierzających do bramek przy wjeździe na autostradę posuwał się w iście żółwym tempie.

No tak, wszystko jasne... Na sąsiednim pasie, z lewej strony, dwa samochody utknęły na amen. Wypadek, musiał zdarzyć się dosłownie przed chwilą. Pasy jeszcze nie zablokowane, jednak policja zdążyła już przyjechać. Ashley spostrzegła wóz policyjny, także obu kierowców z samochodów, które uczestniczyły w kolizji. Jeden z nich, z twarzą ukrytą w dłoniach, siedział w wozie, drągi stał na zewnątrz, oparty o maskę swojego auta. Na szczęścia, żaden nic został ranny.

Ktoś jednak ucierpiał.

Na drodze leżał człowiek. Mężczyzna. Leżał na brzuchu, z głową przekreconą na bok. Ubrany tylko w białe bokserki.

Przyszłym policjantom w trakcie szkolenia pokazuje się na taśmach wideo najgorsze wypadki, by przygotować ich do pełnienia obowiązków nawet w najbardziej stresujących sytuacjach. Ashley również oglądała te taśmy, jednak widok nieruchomego, prawie nagiego ciała na drodze wstrząsnął nią do głębi.

Karen jęknęła cichutko.

- Co? Co się stało? - spytała zaniepokojonym głosem Jan. Karen milczała, Ashley też.

Ashley Montague, przyszły oficer policji, od najmłodszych lat lubiła rysować. Oprócz talentu natura dała jej jeszcze coś - niemal fotograficzną pamięć.

Teraz więc Ashley rejestrowała każdy szczegół tego, co działo się wokół. Dwa samochody uczestniczące w wypadku. Policjant i wóz policyjny, który podjechał przed chwilą. Ciało. Nagie ciało, tylko w tych nieszczęsnych bokserkach. Ręce, nogi rozrzucone, głowa przekręcona na bok. I krew, plamy krwi na ciele i na asfalcie.

Samochody powoli sunące szosą. Na poboczu ktoś stoi, czyjaś nieruchoma sylwetka.

Człowiek bez twarzy, cały w czerni. Trudno rozpoznać - kobieta czy mężczyzna...

- Cholera! - zaklęła Jan. - Powiedzcie w końcu, co tam się dzieje?

- Ktoś leży na drodze - wyjaśniła drżącym głosem Karen.

- O, Boże! - Jan przypadła do szyby. - Przejechali kogoś?

- Może powinnam zawrócić - mruknęła Ashley.
- Przecież jestem w Akademii Policyjnej.

- Nie, Ashley - odezwała się stanowczym głosem Karen. - Widziałas przecież, policja już jest, zaraz wezwą pogotowie.

- Ja niczego nie widziałam - powiedziała cicho Jan.

- No to masz szczęście - burknęła Karen. Było oczywiste, że rozsądna i zasadnicza Karen jest równie wstrząśnięta jak Ashley. Dlatego zapewne oznajmiła głośno, jakby samej sobie wbijając do głowy: - Takie wypadki zdarzają się bez przerwy. Ludzie umierają, ludzie zawsze będą umierać.

- Myślicie, że ktoś wypchnął tego człowieka z samochodu?

- Dziwne - mruknęła Ashley znad kierownicy.
- Jechałby w samych bokserkach?

- Czemu nie? - mruknęła również Karen. - Jesteśmy na Florydzie. Powinnaś więcej czasu spędzać w klubach w South Beach. Ten facet równie dobrze mógł jechać zupełnie goły. Posłuchajmy, co powiedzą w wiadomościach.

Włączyła radio. Spikerka kończyła właśnie omawianie najświeższych wydarzeń w Waszyngtonie, po czym przeszła do sytuacji na drogach lokalnych.

- Wypadek na drodze międzystanowej 1-95, przed wjazdem na autostradę płatną. Potracony został pieszy - przekazywał w eter miły damski głos. - Ruch na dwóch pasach z lewej strony w kierunku na północ wstrzymany. Prosimy o szczególnie ostrożną jazdę...

Ashley nie trzeba było prosić, i tak do bramki wszystkie samochody podjeżdżały w żółwym tempie. Nareszcie jej kolej. Wrzuciła monety do automatu i gładko włączyła się do ruchu.

- Niepojęte - mruknęła zaskoczona po chwili.
- Co ten człowiek robił na autostradzie ubrany wyłącznie w bokserki?

- Naćpał się - oświadczyła kategorycznym tonem Jan. - Ubrany czy półgoły, to w końcu nie najważniejsze. Ale wylatywać na drogę zapchaną samochodami? Tylko ćpun zrobiłby coś tak głupiego.

- Tak, tylko ćpun - zawtórowała jej Karen. - Ashley, w poniedziałek, jak wrócisz do Akademii, na

pewno dowiesz się czegoś więcej. Mam propozycję. Zjedźmy na najbliższy parking i napijmy się kawy.

Nikt nie oponował. Na parkingu Ashley z Jan ustawiły się w kolejce po kawę, Karen natomiast zajęła się kompletowaniem folderów o Orlando i jego licznych rozrywkach.

- Spójrzcie. Arabskie show. Musimy to zobaczyć, koniecznie - namawiała z zapałem, kiedy rozsiadły się wreszcie przy stoliku. - Wyobraźcie sobie... Piękny, młody książę pustyni na równie pięknym rumaku! Uwielbiam takie klimaty, bajki z tysiąca i jednej nocy, dawne dzieje...

- Przede wszystkim chcesz pogapić się na niezłych facetów na koniach - podsumowała ją bezlitośnie Jan.

- Nie zapominaj, że miałyśmy iść potańczyć, na przykład w „Pleasure Island”.

- Proponuję kompromis. Dziś wieczorem show, jutro tańce.

Ashley słuchała jednym uchem. Nie, nie słuchała wcale. Wyciągnęła z torebki ołówkę, starannie rozprostowała białą serwetkę, zaczęła szybko szkicować.

Nagle czyjeś ciepłe palce powstrzymały jej dłoń. Uniosła głowę i napotkała wzrok Karen.

- Straszne... - szepnęła Karen. - Tak to właśnie wyglądało.

Jan sięgnęła po serwetkę.

- O Boże... Całe szczęście, że zajęta byłam oglądaniem tych spodni dla grubasek.

- Szkoda, że nie poszłaś do jakiejś szkoły artystycznej, Ashley - powiedziała z żalem Karen. — Masz

wielki talent. Niby kilka kresek na serwetce, a powstało małe dzieło sztuki. Ashley, a właściwie dlaczego nie przyjęłaś wtedy tego stypendium?

- Bo to wcale nie załatwiało sprawy.

W dodatku Nick znalazłby się na krawędzi bankructwa. Był bardzo rozczarowany, kiedy bratanica nie przyjęła stypendium z prestiżowego college'u sztuk pięknych z Manhattanu, ona jednak nie mogła postąpić inaczej. Czesne i koszty utrzymania w Nowym Jorku były bardzo wysokie, stypendium pokrywało zaledwie znikomą ich część. Ashley, nawet gdyby zamieszkała w akademiku i znalazła sobie jakąś pracę na kilka godzin dziennie, i tak musiałaby zwrócić się do wuja o pomoc. A niby jak Nick miałby jej pomagać, skoro ruch turystyczny w tej części Florydy trudno nazwać ożywionym.

- Nie ma tragedii. I tak wciąż rysuję, a gliniarzem chciałam zostać zawsze.

- Jasne - przytaknęła gorliwie Jan. - Przede wszystkim po to, żeby utemperować Karen, znanego pirata drogowego.

- Jesteś milutka, naprawdę milutka - odgryzła się natychmiast przyjaciółka.

- Dobrze, dobrze, nie musisz się zaraz obrażać. Dziewczyny, zdecydujmy w końcu. Co robimy dziś wieczorem? Tańce czy występ?

- Rzucimy potem monetą - zaproponowała Ashley, wstając od stolika. - Gotowe do dalszej drogi?

- Może ja teraz poprowadzę? - zaofiarowała się Karen.

- Ty? Nie daj Boże! - zaprotestowała niepoprawna Jan. - Ashley musiałyby cię zaaresztować... Ashley, powiedz, czy mogłabyś wlepić jej mandat, gdybyś siedziała w tym samym samochodzie? No powiedz!

- Jan! Jeszcze chwilka i cię uduszę - odgryzła się natychmiast Karen. - Może i nie zabiję, ale przynajmniej trochę uszkodzę gardziółko. Będiesz do końca życia rzeźić jak zdychający aligator.

- Ashley! Ona mi grozi, słyszysz? Grozi! Musisz natychmiast wsadzić ją do pudła!

A Ashley, jak to Ashley, wiadomo, kolec wśród różyczek. Choć usta jej drżały od powstrzymanego śmiechu, rzuciła krótko:

- Spokój, dziewczyny. Jedziemy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sharon Dupre wmaszerowała do restauracji z nadzieją, że Nick oszczędzi jej kłopotliwych pytań. Obiecała mu pomoc w obsłudze gości podczas lunchu, ale obietnicy nie dotrzymała.

Nick o nic nie zapytał, czym właściwie nie zaskoczył Sharon. Właśnie tego się po nim spodziewała. Nick stał teraz za barem, zmywał szklanki i powitał Sharon Dupre swoim zwykłym, uroczym uśmiechem. Nie miał w sobie ani odrobiny zaborczości.

- Jak minął dzień, skarbie? - krzyknął.
- Wspaniale.
- Sprzedałaś coś?
- Jeszcze nie, pokazywałam tylko klientom dwa luksusowe miejsca. Ashley dzwoniła? Dojechały już? Są w hotelu?

Nick potrząsnął przecząco głową.

- Mówiła, że dziś nie zadzwoni, chyba że będzie

jakiś problem. Jutro na pewno się odezwie. Aha, tymi ciasteczkami zrobiłaś jej ogromną frajdę. Podziękuje osobiście, po powrocie.

- Najważniejsze, że była zadowolona.

Sharon dotarła już za kontuar, położyła na nim torebkę i pocałowała słodko Nicka, dziękując mu w ten sposób za wielkoduszność i wyrozumiałość. Pocałowała i zamierzała się odsunąć, Nick jednak nie puszczał. Było oczywiste, że wciąż mało mu pieśzcot.

- Nick, zostaw mnie - szepnęła. — Przyszedł Sandy Reilly i gapi się na nas.

- Sandy jest stary, nasz widok tylko go rozczuli, przypomni sobie, jak sam kiedyś dokazywał.

- Ej tam! Kochasie! - huknął Sandy od progu.
- Dość całowania! Stary Sandy ma doskonały słuch, a w dodatku marzy o zimnym piwie.

- Już podaję! - krzyknął Nick.

- Dobry Bóg nie skąpi swoich darów - mruknął Sandy, potrząsając białą jak mleko głową. - A ja muszę się dziś napić.

- Coś się stało, Sandy?

- A stało się, stało. Teraz wiem, dlaczego wolę przemieszczać się łodzią. Pojechałem zapłacić rachunki i bałem się, że zostanę na tej drodze na zawsze.

- Korki?

- Jak diabli. Jakby wszystkim psychologom zamarzyła się nagle przejażdżka. Dawaj, Nick, te piwka, najlepiej od razu dwa...

Pod wodą Jake Dileasio słyszał tylko cichutki

odgłos, jakby ktoś pocierał o coś czymś miękkim. A on przecież skrobał. Ostatni skorupiak uprzejmie odpadł od kadłuba łodzi dokładnie w chwili, gdy Jake'owi zaczynało brakować powietrza. Wrócił na górę, wynurzył głowę z wody, odetchnął głęboko, głośno parsknął. Jednym zręcznym ruchem ściągnął maskę i po drabince zwisającej z rufy „Gwendolyn” wspiął się szybko na pokład.

Wyczuł ruch, jeszcze zanim napastnik zdążył go dotknąć. Błyskawiczny unik, pięść atakującego przecięła powietrze. Teraz zwrot i lewy sierpowy. No, proszę, jaki celny. Jake Dileccio rąbnął kogoś w szczękę.

Napastnik - jakiś gość w białej, dopasowanej koszuli i granatowych spodniach - nie odpowiedział na cios. Pozostał tam, gdzie był. Podpierał się jedną ręką, drugą rozcierał szczękę. Z jego piersi wydobywał się ni to jęk, ni to szloch.

- Do diabła... - wymamrotał Jake, czując, że cała adrenalina wyparowuje z niego w jednej chwili.

- Brian, to ty?

Usłyszał cichy bełkot.

- Spa... spałeś z nią...

Jake wyciągnął rękę, Brian bez oporu pozwolił sobie pomóc. Rosło ciało, niemal tak wysokie jak Jake'a, powróciło do pozycji pionowej. Jasnowłosa Brian - typ surfera, marzenie wielu kobiet - wyglądał naprawdę żałośnie. Niebieskie oczy w czerwonych obwódkach, opuchnięta szczeka szpecąca przystojną twarz.

- Brian, a niech cię... Włóż do środka, dam ci lód, zrobisz sobie okład.

Brian Lassiter, nadal nie stawiając oporu, posłusznie podążył za Jakiem. Na „Gwendolyn” były trzy kajuty. Jake wprowadził niezapowiedzianego gościa do tej największej, pełniącej rolę salonu, kuchni i jadalni. Usadził go na wysokim barowym stołku i wyjąwszy z zamrażalnika kilka kostek lodu, zawiąnął je starannie w ściereczkę.

- Masz, przyłóż, a ja zrobię ci mocnej kawy.

- Nic chcę kawy.

- Przyda ci się trochę kofeiny.

- Nie wymądrzaj się. Można by pomyśleć, że nigdy nie zdarzyło ci się wypić o jednego za dużo.

- Zdarzyło, i to nieraz. Też robiłem głupstwa, ale ty... Do diabła! Brian! Mogłem cię zabić!

- Ja... ja chciałem raz w życiu przyłożyć ci porządnie. Tylko raz. Bo ty z nią spałeś.

Jake ze stoickim spokojem zajął się parzeniem kawy. Nalał wody do ekspresu, nacisnął guzik.

- Nie spałem z nią, Brian.

- Kłamiesz... Zresztą dla ciebie prawda nie ma już żadnego znaczenia. Nancy nie żyje.

- Tak. Nancy nie żyje.

- I nawet jeśli z nią spałeś, nie powiesz mi o tym. Bo niczego nie można już udowodnić.

Jake'owi jakimś cudem udawało się jeszcze trzymać nerwy na wodzy.

- Brian, obaj dobrze pamiętamy to śledztwo. To była trudna sprawa, ale jedno zostało udowodnione. Mnie tam nie było.

Tamtej nocy Nancy robiła to, co lekarze sądowi

nazywają stosunkiem płciowym za obopólną zgodą. Jake dobrowolnie poddał się badaniom, które wykluczyły jego osobę.

- Ze mną też nie była - powiedział Brian z goryczą. - Wiem, że cię kochała.

- Byliśmy tylko przyjaciółmi.

- Przyjaciele... Powiedzmy... Nadal mnie winisz...

- Nigdy nic takiego nie powiedziałem.

- I co z tego?! Widziałem to w twoich oczach, ilekroć na mnie spojrzaleś.

- Brian, daj spokój. Jesteś wstawiony i zacząłeś się nad sobą użalać. Powiem ci jedno. Co pewien czas kompletnie ci odbija, Nancy często bywała na ciebie wściekła, ale kochała cię, rozumiesz? Co cię dzisiaj naszło?

- Nic wiesz? Jak mogłeś o tym zapomnieć!

Jake spokojnie wytrzymał wzrok Briana.

- Jej urodziny.

- Tak. Dziś miałaby trzydzieści lat.

- Brian, ona nie żyje od pięciu lat. Żaden z nas tego nie zmienia. Podobno od dwóch lat żyjesz z jakąś dziewczyną, która pracuje na lotnisku.

- Tak. Żyję z dziewczyną, która pracuje na lotnisku - powtórzył Brian i potrząsnął głową. - Jest miła, powinienem się z nią ożenić. Ale za każdym razem, gdy jestem z nią bardzo blisko... - Zamilkł, a ból na jego twarz na pewno nie miał nic wspólnego ze spuchniętą szczęką. - Do diabła! Budzę się w nocy i wciąż mi się wydaje, że Nancy na mnie patrzy. I bez przerwy się zastanawiam, czy gdyby... No tak...

Kawa była gotowa. Jake, odwrócony plecami, zaczął napełniać filiżankę. Pijany Brian nieświadomie podsumował ich obu, bo Jake odczuwał dokładnie to samo. Nancy była z nim zawsze. Prześladowała go od pięciu lat.

- Masz, Brian, pij. A Nancy... Nancy już nic wróci. Musisz wziąć się w garść.

- Ale wszyscy nadal myślą, że zabiła się przeze mnie.

- Ona się nic zabiła. Ja to wiem. I ty także. Brian, wypij tę kawę. Mam nadzieję, że nie przyjechałeś tu sam. W takim stanie...

- A co? Zapuszkujesz mnie?

- Nie. Ale wolałbym się nie martwić, jak dotrzesz do domu.

- Bez obaw. Nie prowadziłem. Wypiłem parę drinków w barze w mieście, potem jeden z kumpli podrzucił mnie do Nicka. Posiedziałem sobie trochę na tarasie, przy okazji obaliłem parę piw.

- W porządku. Kończ tę kawę. Odwiozę cię do domu.

Brian wypił jeden łyk i znów utkwiał półprzytomne spojrzenie w Jake'u.

- Ja wiem, że Nancy do ciebie przychodziła. Na pewno opowiadała ci o mnie... Cholera! Dlaczego nie rzucisz się na mnie i nie rozerwiesz mnie na strzępy?

- Bo to niezgodne z prawem, a ja jestem policjantem i słono bym za to zapłacił.

Twarz Briana wykrzywił grymas, który zapewne miał być czymś w rodzaju uśmiechu.

- Ale mógłbyś to zrobić w obronie własnej. Dziś cię zaatakowałem. Dlaczego mnie nie załatwiłeś? Czujesz się winny?

- Nie.

- A więc?

- Ja ją kochałem, Brian. To wszystko. Nigdy z nią nie spałem. A ona kochała ciebie, zawsze wierzyła, że w tobie drzemią ukryte pokłady dobroci i przyzwoitości. Widocznie tak było naprawdę, chociaż mnie trudno w to uwierzyć. No, nie ma o czym gadać.

Brian spojrział na niego przeciągle, ale powstrzymał się od komentarza. Dopił kawę i spokojnym głosem poprosił o kolejną. Wypił prawie duszkiem, po czym zniknął na chwilę w łazience, aby jako tako doprowadzić się do porządku. Na szczęście był na tyle przytomny, że potrafił wskazać drogę i bezbłędnie poprowadził Jake'a do drzwi swego nowego apartamentu, klucza jednak nie mógł odnaleźć. Drzwi otworzyła Norma, niewysoka blondynka o miłym, łagodnym głosie. Wyglądała na osobę przyzwoitą, szczerze zatroskaną o Briana.

- Zaprowadzę go do łóżka - zaoferował się Jake.
- Zdejmę mu buty.

- Na górze, pierwsze drzwi - poinformowała Norma. - Poszukam aspiryny. Dlaczego jest taki poobijany? Przewrócił się?

Jake udał, że nie słyszy. Objął Briana w pól i po krótkiej, choć mozolnej wspinaczce po schodach doholował go do sypialni. Rzucił go na olbrzymie łóżko i zgodnie z obietnicą, ściągnął mu z nóg brązowe mokasyny.

- Czyu... czy upadłem...-bełkotał Brian.-A upadłem... Jak zwykle byłeś lepszy...

- Przestań gadać. Powinieneś uważać się za szczęściarza. Miałeś wspaniałą żonę, a teraz... Ta dziewczyna cię kocha, postaraj się tego nie spać. Dostałeś kolejną szansę. Nie bądź idiotą.

- Idiotą... idiotą... A co z tobą, Jake?

- Ze mną?

- Ano z tobą. Ja wszystko wiem, Jake. Byłeś z asystentką prokuratora okręgowego. Piękna dziewczyna, a ty wytrzymałeś z nią tylko trzy miesiące. Potem podobno miałeś kelnerkę od „Hootera”, cholernie zgrabną. Ile razy umówiłeś się z nią? Dziesięć, dwanaście? Nawet nic tyle, bo dalej myślisz o Nancy, bo ty...

- Prześpij się, Brian. Może wreszcie zrozumiesz, że pięć lat to bardzo długo.

Po powrocie na „Gwendolyn” natychmiast padł na łóżko. Z pełną świadomością, że wcale tak szybko nie zaśnie.

Urodziny Nancy. Miałyby teraz trzydzieści lat.

Na łodzi sypiał zazwyczaj bardzo dobrze. Kołysało go leciutko, płuca oddychały świeżym, wilgotnym powietrzem. Obie te rzeczy cudownie likwidowały napięcie nagromadzone w ciągu dnia. Ale dzisiejszej nocy nie przynosiły ukojenia. Miotał się po łóżku, zastanawiając się w duchu, czy nie powinien poszukać jakiegoś towarzystwa.

Asystentka prokuratora okręgowego... Kelnerka... Nie tylko. W życiu Jake'a nigdy nie brakowało kobiet.

Zawierał znajomość, pogłębiał... i kończył. Dlaczego? Nadal kochał Nancy? Nie, już nie, choć ona tak naprawdę nigdy nie odeszła. Przychodziła w snach, wabiła. Jake do dziś każdą młodą kobietę porównywał do Nancy. Nie spotkał żadnej, która choć trochę by ją przypominała.

Zasnął koto drugiej. Obudził się nagle, zlany zimnym potem. Znów ten sen, ten męczący koszmar... Zaczynało się tak pięknie. Jake płynie w przejrzystej wodzie oceanu, rozświetlonej promieniami słońca. Nagle złocistość znika, woda staje się brudna, mętna. To już nie ocean, tylko jakiś kanał. Jake zanurza się coraz głębiej, choć z całej siły pragnie wydostać się na powierzchnię. Nie chce tam płynąć, wie bowiem, co zobaczy. Już słyszy jej głos...

Powłókł się do kuchni i otworzył lodówkę. Z butelką piwa w ręku podreptał na¹ pokład, ochłodzić twarz nocną bryzą. Niestety, nie tylko Brian nie uporał się z przeszłością.

Nancy, kiedy opowiadała o swoim życiu osobistym, była zagubiona, zrozpaczona. I taka kobieta. A jednocześnie jako policjantka w niczym nie ustępowała mężczyznom. Umiała być twarda, dawała sobie radę w każdej sytuacji.

Partnerka Jake'a. Na pewno niczego przed nim nie ukrywała, tylko ten jeden raz. Dowiedziała się czegoś i chciała to sprawdzić.

Sama. Niech to szlag...

Znaleźli ją w samochodzie, badania krwi wykazały obecność alkoholu i narkotyków. Czyli wypadek.

Pijana i naćpana, straciła panowanie nad kierownicą. Nic nie wskazywało na morderstwo. Brudy wyszły podczas śledztwa. Naga prawda o jej małżeństwie. Jej przyjaźń z Jakiem.

Nancy odeszła.

Zginęła w tragicznym wypadku. Jake w to nigdy nie uwierzył.

Nigdy potem nie spotkał kobiety podobnej do Nancy... Chociaż... Coś mignęło w pamięci. Ta dziewczyna, która weszła mu w drogę dziś rano... Na pozór wcale nie przypominała wysokiej, ciemnowłosej Nancy, a jednak miała z nią coś wspólnego. Tak. Sposób bycia. Tę zadziwiającą pewnością siebie i upór. Nie ustępować. Walczyć i zwyciężyć. Zwyciężyć tak, żeby przeciwnik długo jeszcze czuł smak porażki.

Ten rudzielec, który wpadł na niego w drzwiach, to bratanica Nicka. Widywał ją już przedtem, kiedyś częściej kręciła się po restauracji. Wtedy była jeszcze dzieckiem. Zawsze dokądś biegła, gdzieś się spieszyła.

Wyrosła. Zaokrągliła się tam gdzie trzeba, rude, powiewające włosy na pewno przyciągały męskie spojrzenia. Atrakcyjna dziewczyna, owszem. Zapamiętał jej głos. Oburzony, ale jednocześnie pełen rezerwy, chłodny. Tylko zielone oczy, utkwione w przeciwniku, sypały iskry. Nick mówił, że ona uczy się w Akademii. Rudemu dzieciakowi zachciało się być policjantką. I dobrze. Ma zatem coś wspólnego z Nancy...

Nie.

Nie, na litość boską, niech ona nie będzie taka jak Nancy. Nancy - etyczna aż do bólu, pełna determinacji i prawie wyprana z tego podstawowego instynktu, który każe się bać, kiedy sprawy mają się naprawdę źle. Który każe uciekać...

A zresztą... Niech ta mała robi, co chce, jemu nic do tego. I może wcale nie jest podobna do Nancy, może to tylko złudzenie.

Nagle poczuł przypływ sympatii do... Briana.

Wysączył piwo do końca. Za mała, stanowczo za mała. Przydałoby się jeszcze jedno, a może nawet whisky. Prawdziwa słodowa szkocka whisky, w końcu tej nocy nie musiał nigdzie wychodzić. Zszedł do kajuty, wyciągnął butelkę i nalał do szklanki zwykłą porcję. Dolał drugą.

Kiedy zasypiał, czuł się już lepiej. O wiele lepiej.

Po przybyciu do hotelu Ashley, Karen i Jan zainstalowały się w pokojach, po czym, zgodnie z planem spędziły kilka leniwych godzin nad basenem, sącząc kolorowe drinki. Ustaliły też, po krótkiej debacie, program rozrywek. Show arabskie dziś, jutro tańce.

Show okazało się rzeczywiście godne obejrzenia. Po zakończeniu pokazu Ashley sprawdziła pocztę głosową. Tylko jedna wiadomość, od Lena, ale bardzo pomyślna. On i jego kumple ostatecznie zdecydowali się na wypad do Orlando, jutro wieczorem będą w klubie swingowym, w którym można się bawić choćby i do białego rana.

- Chłopcy od pożarów? - spytała Karen.

- Oni, niestety, nie wszyscy są odlotowi - mruknięła sceptycznie Jan.

- Dajmy im szansę - zaproponowała Karen. I tak też uczyniły.

Len zabrał ze sobą dwóch kolegów. On sam miał trzydzieści jeden lat, był wysoki i mocny jak skała. Włosy koloru słomy, zielone oczy, kilka piegów na nosie. Ogólnie rzecz biorąc, atrakcyjny facet. Ashley zdawała sobie sprawę, że Len miał wielką ochotę przekształcić ich przyjaźń w coś intymniejszego. Niestety, w ogóle jej nie pociągał. Jednak mężczyźni o tak rozbudowanym ego takich rzeczy nie wolno mówić wprost, dlatego Ashley skutecznie zasłoniła się tarczą obowiązków. Teraz najważniejsza jest Akademia, no i dalsze studia nad rysunkiem. Len w końcu to zaakceptował, do tego stopnia, że od jakiegoś czasu zaczął składać Ashley wyczerpujące i bardzo zabawne raporty o swoich randkach z różnymi dziewczynami.

Do klubu swingowego Len przyprowadził Kyle'a Avery'ego i Mario Menendeza, dwóch osiłków.

- Jezu, Ashley - szeptała Karen dyskretnie do ucha przyjaciółki. - Za niego dałabym się zabić.

- Za którego?

- Wszyscy trzej są niezli, ale najbardziej odjazdowy jest ten twój Len. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się za niego nie bierzesz.

- Bo nie jest w moim guście.

- Co ty gadasz? Dla mnie on jest po prostu idealny, idealny!

- No to do dzieła. Na co czekasz?
- O, nie. Przecież on jest napalony na ciebie.
- Karen, on jest tylko moim kumplem, przyjaźnimy się, nic poza tym.

- Ej, dziewczyno! -zawołał wesoło Len. - Co to za szept? To klub taneczny, ruszamy na parkiet!

Ruszyli więc w tany. Po kilku godzinach Karen oznajmiła, że jest wykończona i zarządza odpoczynek. Trzy przyjaciółki poszły się odświeżyć, panowie udali się na drinka.

- Ashley, ja nie próżnuję. Wzięłam się za twego kumpla, za twoim zresztą łaskawym przyzwoleniem - oświadczyła Karen. - Ale dlaczego ty nic wykazujesz najmniejszego zainteresowania żadnym z postawnych strażaków?

- Bo teraz mi nic w głowie takie rzeczy. Studiuję, od czasu do czasu wypada pomóc Nickowi. Na razie mam co robić. A tak w ogóle, nie uważacie, że pora już wracać do hotelu?

- Nie ma mowy! Ashley, może ty świetnie się obywasz bez męskiego towarzystwa, ale ze mną jest inaczej. Jestem nauczycielką, przebywam głównie z dziećmi. Abecadło, dwa dodać dwa, zasmarkane nosy i tak dalej. I już od roku z nikim się nie spotykam. Po tamtym dupku, z którym kiedyś chodziłam, nie płaczę, ale brakuje mi towarzystwa i... A co ja tam będę owijać w bawełnę. Seksu też mi brakuje. Czy wy nigdy nie miałyście ochoty na seks?!

- Karen! Seks to coś wspaniałego, jasne, najpierw jednak trzeba poznać faceta bliżej.

- Bo ja wiem? - mruknęła Jan, pociągając usta szminką. - Im mniej kogoś znasz, tym wydaje się ciekawszy.

- Nie zapominaj, że to facet z Miami.

- O, proszę, matka przełożona przemówiła - prychnęła Karen. - Ja w każdym razie dam mu numer telefonu. Jeśli zadzwoni, bardzo się ucieszę. To świetny facet. Ma pracę, pije w granicach rozsądku, dobrze tańczy. Dlatego nie zamierzam jeszcze wracać do hotelu. I pamiętaj, karty już rozdane. Ja wybrałam Lena. Jan robi słodkie oczy do Kyle'a, a ty bądź tak uprzejma i zajmij się Mariem. Przynajmniej z nim pogadaj, chociażby o pracy.

Konwersacja z Mariem, o dziwo, przebiegała gładko i sympatycznie. Chłopak był miły, trochę nieśmiały i zachowywał się z rezerwą. Zdradził zresztą, dlaczego. Był żonaty, od bardzo niedawna, z kumplami wypuścił się tylko dlatego, że żona pojechała na dwa tygodnie do rodziców. Ashley z kolei zaczęła opowiadać o wypadku, który widziały w drodze do Orlando. Po jakimś czasie reszta towarzystwa, dotychczas pilnie swingująca, powróciła do stolika.

- Nie wolno ci się tak przejmować, Ash — powiedział Len. - Kiedy zaczniesz pracować, wypadki będą dla ciebie chlebem powszednim. Na drogach bez przerwy coś się dzieje.

- Tak, tak, teraz nie powinnyśmy do tego wracać - poparła go Karen, ale Ashley nie słuchała. Już trzymała ołówek, stawiała na serwetce pierwsze kreski. Droga, dwa samochody...

- Nasza Ashley jest artystką - obwieściła nie bez

dumy Karen, chwyciła jednak serwetkę i zmięła ją w kulkę, spiorunowawszy Ashley wzrokiem.

- Jest wspaniałą artystką - zawtórowała Jan. - Ashley, sportretuj nas. Narysuj Kyle'a.

Ashley posłusznie chwyciła za następną serwetkę i zaczęła szkicować. Reszta towarzystwa ustawiła się za jej plecami.

Kyle z podziwu aż gwizdnął.

- Niemożliwe! Patrzcież, to ja! Ashley, proszę, podpisz się, zachowam ten portret na pamiątkę.

- Czy mogłabyś narysować i mnie? - prosił Mario.

- I dziewczyny też, koniecznie - domagał się Len, podsuwając świeży zapas serwetek, które podebrał z sąsiedniego stolika.

- Po co? Rysowałam je niezliczoną ilość razy.

- Ale może Kyle i ja chcemy mieć ich portrety na pamiątkę.

Karen dyskretnie szturchnęła artystkę.

- Naturalnie, naturalnie, narysuję - oświadczyła Ashley, chwytając znów za ołówek. Narysowała dwa portreciki i podsunęła chłopakom do oględzin.

- Nie do wiary! — zachwycił się Kyle. - Len mówił, że marzysz, by zostać policjantką. Zamiar bardzo szlachetny, ale... Te rysunki są świetne.

- Ona poza tym ma wręcz fotograficzną pamięć. Ashley, narysuj coś, co dzisiaj widziałas - poprosiła Jan. Karen natychmiast zastrzegła: - Błagam, tylko nie ten wypadek!

- No dobrze, pójdę uregulować rachunek - oznajmił Len.

- Len, nie trzeba!
 - O nie, Ashley! Ile to razy karmiłaś mnie w waszej restauracji?
 - To nie ja, to Nick!
 - Z oficerem policji nie wolno dyskutować - rzucił wesoło Len i ruszył w stronę baru. Ashley po raz kolejny chwyciła za ołówek. Pomyślała chwilę i zaczęła rysować. Też portret. Męską twarz o wyrazistych rysach. Ciemne włosy i oczy, kwadratowa szczęka, szerokie kości policzkowe i usta. Niby surowe, ale ładnie wykrojone...
 - Niezły - mruknęła Karen, chwytając serwetkę.
 - Przystojny rewolwerowiec. Kto to jest?
 - Facet, którego dziś rano oblałam kawą.
- Przystojny rewolwerowiec... Chodząca agresja, naładowana testosteronem. Jednak niezwykle pociągający...
- Tak. On na pewno miał w sobie to coś, czego brakowało Lenowi Greenowi.
- Droga Ashley, czy tobie przypadkiem nie zachciewa się seksu?
- Seksu... Ten facet chyba przede wszystkim nadaje się właśnie do tego. Na pewno nie jest typem mężczyzny, z którym Ashley chciałaby się związać na dłużej. Co, naturalnie, wcale nie "oznacza, że zamierza spędzić resztę życia samotnie.
- Do stolika wrócił Len i całe towarzystwo ruszyło ku wyjściu. Po wylewnym pożegnaniu panowie odpłynęli do swego hotelu. Kiedy tylko oddalili się na bezpieczną odległość, Karen chwyciła Ashley pod ramię, rzucając rozanielonym głosem:

- No i co? Czy to nie byt cudowny wieczór?
 - Było miło, owszem. Mam nadzieję, że ty i Len zaczniecie się spotykać.
 - O, tak - podjęła wątek Jan. - Taki facet jak Len nie powinien się marnować. A ten twój facet, Ashley, co prawda nieco już posunięty w latach, może się podobać, choć wygląda jak zbój.
 - Jak zbój? Skądże. Jest bardzo sympatyczny, ale żonaty.
- Karen zaśmiała się i mocniej ścisnęła jej ramię.
- Coś mi się wydaje, że Jan wcale nie ma na myśli strażaka. Jej chodzi o tego gościa z serwetki.
 - To wcale nie jest mój facet! - zaprzeczyła Ashley.
 - Pożyjemy, zobaczymy...

Noc była piękna, widok z hotelowego okna uroczy, jednak ani migoczące gwiazdy, ani łagodne światło księżyca nie przykuły na dłużej uwagi Ashley.

Podeszła do biurczka, na którym leżał już szkicownik. Usiadła i od razu zaczęła rysować.

Ciało... Najpierw ciało. Ciało leżące na drodze.

Młody mężczyzna, mięśnie dobrze widoczne pod... plamami knvi. Twarz przykryta włosami jaśniutidmi jak len.

Co dookoła... Policjant, który pierwszy zjawił się na miejscu wypadku. Kawałek dalej samochód policyjny. Dwa samochody, które wpadły na siebie. Dwóch kierowców. Inne samochody, hamujące gwałtownie, rzucane na boki, wjeżdżające prawie na środkowy pas.

Pięć pasów dla ruchu w kierunku przeciwnym. Pobocze. I ta nieruchoma postać.

Rysowała zawzięcie, utrwalając wszystko, co zarejestrowała jej pamięć. Wycieniowała starannie. Czerń, szarości, biel. Wszystko stało się dziwnie realne, obfitujące w szczegóły. Wszystko, oprócz tej ciemnej postaci.

Ten ktoś na coś czekał... Na co? Czyżby chciał się upewnić, że ten nieszczęsny, zakrwawiony człowiek leżący na drodze jest naprawdę martwy?

Poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

Szybko podeszła do drzwi i przekręciła zamek. Zamknęła starannie okno, zasunęła zasłony. Powoli wstawał świt, zaraz wszędzie słońce.

Położyła się na łóżku, przymknęła oczy. Pod powiekami miała wciąż ten sam obraz. Ciało, prawie nagie, zakrwawione, na ciemnoszarym asfalcie... Zakłęła dosadnie. Uniosła się i poprawiła poduszkę. Liczenie owiec zawsze wydawało jej się głupie, jednak musiała wreszcie zasnąć.

Postanowiła liczyć konie.

W tych snach często pojawiała się mgła, przetykana promieniami słońca. Z mgły "wynurzała się Nancy. Szła po plaży, czasem wchodziła do kajuty na „Gwendolyn". Rozpuszczone włosy spływają po plecach, smukłe ciało jest nagie, znaczone przez słońce, znaczone przez cień..,

Nancy.

Minęło tyle lat, a ona wciąż przychodziła nocą,

niezmordowanie, jakby koniecznie chciała mu coś powiedzieć.

Sen zawsze kończył się tak samo. Jake widział twarz Nancy, taką, jaką oglądał na stole w prosektorium. Podczas autopsji. Na widok tej twarzy jego serce i umysł kuliły się z przerażenia. Wtedy gwałtownie budził się.

Tej nocy też miał sen, ale inny. Straszna twarz nie ukazała się, a postać kobiety, idącej ku niemu, była niewyraźna, jakby zamazana. Rude włosy...

To ta krewna Nicka. Idzie niespiesznie, ale lekko i pewnie. Jest już bardzo blisko. Zupełnie inna niż Nancy. Ta dziewczyna jest żywa, żywa i ciepła, prawdziwa... Wyciąga rękę, dotyka go...

I znika. A mózg bombarduje jakiś przenikliwy dźwięk.

Cholera. Budzik.

Nie, to telefon. Do diabła, która to godzina? Chyba środek nocy. Ale dobrze, że ktoś przerwał ten absurdalny sen. Przytknął słuchawkę do ucha. Słuchał sekundę. Drgnął. Palce odruchowo zacisnęły się na słuchawce. Jak szpony.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Z twarzy zostało bardzo niewiele - powiedział Martin Moore, kiedy razem z Jakiem przechodzili pod żółtą taśmą, zabezpieczającą miejsce zbrodni.- Myślę, że ciało ukryto w jakimś płytkim dole, dalej od drogi. Ostatnio padały ulewne deszcze i woda zmyła je tutaj.

Po cholerę on wczoraj pił tę whisky?! Chociaż... Teraz też by się napił. Ten telefon od Martina, w środku nocy, był jak grom z jasnego nieba.

W każdym razie dla detektywa Dilessia długi weekend już się skończył. Wezwano go, ponieważ tamta sprawa sprzed pięciu lat nigdy nie została oficjalnie zamknięta. Marty zjawił się pierwszy, po prostu miał bliżej, mieszkał gdzieś tu, w okolicy. Pięć lat temu, kiedy dokonano tamtych zabójstw, pracował w sekcji narkotyków, od dłuższego jednak czasu współpracował z Jakiem i znał historię zabójstw, które nadal przypisywano Bordonowi.

Światło reflektorów policyjnych padało na ciemną, moką, pokrytą grubą warstwą butwiejących liści ziemię. Ziemia Everglades². Południowy kraniec hrabstwa Miami-Dade wkraczał już na teren parku narodowego, krainy mokradeł.

Jake zatrzymał się parę kroków przed ciałem, aby najpierw spojrzeć na nie z pewnej odległości. Ciało odnalazła jakaś kobieta uprawiająca jogging. Głupia kobieta, która biega po odludziu, nim wstanie świt.

Nieszczęsna biegaczka była dalej na miejscu przestępstwa. Kobieta w średnim wieku o ładnej, nadmierne wychudzonej twarzy, ubrana jak dziesiątki entuzjastów zdrowego trybu życia. Szorty, T-shirt, adidasy, na głowie opaska. Teraz ramiona kobiety przykryte były ciepłym kocem, o co zadbał jeden z policjantów. Podał jej też kubek z gorącą kawą. Popijała, popłakiwała i nie przestawała mówić roztrzęsionym głosem:

- Boże mój kochany... Biegłam sobie, po prostu biegłam, nagle patrzę, a tu coś leży... Było ciemno, w pierwszej chwili nie wiedziałam, co to jest. Pobiegłam dalej, zawróciłam... Chryste! A to ona, leży tutaj. Palce mi się tak trzęsły, myślałam już, że nie będę w stanie zadzwonić z komórki. Bogu niech będą

² Everglades National Park — park narodowy na południowym krańcu Florydy, utworzony w 1947 r., od 1982 r. wpisany do światowego dziedzictwa kultury. Bagnisty obszar (ok. 7000 km²) utworzony przez rozlewisko płytkiej i szerokiej rzeki. Everglades jest ostoją dla wielu zagrożonych gatunków ptaków i zwierząt.

dzięki, że pozwolił człowiekowi wymyślić taką rzecz! A ja już nigdy, przenigdy nie będę biegać po nocy. A to biedactwo... Kobieta, prawda? Przywlekli ją, porzucili koło drogi... A może zabili ją tutaj?

Głupota ludzka nie zna granic, pomyślał Jake, spoglądając na rozdygotaną kobietę. Biegać samotnie po ciemku, w dodatku w tak słabo zaludnionej okolicy? Choć wielu kusiły te połacie żyznej, wilgotnej ziemi wśród wysokiej trawy o ząbkowanych liściach, która potrafi wyrosnąć na kilka metrów. Coraz więcej chciało się tu osiedlić, hodować pomidory i truskawki, a wielu po prostu kupowało grunt i stawiało dom.

Tereny należące do hrabstwa były intensywnie zalesiane. Nie brakowało tu drzew, w okolicy drogi ziemia była przykryta grubą warstwą liści. Dobre miejsce, by ukryć zwłoki. Natura dokona dzieła zniszczenia, pomoże zatrzeć ślady. Niejeden przestępca ukrywał swe ofiary w takiej okolicy i bardzo często sprawa pozostawała niewyjaśniona.

Ta kobieta, która na swoje nieszczęście natrafiła na szczątki ofiary brutalnego morderstwa, niewiele będzie miała do powiedzenia. Ale wypytać ją trzeba. Później. Teraz należało zająć się denatką.

- Martin, gdzie lekarz? - spytał.

- A tam, właśnie rozmawia z policjantem, który pierwszy dotarł na miejsce zbrodni. Przyjechał doktor Tristan Gannet, jest też Mandy, robi zdjęcia.

- Czyli mamy tu Ganneta i Nightingale. Bardzo dobrze.

Jake i Marty ostrożnie zbliżyli się do ciała. Mandy

Nightingale, jeden z najlepszych fotografów policyjnych, uśmiechnęła się, skinęła głową i pstryknęła kolejne zdjęcie. Była cienka jak patyk, siwowłosa, twarz o indiańskich rysach nie pozwalała snuć przypuszczeń co do jej wieku. Świetny fachowiec - szybka, pracowita, znakomicie utrzymywała na kliszy wszystkie istotne szczegóły.

- Cześć, Jake. Zaraz schodzę ci z drogi. Jeszcze tylko jedno zdjęcie dla doktora... Gotowe. Pójdę teraz do Pentilla, postoję z nim i poczekam, aż zabiorą ciało. Potem zrobię jeszcze kilka zdjęć. Powiem Gannetowi, że już jesteś.

- Dzięki, Mandy.

Jake przykucnął przy denatce. Kobieta zginęła jakiś czas temu, bo robactwo i zwierzęta dokonały już swego dzieła. Pozostał szkielet, w niektórych tylko miejscach zachowały się fragmenty ciała. Denatka prawdopodobnie nie miała na sobie żadnego ubrania.

Jake wyjął długopis i zaczął ostrożnie odsuwać liście przykrywające kości ramion. Twarz była w lepszym stanie. Twarz... No tak, teraz już wiedział, dlaczego Martin był taki spięty i nalegał, żeby Jake przyjechał jak najprędzej.

Uszy. Denatka nie miała uszu, prawdopodobnie zostały obcięte.

Wstał i cofnął się o krok.

Deja vu.

Peter Bordon, znany jako ojciec Pierre, siedział pod kluczem od dobrych pięciu lat. Ale nawet pierwsze, pobieżne oględziny nieuchronnie przywodziły na myśl

inne ofiary, odnalezione w czasach, gdy Bordon działał jako przywódca sekty zwącej siebie Ludźmi Zasad.

- On siedzi - powiedział cicho Martin, jakby czytając w myślach kolegi. - Sprawdziłem. Najpierw zadzwoniłem po ciebie, potem do więzienia. On na pewno tam jest.

- Aha - mruknął Jake. Tylko tyle. Wolał milczeć, bo ledwo pomyślał o Bordonie, natychmiast zalewała go krew. Peter Bordon, fałszywy prorok. Skupił wokół siebie gromadę ludzi i kładł im do głowy te dyrdymały o wspólnocie, pracy dla dobra innych, porzuceniu luksusów grzesznego życia. Większość członków sekty rozumiała to dosłownie, przelewając wszystkie zasoby finansowe na prywatne konto proroka.

Przed pięcioma laty trzy kobiety, które, jak przypuszczano, należały do sekty, znaleziono martwe. Dwie w kanale, jedną w polu. Wszystkie miały obcięte uszy.

Nie znaleziono żadnej broni, żadnych śladów ani poszlak. Bordon był jedynym podejrzanym, ale jego winy w żaden sposób nie dało się udowodnić. Posiadłość Bordona dokładnie przeszukano, znaleziono jedynie dowody, że Bordon przeprowadził kilka nielegalnych operacji finansowych. Dzięki temu udało się go wsadzić za kratki.

Jakiś czas potem, w samym środku nocy, do jednego z niewielkich posterunków na obrzeżach hrabstwa zgłosił się młody człowiek i przyznał się do popełnienia wszystkich trzech morderstw. Spisano zeznania, mężczyznę zamknięto w celi, z której już nie wyszedł. Powiesił się na pasku od spodni.

Wyglądało na to, że sprawa została wyjaśniona. Jednak Jake, jak zresztą większość policjantów z jego grupy operacyjnej, nie wierzył, że śledztwo zakończyło się sukcesem. Tak naprawdę sprawa nigdy nie została oficjalnie zamknięta, ale wkrótce policjantów z grupy operacyjnej odkomenderowano do innych zadań.

Dla Jake'a sprawa zdecydowanie pozostawała otwarta. Bordonowi nie udowodniono morderstwa, na pewno jednak brał w nich udział. Według Jake'a, Bordon nie zabijał osobiście, robił to ktoś inny, na jego rozkaz. Po tym, jak zamknięto go w więzieniu, zabójstwa ustały. Większość ludzi była przekonana, że sprawcą był ów młody człowiek, który przyznał się do wszystkiego, po czym popełnił samobójstwo.

A przecież zabójstwa wcale nie ustały, morderca zrobił sobie po prostu przerwę. Znowu znaleziono ciało. Bordon co prawda siedzi w więzieniu, ale mógł zlecić komuś wykonanie brudnej roboty...

- Witam - odezwał się doktor Gannet. - Puśćcie mnie do niej?

- Miło cię widzieć, Gannet - powiedział Jake z uśmiechem. Doktor od ponad dwudziestu lat zajmował się medycyną sądową.

Doktor przykucnął koło ciała, przykucnął również Martin. Jake, zanim dołączył do nich, jeszcze raz szybko ogarnął wzrokiem całe miejsce przestępstwa. Nigdzie nie było widać żadnych śladów. Nie sposób było też stwierdzić, w jaki sposób zadano śmierć.

Nie było szans na znalezienie obcego ciała pod

paznokciami ofiary, ponieważ ofiara nie miała paznokci. Nie było mowy o pobraniu odcisków palców, bo na palcach ofiary nie zachował się ani gram ciała.

- Twarzy raczej nikt nie rozpozna - mruknął Jake.

- Zwykle najłatwiej przeprowadzić identyfikację na podstawie uzębienia. W tym przypadku mamy szczęście, tej biedaczce nie wybito zębów - powiedział doktor. - A palce u rąk... Cóż, sami widzicie...

Spojrzał na Jake'a. Jake mógłby się założyć, że on i doktor Gannet myśleli o tym samym. Ofiary sprzed pięciu lat miały obcięte uszy i usuniętą tkanę z palców rąk. Może ktoś po prostu naśladował tamte zabójstwa sprzed lat?

- Tak... Może chodzić o naśladowcę - mruknął Gannet, jakby czyta! w myślach Jake'a. - No cóż, zobaczymy. Zajmiemy się wszystkim jak należy.

Zająć się sprawą jak należy. Tylko tyle można jeszcze zrobić dla martwego człowieka. Dołożyć wszelkich starań, żeby wymiar sprawiedliwości ukarał winnego. Po tamtej serii morderstw Jake pracował jak w transie. Nie spoczął nawet po uwięzieniu Bordona. Nigdy nie przestał go podejrzewać, był głęboko przekonany, że Bordon maczał palce także w innym morderstwie, popełnionym inaczej.

W zabójstwie Nancy.

To nic był wypadek, tym bardziej samobójstwo. Nancy zamordowano i Bordon maczał w tym palce. Jake nigdy nawet nie pomyślał inaczej, choć większość policjantów była odmiennego zdania.

- Jake? Naprawdę chcesz się tym zająć? - spytał

Gannet, niby mimochodem, zajęty odgarnianiem grudek ziemi i zbutwiałych liści z ciała.

- Jasne. Jestem profesjonalistą, Gannet. A jeśli zajdzie potrzeba powrotu do starych spraw, nie znajdziesz nikogo, kto byłby ode mnie lepszy.

- Racja.

- Masz już jakiś pomysł co do przyczyny śmierci?

- Mam. Moim zdaniem to był nóż. Duży nóż.

- Nóż? Skąd wiesz? Przecież przy tych kościach prawie nie ma ciała.

- Fakt. Ale spójrz, widzisz tę rysę na kości? Mówi sama za siebie. Zbadamy to dokładniej, ale już teraz jestem pewien, że to nóż o dużym ostrzu. Tak czy inaczej, potrzebował noża, żeby odciąć uszy i zmasakrować twarz. No i palce... Ale co ja ci będę tłumaczył, Jake. Znam cię nie od dziś, wiem, o czym teraz myślisz...

- Za dużo zbieżności, Gannet. To też wygląda na mord rytualny.

- Cierpliwości, Jake. Ja też to widzę, ale poczekajmy na wyniki autopsji. Obaj dobrze wiemy, że zdarzają się morderstwa niesłusznie przypisywane seryjnemu zabójcy.

Doktor, wpatrzony w zwłoki, zamilkł.

- Ej, Jake - zagadnął po dłuższej chwili. - Słyszałem, że twoja łódź stoi teraz gdzie indziej?

- Tak, od wczoraj.

- Zmiana otoczenia zawsze dobrze robi, Jake.

- To ta sama stara łajba.

- Ale basen inny. Po obudzeniu nowy widok.

- Fakt.

Tylko tyle. Jake nie chciał rozwijać tego tematu. Gannet, tak jak chyba wszyscy, uważał, że Jake dzielił z Nancy nie tylko wóz patrolowy. A niech ich wszystkich... Przecież Nancy nie żyła już od pięciu lat.

Podczas śledztwa uznano za najbardziej prawdopodobny następujący wariant: Nancy, zdesperowana rozpadem swego małżeństwa, coraz trudniej radziła sobie ze stresem. Tamtej nocy postanowiła po prostu odreagować. Spotkała kogoś, wypła parę drinków, łyknęła kilka tabletek i skończyła na dnie kanału. Wszystko brzmiało bardzo logicznie, ale komuś, kto znał Nancy, trudno było uwierzyć w taką wersję wypadków.

Jake nie uwierzył... Mimo że sekta Ludzi Zasad została rozbita, nadal trwał przy swoim. Szukał, węszył, balansując niebezpiecznie na granicy obsesji. Po pewnym czasie sam doszedł do wniosku, że trzeba wyhamować, skupić się na metodycznym śledztwie. Nadal wierzył, że dzięki determinacji pewnego dnia dojdzie prawdy.

- Doktorze Gannet? Detektywie Dileccio? - rozległ się cichy głos Mandy Nightingale. - Czy można zabrać ciało?

- Ja już skończyłem - oznajmił doktor, wstając z kolan. Jake poszedł w jego ślady.

- Jeśli doktor skończył, to ja też.

- Świetnie, w takim razie zrobię jeszcze kilka zdjęć - powiedziała Mandy. - Jake, nie chcę cię martwić, ale reporterzy już dotarli na miejsce.

- Zająć się nimi? - spytał Martin.

- Nie, Martin. Wyślij paru ludzi, niech pogadają z ludźmi z pobliskich domów, może ktoś jednak coś widział.

Martin skinął głową. Jake schylił się, przeszedł pod żółtą taśmą i ruszył w stronę sporego tłumku żądnych sensacji reporterów.

- Detektywie Dileccio! To morderstwo, prawda? - wolała już z daleka Jayne Gray z jednej z lokalnych rozgłośni radiowych. - Młoda kobieta?

- Przykro mi, ale niewiele mam państwu do powiedzenia. Znaleźliśmy ciało kobiety, mogło tu leżeć od kilku tygodni, może nawet kilku miesięcy. Na razie to wszystko. Teraz czekamy na orzeczenie lekarza sądowego. Dalsze informacje uzyskają państwo u rzeczownika policji.

- Ale pan już teraz może nam coś powiedzieć! - rozległ się donośny męski głos. No, tak, ten nic popuści. Bryan Jay z gazety lokalnej, wyjątkowo nachalny grubas. - Bo to jest morderstwo, prawda, detektywie? Znaleźliście zamordowaną kobietę, w tym bagnie koło drogi? Czy znowu mamy do czynienia z seryjnym mordercą? Czy została zamordowana w taki sam sposób, jak tamte kobiety przed kilkoma laty? Czy ciało jest okaleczone?

- Bardzo dużo pytań, panie Jay. Proszę poczekać na ustalenia lekarza sądowego.

- Ale to morderstwo bardzo przypomina tę sprawę sprzed pięciu lat, prawda? Ten ćpun, który wtedy się przyznał, nie żyje?

- Popełnił samobójstwo.

- Jednak sprawa nigdy nie została oficjalnie zamknięta?

- Nie, panie Jay.

- Wtedy policja weszła wśród miejscowych sekt. Podejrzewaliście Petera Bordona, znanego jako ojciec Pierre. On jest teraz w więzieniu?

Facet jest niespożyty... Jake z trudem opanowywał chęć przyłożenia dziennikarzowi.

- Peter Bordon jest w więzieniu. Jak zapewne wszyscy wiecie, nigdy nie był sądzony ani skazany za morderstwo.

- Tak. Wiemy - odezwał się znów Jay, nie dając innym dojść do głosu. - Tak samo wiemy, że ten ćpun, Harry Tennant, nic był zabójcą. Policja poszła wtedy na łatwiznę i proszę, znów mamy martwą kobietę.

- Panic Jay, bardzo mi przykro, ale policja operuje faktami, nie przypuszczeniami - oświadczył Jake stanowczym głosem. Zabrzmiało to bardzo szorstko, dlatego spróbował stonować dalszą wypowiedź. - Proszę państwa! Darzę przedstawicieli mediów wielkim szacunkiem, dlatego nie chcę nikogo zwodzić fałszywymi teoriami. Poczekajmy na fakty. Dziękuję.

Odwrócił się i odszedł, planując kolejne posunięcia. Najpierw powinien porozmawiać z tą biegaczką, która znalazła ciało. Zanim dorwąją dziennikarze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W poniedziałkowy poranek pierwszą rzeczą, jaką uczyniła Ashley Montague, było przekopanie się przez gazety, które Nick, entuzjasta recyklingu, powiązał w schludne pakiety i ułożył na podłodze koło drzwi na tyłach domu.

- Ashley, a co ty robisz?

Zaspany głos wuja zaskoczył Ashley i jednocześnie obudził w niej poczucie winy. Nie dość, że zakłóciła mu sen, to schludne pakiety wcale nie wyglądały już tak porządnie.

- Przepraszam, że cię obudziłam, ale w drodze do Orlando widziałyśmy wypadek. Szukam sobotniej gazety, chcę dowiedzieć się, co w tej sprawie ustalono. Może ty coś słyszałeś?

Ashley patrzyła na Nicka z przyjemnością. Jej wuj, lat pięćdziesiąt dwa, teraz w spodniach od pizamy i szlafroku, wyglądał wspaniale. Zmarszczek miał

sporo, jak każdy, kto nie ucieka przed słońcem i wiatrem, ale te zmarszczki wcale nie szpeciły, przeciwnie, dodawały twarzy charakteru. Rysy twarzy regularne, siwe pasma pięknie wtapiające się w jasny blond czupryny. Oczy jasnoniebieskie, inteligentne, pełne życiowej mądrości.

Nick, ziewnąwszy szeroko, zawiązał mocniej pasek szlafroka i podszedł do ekspresu. Sięgnął po dzbanek i nagle jego ręka znieruchomiała. W dzbanku nie było kawy. A przecież Ashley zawsze rano robiła kawę.

- Przepraszam - bąknęła, rumieniąc się pod jego polnym wyrzutem spojrzeniem. - Ale ten wypadek po prostu mnie prześladowuje.

Rzuciła się do szatki po filtr, Nick zajął się napełnianiem ekspresu wodą, mrużąc coś pod nosem.

- Dobrze już, dobrze. Potrafię jeszcze sam zaparzyć kawę.

- Nick, a słyszałeś coś o tym wypadku?

- Dziecko drogie! Mieszkamy w Miami, tu nie ma dnia, żeby ktoś kogoś nie stuknął.

- A nie wiesz, gdzie są wiadomości lokalne z sobotniej gazety? Tam musi być wzmianka o tym wypadku, przecież zginął człowiek.

- No dobrze. Sobotnia gazeta jest u mnie, w sypialni.

- Mogę po nią pójść?

- Hm... - mruknął Nick trochę niezdecydowanie.

Sharon jest chyba pod prysznicem...

- Rozumiem. Dobrze, poczekam, aż wypijesz kawę i sam mi przyniesiesz gazetę. Wiesz, ten wypadek przez cały weekend nie dawał mi spokoju.

- To niedobrze, miałaś się przecież trochę rozewać. Zjesz tost?
- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna.
- Masz dziś zajęcia prawie do wieczora. Musisz coś zjeść.
- W drodze powrotnej najadłam się jakichś obrzydliwości. Do lunchu chętnie się przegłodzę.
- Obrzydliwości?
- To miały być hamburgery.
- A o której wróciłaś do domu, Ashley?
- O trzeciej.
- No pięknie! A przed tobą ciężki dzień.
- Nie szkodzi. Młodzi ludzie doskonale znoszą niedobory snu.

Nick uniósł znacząco brew, prawdopodobnie zastanawiając się, czy wypowiedź Ashley jest aluzją do jego wieku. Nieważne, teraz przede wszystkim musiał napić się kawy. Nick wypił cały kubek, Ashley filiżankę. Potem Ashley pobiegła pod prysznic, a wuj poszedł do sypialni po obiecaną gazetę.

Wuj Nick. Był przy Ashley prawic od zawsze. On i jego ukochana restauracja „U Nicka”. Szyld się nie zmienił, poprzedni właściciel również miał na imię Nicholas. Ashley wychowała się więc w starym, solidnym domu, zbudowanym w latach dwudziestych ubiegłego wieku, kiedy Greater Miami było jeszcze miasteczkiem. Dom, zbudowanym ze słynnej sosny z hrabstwa Dade, drewna teraz rzadkiego i bardzo drogiego, usytuowany był w pobliżu basenu portowego, pełnego lodzi. Z basenu wąskim nabrzeżem

można było podejść niemal pod samą restaurację. Restauracja i bar zajmowały prawie cały parter od frontu, za nimi mieściła się kuchnia restauracyjna i biuro. Na tyłach domu znajdowała się prywatna kuchnia i salon, na piętrze, dokładnie nad salonem - apartament Nicka. Ashley rezydowała na parterze, w osobnym skrzydle, z osobnym wejściem, choć do jej pokoju można było wejść również z salonu.

Restaurację urządzono w stylu rustykalnym. Nie brakowało, naturalnie, akcentów marynistycznych. W salonie, nad wejściem do pokoju Ashley, straszyły szczęki wielkiego białego rekina, pełne ostrych zębów. Obok, w przeszklonej szafie, królował dzwon z dziewiętnastowiecznego okrętu, a cała ściana zawieszona była wypchanymi rybami i fotografiami. Ashley kochała te zdjęcia, bo tam byli wszyscy— jej rodzice, dziadkowie, tata ze swym bratem, Nickiem, obaj jeszcze bardzo mali. Zdjęcie malutkiej Ashley z tatą w mundurze, i jeszcze jedno zdjęcie, z mamą i tatą, zrobione podczas zawodów dla dzieci, kiedy Ashley złowiła pierwszego w swoim życiu wielkiego snappera³.

Ashley szybko wzięła prysznic i po kwadransie ponownie weszła do kuchni.

Nick stał pochylony nad kuchennym blatem, z posępnym wyrazem twarzy. Obok Sharon, również z niewesołą miną i również wpatrzoną w rozłożoną na blacie gazetę. Sharon, od blisko roku przyjaciółka

³ Duża ryba atlantycka o czerwonych łuskach.

Nicka, była kobietą nadzwyczaj atrakcyjną. Jaśniutka, prawie platynowa blondynka o ogromnych błękitnych oczach, szczupła i niska. Młodsza o kilka lat od Nicka, zawsze zadbana, elegancka, czasami może aż nazbyt wytworna jak na ten bar, gdzie ostatnio spędzała prawie wszystkie wieczory. Sharon była pasjonatką pracy, a ostatnio z wielkim zapałem rzuciła się w wir polityki. Bardzo inteligentna, z natury wesoła i otwarta, szybko pozyskała sympatię Ashley.

- Napisali coś o tym wypadku? - spytała Ashley, podchodząc do kontuaru. Nick skinął głową, jego twarz na widok Ashley wcale się nie rozpozodziła.

- Dzień dobry, kochanie - odezwała się Sharon, również bez cienia uśmiechu. - Tak nam obojgu przykro...

- Dlaczego, Sharon?

- Mamy dla ciebie smutną wiadomość, Ashley - powiedział Nick. - Ten mężczyzna, którego potrafił samochód na 1-95, to twój dawny kolega szkolny. Żyje, ale zapadł w śpiączkę. Doznał wielu obrażeń wewnętrznych, lekarze powiedzieli jego rodzicom, żeby nie robili sobie zbyt wielkich nadziei.

- Ale kto to jest? Kto?!

- Stuart Fresia.

- Stuart?!

Ashley chwyciła gazetę, szybko przebiegła oczami notatkę i jęknęła cicho.

Stuart Fresia. O wiele więcej niż kolega szkolny. Po prostu - przyjaciel. Nie widzieli się od paru lat, ale to nie miało znaczenia. Świetny chłopak, bystry, in-

teligentny, zawsze mówił, że chce zostać prawnikiem. Jedynek, bardzo rozsądny i odpowiedzialny. Zawsze wiedział, w którym momencie wyjść z imprezy, na którym piwie skończyć. Papierosy popalał, owszem, czasami cygaro, ale nigdy nie sięgnął po narkotyki. Może dlatego, że miał cudownych rodziców. W dobie powszechnych rozwodów stanowili prawdziwy ewenement. Kochali się ponad życie, kochali też jedynego syna. Stuart ich po prostu uwielbiał.

Stuart na drodze, prawie nagi... Nie, to nie ma najmniejszego sensu.

Jeszcze raz przebiegła oczami całą notatkę. Naoczni świadkowie twierdzili zgodnie, że Stuart przebiegał przez drogę pełną samochodów. Nie wiadomo, skąd tam się wziął. Doznał wielu poważnych obrażeń, łącznie z urazem czaszki. Po wielogodzinnej operacji zapadł w śpiączkę. Lekarze zrobili wszystko, co w ich mocy, było jednak mało prawdopodobne, że Stuart z tego wyjdzie.

Fakt nagiego pojawienia się prawie nagiego Stuarta wśród rozjeżdżonych samochodów wyjaśniono zażyciem heroiny. Badania krwi i moczu wykazały to jednoznacznie.

- Nie... -jęknęła znów Ashley.

- Bardzo mi przykro - powiedział miękko Nick, obejmując siostrzenicę ramieniem. - Kochanie, bądź silna...

~ Nick, ja jestem silna. Stuart i heroina? Bzdura. On nigdy nie był ćpunem.

- Nie zapominaj, że dawno go nie widziałaś. Ludzie się zmieniają.

- I co z tego? - Ashley stanowczym ruchem złożyła gazetę. - Ja i tak w to nie wierzę. Bo ja znam Stuarta. Czasami, po jakimś wypadku, szuka się na gwałt krwiodawcy. Pamiętam, Stuart zgłosił się raz czy dwa razy i zawsze odsyłano go z kwitkiem. On mdlał na sam widok strzykawki. Dlatego to, co napisali w gazecie, to bzdura.

- Ashley, dziecko, w życiu zdarzają się różne rzeczy. Stuart na pewno był dobrym dzieckiem i może takim pozostał, tylko wpadł w złe towarzystwo. Najważniejsze, że przeżył... Już późno, Ashley. Jedź do Akademii. Ja zadzwonię do szpitala, dowiem się, co i jak, i zostawię ci wiadomość na komórce.

- Dobrze, Nick. Dziękuję. Dziękuję wam obojgu.

Ashley ruszyła szybko ku drzwiom, otworzyła je dość gwałtownie. Tuż za drzwiami stał Sandy Reilly, stały gość „U Nicka”. Twarz jak skorupka orzecha, brązowa i pomarszczona. Mieszkał na jednej z łodzi, choć taknaprawdę większość czasu spędzał „U Nicka”.

- Cześć, mała! Świetnie wyglądasz w tym mundurze.

- Dzięki.

- Jeszcze jeden policjant... Niedługo nikogo innego tu nie uświadczysz.

- Nie przesadzaj, Sandy.

- Nie przesadzam. Tu aż się od nich roi. Na przykład Curtis Markham z policji South Miami, przychodzi często z synem. Curtis zwykle siada w rogu

sali, lubi pograć w bilard. Przychodzi też Tommy Thistle, jego na pewno znasz, on jest z policji Miami Beach...

- Tak, Tommy'ego znam, Curtisa zresztą też. Obaj zarekomendowali mnie, kiedy ubiegałam się o przyjęcie do Akademii.

- No, widzisz. I przychodzi jeszcze Jake.

.- Jake?

- On bywa! fu rzadko, zwykle w niedzielę, ale teraz zacumował tu łódź i na pewno będzie zaglądał częściej. Nic kojarzysz go? Wysoki gość, brunet, w bardzo dobrej formie. On jest w policji Miami-Dade, w wydziale zabójstw. Detektyw, podobno figura...

Sandy mówił i mówił, ale Ashley już nie słuchała. Jej umysł pracował gorączkowo. Wysoki, brunet, w świetnej formie... Zaraz, zaraz... Czy to przypadkiem nie ten intruz, którego oblała kawą piątkowego poranka? Tak, to na pewno on. I on jest w Miami-Dade, w wydziale zabójstw. No, no...

- Ja znam ich wszystkich - pochwalił się Sandy. -1 służę swoją osobą, jeśli chcesz, żebym przedstawił cię Jake'owi oficjalnie.

- Dziękuję, Sandy, ale ja chyba miałam już okazję go poznać, tego Jake'a. Jak on ma na nazwisko?

- Dilessio.

- Aha, Dilessio. Dziękuję, Sandy, jeszcze raz. Nie trzeba mnie oficjalnie przedstawiać.

Jeszcze tego by brakowało! Ashley Montague nie zamierzała nikomu się podlizywać. Podczas piątkowego incydentu mogła być odrobinę bardziej uprzejma,

fakt, ale nie będzie przecież padać przed nim na kolana.

- Ashley? Wyglądasz trochę dziwnie. Powiedziałem coś nie tak?

- A skąd! Pomyślałam tylko, jak to dobrze, że w tej okolicy aż roi się od gliniarzy. Wychowałam się w tej restauracji, ale to ty wiesz absolutnie wszystko o naszych klientach.

- Nie ma w tym nic dziwnego, Ashley. Przedtem byłaś dzieckiem, teraz masz swoje życie i swoje sprawy. A ja, staruszek emeryt, spędzam czas, obserwując innych. Dobry Bóg zabrał młodość, ale zostawił mi jeszcze bystre oczy i dobre uszy. To i sobie popatrzę, kto przychodzi, kto wychodzi, i posłucham, co tam kto ma do powiedzenia. A gliniarzy przychodzi mnóstwo, choć tego nie widać. Przecież gliniarz po służbie chce odpocząć, popływać łodzią, pochwalić się udanym połowem. Ale jak pociągnąć takiego zajązdek, to opowie staremu człowiekowi to i owo. A ja bardzo chętnie słucham gliniarzy, tak sobie ubarwiam szare życie...

- Hej, Sandy! - odezwał się znienacka Nick zza pleców Ashley. - Dokończysz tę gadkę później. Bo ona, jeśli będzie się spóźniać na wykłady, nigdy nie zostanie gliniarzem. A tak przy okazji, Sandy, otwieramy o jedenastej!

- Przecież wiem, powtarzasz mi to każdego ranka. Ale ekspres do kawy na pewno masz już włączony i nie odmówisz mi tej jednej filiżanki. Wypiję sobie i zniknę, zanim te smarkule, które zwiesz swoimi pracownikami, zaczną tu szaleć.

Ashley uśmiechnęła się. Stary Sandy co najmniej kilka razy w tygodniu zjawiał się wczesnym rankiem, nigdy jednak przed wpół do siódmej. Nikomu nie zawadzało. Brał swoją kawę, siadał na tarasie i popijał, popatrując na łodzie.

Inni miejscowi starszycy mieli podobne obyczaje. No i też pewien detektyw z wydziału zabójstw.

- Ashley? Wszystko w porządku? - zaniepokoił się nagle Nick. - Wyglądasz tak blado.

- Nic się nie dzieje. Nick, dlaczego mi nie powiedziałaś, że ranny ptaszek, którego oblałam kawą, to policjant z wydziału zabójstw, z Miami-Dade?

- Nie dałaś mi szansy, kochanie. Przemknęłam przez kuchnię szybciej niż tornado.

- Faktycznie.

- To porządny facet.

- Powiedzmy.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Nic mi nie jest, przysięgam. A teraz muszę już pędzić. Pa!

Uśmiechnęła się do obu panów, jednak szybko przestała udawać bez troskę. Nie, nie dlatego, że mężczyzna, którego oblała kawą, okazał się oficerem wysokiej rangi z policji Miami-Dade. Ten fakt nie zwałił jej z nóg. Poza tym, przy odrobinie szczęścia, może uda jej się nie wpaść na niego, choć wydział zabójstw mieścił się w głównej siedzibie Departamentu Policji, czyli w tym samym budynku, gdzie odbywały się zajęcia.

Myślała, oczywiście, o Stuarcie. On nigdy nie tknął

narkotyków, niemożliwe, żeby teraz nagle stał się ćpunem. Zawsze miał głowę na karku i był bardzo przywiązany do rodziców. Chciał, żeby byli z niego dumni. Lubił też żartować. Kiedyś Ashley opowiadała mu przez telefon o chłopaku, który wpadł jej w oko. Niestety, obiekt westchnień był właśnie u Stuarta. Stuart włączył głośnik w telefonie i tamten chłopak wszystko usłyszał. Ashley prawie umarła ze wstydu, a tamten chłopak umówił się z nią.

Po ukończeniu szkoły Stuart mógł przebierać w stypendiach. Nic dziwnego, był jednym z najbardziej twórczych ludzi, jakich Ashley znała. Dzięki niemu zresztą przeżyła małą przygodę z filmem. W ramach projektu końcowego uczniowie kręcili filmy, Stuart wciągnął ją do współpracy. Jego film okazał się najlepszy, wyświetlano go w audytorium kilkakrotnie. Tytuł filmu brzmiał: „Dyscyplina? Od czasu do czasu”. Przesłanie w sumie pozytywne, choć jednocześnie dzieło Stuarta, niesamowicie dowcipne, wywoływało salwy śmiechu.

Mimo swoich wyraźnych zainteresowań filmem, literaturą i sztuką, Stuart zdecydował się studiować biznes. Ze względu na dość ograniczone możliwości finansowe wybrał uczelnię państwową na Florydzie, dzięki czemu mógł często widywać się z rodzicami. Ashley pamiętała, że zapraszał ją na imprezę z okazji ukończenia studiów. Niestety, musiała odmówić, ponieważ znalazła sobie pracę na lato. Zaciągnęła się jako mat na żagłówkę. Stuart wspomniał jej wtedy, że on też ma zamiar trochę popracować, ale potem chce

jeszcze postudiować i zdobyć stopień magistra. Spotkali się pod koniec lata. Zjedli razem lunch, Sturat mówił, że wybiera się do Nowego Jorku, rozejrzeć się po tamtejszych uczelniach. Obiecali sobie, że będą do siebie dzwonić. Jednak ta obietnica, jak wiele innych, w nawale codziennych obowiązków poszła w zapomnienie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W sobotę po południu Jake'a wezwał do siebie kapitan Blake, szef wydziału. Chciał po prostu ustalić kilka rzeczy. Wiadomo, dobry detektyw praktycznie nie ma wyznaczonych godzin pracy. Zwykle pracuje na okrągło, dając z siebie o wiele więcej, niż jest zobowiązany. Zwykle jednak wie również, jak zachować zdrowe zmysły, czyli w którymś momencie wraca do domu i zajmuje się swoim prywatnym życiem.

Kobieta, którą teraz znaleźli, nie żyła już od jakiegoś czasu. Nerwowa szarpanina do niczego nie doprowadzi. Tylko żmudna, systematyczna praca pozwoli odnaleźć mordercę i doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości. Detektyw Dileasio powinien mieć jednak pełną świadomość, że w trakcie ciężkiej pracy trzeba brać sobie wolne, aby zachować świeżość umysłu. Policjant przemęczony i zestresowany raczej zaszkodzi śledztwu niż popchnie je do przodu.

Jake zgadzał się z każdym słowem kapitana. Problem polegał jednak na tym, że właśnie w sobotę nagromadziło się sporo spraw. Po pierwsze - autopsja, podczas której Jake chciał być obecny. Poza tym jak najszybciej należało prześledzić dalsze losy dawnych członków sekty Bordona. Dlatego Jake kilka godzin spędził z Hankiem Andersonem, prawdziwym magikiem, jeśli chodzi o wyszukiwanie danych. Część informacji, jakie znalazł Hank, Jake miał już w swojej prywatnej bazie danych i aktach, które przechowywał w domu. On przecież nigdy nie przestał zajmować się tą sprawą. Dalej szukał, choć w tajemnicy przed innymi. Żeby nikt go nie posądzał o obsesję...

Wieczorem Jake i Marty zasiedli do telefonu. Pierwsza ich rozmówczyni, teraz mężatka z trzyletnim dzieckiem, była po prostu zdenerwowana. Mąż o niczym nie wiedział, a ona ten rozdział swego życia najchętniej wyrzuciłaby z pamięci. Zaklinała się też, że tamtych kobiet, zamordowanych przed pięcioma laty, w ogóle nie znała, zresztą w hierarchii sekty stała bardzo nisko, nic nie znaczyła. I Jake, i Martin czuli, że kobieta nie kłamie. Drugi rozmówca, młody mężczyzna wysłuchał kiedyś kilku kazań ojca Pierre'a, ale na tym się skończyło. W sumie Jake i Marty wykonali kilka telefonów, ale wszystkie rozmowy zakończyły się fiaskiem.

W niedzielne popołudnie Jake tradycyjnie robił sobie oddech i tak jak większość jego znajomych wypuszczał się do jednego z barów. Napić się dobrego piwa, pogadać o rybach i wspólnie obejrzeć mecz

w telewizji. Tę niedzielę jednak spędził inaczej. Najpierw dłużej trochę przy łodzi, a wieczorem wyszedł. Ale nie do Nicka. Poszedł do ojca, który od dwóch lat, czyli od śmierci matki, zbyt dużo czasu przesiadywał sam, w ciemnościach, zapewniając wszystkim dookoła, że czuje się świetnie.

W poniedziałek rano, ledwo Jake zasiadł za biurkiem, odezwał się telefon. Dzwonił Neil Austen, detektyw sądowy.

- Cześć, Jake! Chciałem ci przekazać, co ustaliliśmy już w sprawie tej Jane Doe⁴, znalezionej w nocy z piątku na sobotę. Niestety, tak naprawdę, to wiemy jeszcze bardzo mało. Prawdopodobnie nie była stąd. Jeśli tak, to nikt nie zgłaszał jej zaginięcia. Liczymy na badania uzębienia, o ile ona w ogóle kiedyś była u dentysty. Wyobraź sobie, ta biedna dziewczyna miała zęby jak marzenie, ani śladu próchnicy. Mało komu udaje się przeżyć dwadzieścia parę lat bez jednej plomby.

- Faktycznie, dość niezwykle. I co jeszcze możesz o niej powiedzieć?

- Wzrost prawdopodobnie około stu sześćdziesięciu siedmiu centymetrów, średniej budowy ciała, nigdy nie rodziła. Gannet mówi, że to wygląda na mord rytualny.

- Podobny do...?

- Tak. Podobny.

⁴ Jane Doe - fikcyjne imię i nazwisko, nadawane niezidentyfikowanym jeszcze ofiarom płci żeńskiej (płci męskiej - John Doe).

Neil westchnął.

- Wiesz, Jake, to prawdopodobnie było bardzo ładne stworzenie. Chłopaki nazwali ją Śnieżka. Śnieżka... Cholera! W tej robocie ciągle masz do czynienia z czymś paskudnym, ale niektóre sprawy są wyjątkowo ohydne. Aha, jeszcze jedno. Gannet mówi, że ona nie żyje od dwóch do czterech miesięcy. To wszystko, Jake. Jak będzie coś nowego, natychmiast się z tobą skontaktuję.

- Dzięki, Neil.

Jake odłożył słuchawkę i wyciągnął teczkę ostatniej ofiary sprzed pięciu lat. Na pierwszej stronie przypięto zdjęcie kobiety, młodej, z nieśmiałym uśmiechem.

Dana Renaldo. Wtedy dwadzieścia dwa lata, też metr sześćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt kilogramów. Młoda, pełna życia kobieta. Jej rodzice nie żyli, zaginięcie zgłosiła kuzynka, ciało znaleziono dopiero po roku. Dana Renaldo pochodziła z Clearwater. Policja zajęła się sprawą rutynowo. Ustalono, że Dana, zanim znikła, spakowała wszystkie rzeczy i wyczyściła konto. Trzy miesiące wcześniej przeżyła nieprzyjemny rozwód, dlatego uznano, że Dana po prostu postanowiła rozpocząć zupełnie nowe życie. Każdy ma do tego prawo. I trzymano się tej wersji - dopóki nie znaleziono ciała.

Przed swoim zniknięciem Dana pracowała w nieruchomościach i ubezpieczeniach, także dla pewnej firmy prawniczej w Tampie. I właśnie do tej firmy wysłała list z informacją, że rezygnuje z pracy.

Jake wyciągnął następne teczki.

Eleanore „Ellie” Thorn nie była podobna ani do Dany Renaldo, ani do ostatniej denatki. Przyjechała na urlop do Fort Lauderdale i już nigdy nie wróciła do domu. Nie podjęła żadnej pracy. Wyczyściła konto w miejscowej filii swego banku, potem widywano ją czasami w mieście. Przychodziła na kazania Bordona, niekiedy zostawała w jego posiadłości na dłużej. Wysoka, prawie metr siedemdziesiąt siedem, mocnej budowy. Blondynka. Ją też, tak jak inne ofiary, znaleziono po upływie dłuższego czasu.

I pierwsza z trzech ofiar. Wykształcona, ukończyła studia architektoniczne w Tulane, podobno bardzo inteligentna i zdeterminowana. Sierota, od najmłodszych lat wychowywała się w rodzinach zastępczych. Wykształciła się dzięki ciężkiej pracy i stypendiom. W chwili śmierci miała dwadzieścia sześć lat. Bardzo drobna i niska, przy wzroście metr pięćdziesiąt pięć ważyła czterdzieści pięć kilo. Mieszkała w Miami Beach, kochała architekturę tego rejonu. Była głęboko religijna, szukała pociechy duchowej, Peter Bordon z pewnością wydał jej się charyzmatycznym prorokiem. No tak...

Kiedy Jake odkładał teczki na miejsce, nagle, jak spod ziemi, wyrósł przed nim Martin.

- Sprawdziłem - oświadczył. - Peter Bordon nadal siedzi pod kluczem w więzieniu federalnym.

- Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej.

- Tak. Ale posłuchaj! - powiedział Martin wzburzonym głosem, rzucając na biurko żółty skoroszyt.

- Bordon jest wzorowym więźniem i chcą go zwolnić, już wkrótce. Każdy, kto miał z nim w pudle do czynienia, twierdzi, że to nadzwyczaj miły i uprzejmy człowiek. Przeczytaj sobie ten raport, chociaż może lepiej nie, bo zrobi ci się niedobrze. Czeka, ja przeczytam, co wysmażył psycholog więzienny. Posłuchaj. „Pan Bordon ubolewa nad tym, że z powodu jego operacji finansowych tyle osób poniosło starty. Jest gotów zwrócić wszystkim poszkodowanym pieniądze. Pan Bordon absolutnie nie stanowi żadnego zagrożenia dla społeczeństwa. Jest głęboko religijny, pomógł wielu ludziom, wśród współwięźniów cieszy się wielką sympatią”.

Jake słuchał, nie spuszczać oczu z Martina. Słuchał i czuł, jak napinają mu się mięśnie.

.- Jake, on na pewno nie dokonał tych zabójstw.

- Wiemy to.

- Gannet mówi, że nasza nowa Jane Doe nie żyje od dwóch do czterech miesięcy. Bordon siedział wtedy w więzieniu.

- Śnieżka... - mruknął Jake. - Tak ją nazwali ci z medycyny sądowej. Popatrz, oni na co dzień widzą tyle złego, a ta dziewczyna jakoś chwyciła ich za serce.

- Powtarzam, Bordon w tym czasie siedział w więzieniu.

- Problem polega na tym, że to nie ma żadnego znaczenia. Ten drań na pewno w jakiś sposób przyczynił się do śmierci tych kobiet.

- Tego nie wiemy, Jake.

- Mam przeczucie.

- To za mało dla prokuratora okręgowego, on zażąda dowodów. Nazwali ją Śnieżką? Cholera... Śnieżka z obciętymi uszami.

Śnieżka z obciętymi uszami... Żałosne szczątki, na które Jake patrzył podczas sekcji. Wszystko, co pozostało z człowieka, najpierw okrutnie okaleczonego ręką drugiego człowieka, potem poszarpanego przez zwierzęta. Dana, ostatnia ofiara serii zabójstw przed pięcioma laty, na stole sekcyjnym wyglądała chyba jeszcze gorzej. Jak straszliwa maskara, wykonana w laboratorium efektów specjalnych.

Nad każdą z tych kobiet pochylał się doktor Gannet, starając się odkryć jak najwięcej szczegółów. Ciało nie ożywisz, ale możesz martwemu człowiekowi zwrócić przynajmniej część jego osobowości. Pomóc mu po raz ostatni - dopaść i ukarać oprawców.

Na tym polegała praca doktora Ganneta, także praca detektywa Dilessia. Jake zapragnął zostać policjantem, bo pewien gość, który stał się jednym z jego najlepszych przyjaciół, był gliną. Ten facet pojawił się w chwili, gdy Jake, wówczas dokładnie osiemnastoletni, wgniół swój prezent urodzinowy w pewną palmę w Coconut Grove.

Jake nigdy przedtem nie siadał po alkoholu za kierownicą. Dopiero tamtego wieczoru. Był wstawiony, ale wsiadł do swego nowiutkiego firebirda. Dla szpanu. Jego rodzice zamierzali kupić dom przy końcu ulicy, Jake chciał pokazać ten dom pewnej dziewczynie. W końcu co to za problem przejechać firebirdem dosłownie kilkaset metrów. Nic się nie stanie.

Stało się.

Nic był mięczakiem, tylko wysportowanym chłopakiem. Miał wystarczająco wysoką średnią, żeby podjąć naukę w dobrym college'u. Zawsze wiedział, jak co rozegrać, kiedy można sobie poluzować, kiedy trzeba się sprężyć. Ale tego wieczoru przesadził, zachował się dokładnie tak, jak określił to policjant, który zjawił się na miejscu wypadku. Pograjak bogaty gnojek, któremu się wydaje, że wszystko można kupić.

Carlos Mendez pracował w policji ćwierć wieku. Mógł sprawę załatwić krótko, czyli z miejsca oskarżyć chłopaka o jazdę po pijanemu. Zrobił jednak inaczej. Najpierw zrugął Jake'a, a kiedy ten zaczął się stawiać, oświadczył, że Jake ma prawo skontaktować się ze swoim prawnikiem, nawet z samym diabłem, ale wszystko w swoim czasie. I nieważne, ile kasy mają jego starzy, ich synalek i tak tę jedną noc spędzi w areszcie.

- Narozrabiałeś, chłopie - mówił spokojnie, wcale nic podnosząc głosu. - Teraz powinienes paść na kolana i dziękować Bogu. Tylko ta biedna palma nie przeżyje. A to mogłeś być ty. Byłbyś teraz cichutko, żadnego pyskowania, bo wieźliby cię do kostnicy. Albo tę ładną panienkę, którą zabrałeś na przejażdżkę. Dlatego ciesz się, że jest, jak jest.

Jake przestał dyskutować i prawdopodobnie wtedy Carlos doszedł do wniosku: skoro do bogatego gnojka coś jednak dociera, to warto dać mu jeszcze jedną szansę. Alkohol pomiął milczeniem, w raporcie zanotował, że kierowca stracił panowanie nad kierownicą. W zamian za

to Jake miał coś obiecać. Potem Carlos zdradził, że zdał się wtedy po prostu na swój instykt- najważniejszy instrument w pracy policjanta, czasem efektywniejszy od tego, co oferuje współczesna technika.

Jake postanowił dotrzymać danej obietnicy. Ogarnął się jakoś i nawet wytrzeźwiał, zanim wrócił do domu. Miał spędzić z Carlosem jeden dzień na posterunku i odpracować społecznie pięćdziesiąt godzin. Pracując w kuchni wydającej posiłki dla bezdomnych, nauczył się pokory. Widział narkomanów, dla których życie straciło sens. Patrzył na dzieci płacące okrutną cenę za nałóg rodziców. Byli również tacy, którzy próbowali odbić się od dna. Poznał narkomana, który dzięki pomocy pewnego gliniarza wyszedł na prostą i prowadził teraz schronisko dla maltretowanych dzieci. I prostytutkę, którą uratował pewien mocno stąpający po ziemi ksiądz. Poznał też nieuczciwego księgowego, który wywinął się od więzienia, a następnie postanowił czynić jedynie dobro.

Popołudnie na posterunku też było ciekawe. Carlos pokazał mu na taśmach wideo sceny, których nie wymyśliłby najlepszy scenarzysta. Głównie z wypadków drogowych spowodowanych jazdą pod wpływem alkoholu.

Ajakiś czas potem Jake poznał kilku takich samych chłopaków jak on. Carlos mógł ich zaaresztować i posłać do więzienia na ładnych kilka lat. Ale nie zrobił tego. Zaryzykował.

Warto było. W przypadku Jake'a Carlos osiągnął coś więcej. Jake w szkole miał dobre stopnie, dostał się

na Harvard, dawną alma mater ojca, lecz nie podjął tam studiów. Ojciec krzychał, a matka płakała, jednak w końcu zaakceptowali decyzję syna. Jake zaczął studiować kryminalistykę w miejscowym college'u i wstąpił do policji.

Nigdy nie żałował swej decyzji. Nigdy. Ojciec był z niego dumny, cieszył się z jego zawodowych sukcesów. Jake zawsze chciał pracować w wydziale zabójstw, a pewne zdarzenie utwierdziło go w tej decyzji. Jechali z Carlosem wozem patrolowym, gdy nagle Carlos przyhamował, bo dojrzał na poboczu czyjeś nieruchome ciało.

- Dlaczego nie wezwiesz innych? - spytał Jake.

- Nie jesteś na służbie.

- Wezwę ich natychmiast, kiedy przekonam się, co jest grane i zabezpieczę miejsce zdarzenia. I zapamiętaj sobie, synu, raz na zawsze, że policjant nigdy nie kończy służby.

Jake niczego nie zauważył, a doświadczone oko Carlosa dostrzegło człowieka leżącego na brzuchu, prawie niewidocznego w wysokiej trawie, wśród puszek, butelek i innych śmieci wyrzucanych z samochodu przez beztroskich kierowców.

Carlos zadzwonił, gdzie trzeba, sprawdziwszy najpierw, czy człowiekowi leżącemu na ziemi można jeszcze pomóc. Niestety, ciało było zimne jak lód. Prawdopodobnie jakiś włóczęga albo pijaczek, pomyślał Jake. Jednak Carlos był innego zdania i naturalnie miał rację. Nie pozwolił Jake'owi podejść bliżej. Kiedy nadjechali detektywi i technicy, Jake stał obok

Carlosa i patrzył, jak grupa ludzi szybko i zręcznie zaczyna krzątać się wokół nieruchomego ciała. Wokół człowieka martwego, niezdolnego już otworzyć ust, przemówić.

Nie musiał. Mówiła za niego jego własna śmierć. Zimna i cicha, wołała o sprawiedliwość. A oni wszyscy, poruszający się niemal bezszelestnie, słyszeli to wołanie. To tak, jakby obiecywali ofierze sprawiedliwość, która przecież należy się każdej ludzkiej istocie, nawet pijakowi.

Okazało się, że był to imigrant, robotnik, który nie zapił się na śmierć, lecz został zamordowany. Detektywi doszli prawdy w ciągu kilku tygodni, między innymi dlatego, że Carlos starannie zabezpieczył miejsce zbrodni. Nie było zbędnych śladów, tylko te, które doprowadziły do mordercy.

Tamtego dnia Jake postanowił nieodwołalnie, że będzie pracować w wydziale zabójstw.

Ta decyzja zbliżyła go bardzo do ojca, wytrawnego adwokata, który potrafiłby obronić samego diabła. To ojciec wbił Jake'owi do głowy, że jeśli detektyw nie zbierze niepodważalnych dowodów i nie będzie przestrzegać procedury, każdy dobry adwokat z łatwością obali jego zeznania.

Jake prowadził wiele spraw, nie dopuszczając, aby gniew, ból, litość czy odraza wzięły górę. Postępował zgodnie z regulaminem. Profesjonalista, który trzyma uczucia na wodzy.

Ale ta sprawa, ta ostatnia Jane Doe... Po prostu koszmar.

Wziął głęboki oddech. Jeden, drugi. Nie powinien ulegać emocjom, nawet w obecności Martina.

- Jake, dla ciebie - zawołał jeden z policjantów, rzucając na biurko kopertę. Jake wiedział, co jest w środku. Informacje o nowej Jane Doe. O Śnieżce. Rozerwał kopertę, przebiegł szybko oczami notatkę.

- No, tak... - mruknął. - Jeszcze jej nie zidentyfikowali. W takim razie robimy to, co dotychczas, czyli dalej bierzemy pod lupę dawnych członków sekty Bordona. Musimy dokładnie ustalić, co każdy z nich robił od momentu, kiedy Bordon powędrował do pudła. Aha, i wyślij ludzi, niech dalej węszą po okolicy, choć nie wierzę, żeby to coś dało. A ja... ja jeszcze w tym tygodniu wybiorę się w głąb stanu.

- Rozumiem. Pragniesz towarzystwa czy mam zostać?

- Wolę sam porozmawiać z Bordonem.

- Już kiedyś z nim rozmawiałeś, Jake.

;• I podczas tamtej rozmowy kariera detektywa Dilesia zawisła na włosku. Skoczył Bordonowi do gardła, na szczęście Martin i jeden z mundurowych zdołali go odciągnąć.

- Będzie dobrze, Martin. Wtedy mnie poniosło. Teraz go nie tknę, chociażby dlatego, że jest nam cholernie potrzebny. Żywy. Wiesz dobrze, że tamta sprawa sprzed pięciu lat nie została oficjalnie zamknięta. Historia lubi się powtarzać. Bordon na pewno stał za tamtymi morderstwami, choć zamieszanych było więcej osób. Kto wie, może nawet i ten nieszczęsny Harry Tennant.

Odezwał się telefon. Jake chwycił za słuchawkę.

- Tu Blake. No i jak tam, Jake? Znow pracowałeś w weekend?

- W niedzielę zrobiłem sobie wolne.

- Żeby posiedzieć nad aktami?

- Odwiedziłem ojca.

- A... to bardzo dobrze. Przeczytałem właśnie raport o ostatnim morderstwie. Faktycznie, to bardzo przypomina sprawy sprzed pięciu lat. Dlatego reaktywujemy grupę operacyjną i ty nią pokierujesz, o ile przysięgniesz, że zachowasz zimną krew, a wszelkie spekulacje, nie poparte mocnymi dowodami, zachowasz dla siebie, jasne?

- Tak jest. Dziękuję.

- Ty wiesz najlepiej, co się wtedy działo. Aha, i naturalnie należy rozważyć, czy nie chodzi o naśladowcę.

- Oczywiście.

- Pamiętaj, Jake, nie jesteś samotnym jeźdźcem. Pracujemy w zespole.

- Tak jest, kapitanie.

- Odprawa o wpół do jedenastej, w moim gabinecie. Do sprawy włączony został Franklin z FBI. Będzie z tym jakiś problem?

- Nie, kapitanie.

A niech to... Ethan Franklin działał na wszystkich jak czerwona płachta na byka. Choć trzeba było przyznać, że w komputerze naprawdę umiał grzebać jak mało kto.

- Do grupy wejdą Bełk, Rosario, MacDonald

i Rizzo. Poza tym zawsze dostaniesz tyłu mundurowych, ilu będziesz potrzebował. A więc dziesiąta trzydzieści u mnie.

- Tak jest, kapitanie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- A teraz sprawy najważniejsze - oświadczył stanowczym głosem sierżant Brennan. - Podstawowe. Powiedźcie no mi, dlaczego tak wam to wbijam do głowy?

Pytanie, naturalnie, było retoryczne. Sierżant sam udzielił sobie wyczerpującej odpowiedzi.

- Bo jeśli o nich zapomnimy, to całą robotę, jaką odwali ekipa dochodzeniowa, diabli wezmą. Nam nie wolno o niczym zapominać. Ani o tych podstawowych sprawach, ani o tym, do jakich celów powołano policję. Jesteśmy tu po to, żeby pilnować prawa, bo bez prawa nic nie funkcjonuje. Dlatego nazywają nas stróżami prawa. Jacoby, na czym to dokładnie polega?

Arne Jacoby siedział obok Ashley. Wyglądał jak obrońca uciśnionych albo... jak skończony sukinsyn. Metr dziewięćdziesiąt trzy plus sto trzydzieści sześć

kilogramów samych mięśni. Bardzo przystojny, o ciemnej karnacji, ciemnych, króciutko ostrzyżonych włosach. A do tego jasnozielone oczy.

Uśmiechnął się szeroko, niemal serdecznie. Lubił Brennana, jak zresztą wszyscy kadeci z tego kursu. Dla nich sierżant był nie tylko jednym ze specjalistów prowadzących zajęcia, lecz również opiekunem kursu. Sierżant był w porządku, choć czasami twardy, a poza tym lubił rozprawiać o zasadach etycznych. Jacoby wolał zagadnienia bardziej konkretne, co jednak nie oznaczało, że teraz dumał o niebieskich migdałach.

Wstał. Twarze wszystkich, jak na komendę, zwróciły się w jego stronę.

- Jesteśmy tu po to, żeby chronić innych i służyć im - oświadczył mocnym, jasnym głosem.

- Tak, dziękuję, Jacoby. O to właśnie chodzi. Chronić i służyć - to nasze motto. Nie tylko ściganie tych, którzy nie przestrzegają prawa, ale przede wszystkim ochrona obywateli. Nie brakuje ludzi, dla których życie drugiego człowieka nie przedstawia żadnej wartości. Widzieliście taśmy, poznaliście statystyki. Wiecie, jak w praktyce wygląda praca policjanta. Wiecie, że będziecie ścigać przestępców, którzy w każdej chwili mogą strzelić wam w twarz. Chcecie dopaść drania i zaarrestować. Która ze spraw zasadniczych nie może wam wtedy pod żadnym pozorem wypaść z pamięci? Jacoby?

- Nie dać się postrzelić w twarz!

Sierżant uśmiechnął się.

- Racja, Jacoby. To jest również nadzwyczaj

istotne. O czym jednak nie wolno zapominać w chwili aresztowania podejrzanego?

- Należy poinformować faceta o jego prawach. Albo facetkę.

- Brawo! Nic dodać, nic ująć. W ciągu ubiegłych tygodni wysłuchaliście wykładów wielu specjalistów. Przyjdą do was jeszcze antropolodzy, entomolodzy, specjaliści od daktyloskopii i balistyki, botanicy, chemicy, matematycy, serolodzy, psychologowie, lingwiści, i tak dalej, i tak dalej. Ich praca, bezcenna dla współczesnego wymiaru sprawiedliwości, pójdzie, niestety, na manie, jeśli policjant na samym początku schrzani robotę. Montague, przypomnijcie nam, co należy powiedzieć aresztowanemu w chwili zatrzymania!

Ashley wstała i jednym tchem wyrecytowała stosowną formułkę.

- Tak. I to musicie znać równie dobrze jak pacierz. A dlaczego? Montague, podajcie jakiś przykład z praktyki.

- Przypuśćmy, że w przypadku morderstwa policjant nie poinformował podejrzanego o jego prawach. Rozmawiając z podejrzanym, policjant zorientował się, gdzie ukryta jest broń. Znalazł ją, jednak sędzia może odrzucić ten dowód, ponieważ broń została znaleziona dzięki informacjom uzyskanym, zanim podejrzany został poinformowany o swoich prawach.

Sierżant Brennan skinął głową.

- Świetnie, Montague. Dziękuję. I dziękuję wszystkim, przerwa na lunch. Po południu zajęcia z serolo-

giem. Teraz idźcie się pożywić hot dogami albo arroz eon polio⁵.

Sala w jednej chwili ożyła. Zgłodniali kadeci ruszyli ławą ku drzwiom.

- Hot dogi albo arroz eon polio - błaznował Arne za plecami Ashley. - W naszej budzie na kółkach? Koń by się uśmieł! Ashley, co wziąć dla ciebie? Hot dog czy kanapkę z tajemniczym mięskiem?

- Hot dog. Przyjdę za chwilę, sprawdzę tylko pocztę głosową.

- Dobra. Chcesz colę?

- Poproszę. Następnym razem ja stawiam.

- Ale nie tu. Kupisz mi piwko u swojego wujka.

- Załatwione.

Jacoby odszedł, Ashley wyjęła komórkę, znalazła wiadomość od Nicka, który, zgodnie z obietnicą, zadzwonił do szpitala. Stuart nadal był na oddziale intensywnej terapii, nie wpuszczano do niego nikogo poza rodziną. Nick przeproszał też, że tylko tyle udało mu się ustalić.

Tylko tyle? Boże, przecież przekazał jej najważniejszą wiadomość. Stuart żyje...

Pomodliła się, szybkoitko. Spraw, Panie, żeby wszystko dobrze się skończyło." Panie, pozwól mu się obudzić jak najprędzej i powiedzieć, co naprawdę się wydarzyło.

- No i jak tam? - spytał Jake.

⁵ Potrawa latynoska z kurczaka i ryżu.

Marty odłożył słuchawkę. Po odprawie u kapitana on i Jake od kilku godzin nie odchodzili od telefonów.

- Niestety, Jake, jeśli chodzi o tego Johna Masta, który kiedyś prowadził Bordonowi księgowość, możemy dać sobie spokój.

- Dlaczego? Wyszedł z więzienia pół roku temu, podobno podjął pracę w jakimś hotelu w Delray.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Po prostu śledziłem na bieżąco losy ludzi z sekty Bordona. A więc co z tym Mastem?

- Niestety, dwa miesiące po wyjściu z więzienia zginął w katastrofie lotniczej.

- Niech to szlag... Miałem nadzieję, że pomoże nam zidentyfikować tę nową ofiarę. Dziewczyna jest w paskudnym stanie, za kilka dni zajmą się rekonstrukcją twarzy. Ale portret trzeba zrobić już, dobry rysownik sobie z tym poradzi. Zamieścimy potem rysunek w gazecie, pokażemy w lokalnej telewizji, w kilku stacjach. W końcu ktoś musiał ją tutaj widzieć.

- Tak, ale trzeba znaleźć dobrego rysownika, ten Dankins jest do niczego. Spójrz...

Martin otworzył jedną z teczek z aktami i podsunął Jake'owi pod nos. Dankins narysował portret pierwszej ofiary sprzed pięciu lat, jeszcze zanim została zidentyfikowana.

- Zwolnili go dwa miesiące temu - mruknął Jake.

- A... nie wiedziałem. No i dobrze. On nie uchwycił żadnego podobieństwa. To mógłby być każdy, nawet moja ciotka Betty.

Jake wstał i sięgnął po marynarkę.

- Gotowy? - spytał. - Dziś zaczynamy od Mary Simmons.

- Tej, co to była taką niby opiekunką kobiet w sekcje?

- Zgadza się. Odszukałem ją, jest teraz w Hare Kriszna.

- Odszukałeś? Założę się, że cały czas wiedziałeś, co się z nią dzieje.

- Co za różnica? Najważniejsze, że chce z nami rozmawiać. Idziemy.

Ashley, sprawdzwszy pocztę, dołączyła do kolegów. Wesołe towarzystwo rozsiało się już przy jednym ze stolików, ustawionych przed sławetną budą na kółkach, w której stołowali się kadeci z Akademii Policyjnej. Na Ashley czekał hot dog plus zestaw przypraw w malutkich torebkach. Podziękowała i usiadła obok kolegów. Była ich czwórka: Anie, Gwyn Mendoza, Dale Halloran i Izzy Rodriquez.

Wkrótce dołączył do nich jeszcze przyjaciel Ashley Len Green. Już z daleka wesoło machał ręką. Usiadł, odruchowo przygładził włosy.

Len Green... Hm... czy on i Karen mogliby być razem... Czemu nie? Coś już ich łączy. Oboje wierzą głęboko w sens tego, co robią. Nauczycielka z powołania i świetny policjant.

- Len, nie jesteś na służbie? Co to za leniuchowanie? - zapytała żartobliwie Gwyn.

- Wrobili mnie w papierkową robotę. Aresztujesz faceta, on zapada sobie w drzemkę, a ty wypełniasz

dwadzieścia stron formularza. Nie, nie, ludzie, nie rezygnujcie z Akademii, ja po prostu mam dziś chandrę.

Ashley śmiała się głośno razem ze wszystkimi. Len nie był stałym bywalcem w restauracji Nicka, ale Ashley właśnie tam go poznała. Kiedyś jeden z kumpli Lena zaprosił go na swoją żaglówkę. Popływali trochę, potem wpadli do restauracji „U Nicka”, gdzie w kąci-ku siedziała Ashley i przeglądała kwestionariusz dla kandydatów na studia w Akademii Policyjnej. Len zerknął na papiery i zagadnął do Ashley. Porozmawiali chwilę, po kilku tygodniach Len ponownie zjawił się „U Nicka”, z bardzo konkretną propozycją. Chciał umówić się z Ashley.

Ona, na szczęście, miała na podorędziu wymówkę. Szykowała się do egzaminu, poza tym postanowiła skoncentrować się na studiach. Stało się na tym, że czasami gdzieś się razem wypuszczają, na lunch albo do kina. Ashley bardzo ceniła sobie przyjaźń Lena i szczerze go lubiła.

- Ashley? No i co tam nowego? - spytał Len.

- To, co zwykle - odezwał się Arne. — Nasza gwiazda.

- Nie pytam o Akademię. Ashley nie mówiła wam o tym wypadku w zeszłym tygodniu? W gazecie jest nawet artykuł na ten temat. Mam tę gazetę. Ashley, jeśli nie czytałaś...

- Dzięki, Len. Już czytałam. I, niestety, jest jeszcze gorzej, niż myślałam.

- Co? Jaki wypadek? - spytał Arne. - Gdzie?

- Na I-95. Jechałam z koleżankami do Orlando. Samochód potracił pieszego, który wyszedł na szosę w samych bokserkach. Okazało się, że to mój kolega...

- Dziwne - powiedział z zadumą Len. - Chociaż... W końcu jesteśmy w Miami. Poza tym może on należał do jakiegoś studenckiego bractwa, oni uwielbiają takie wygłupy.

- Nie. Stuart nigdy by czegoś takiego nie zrobił, na pewno nie — zaprzeczyła gwałtownie Ashley. - On zawsze świetnie się uczył i był indywidualistą. Nigdy nic wstąpiłby do jakiegoś tam bractwa. Zresztą już ukończył studia, teraz chyba pracuje.

- To co on właściwie robił na tej jezdni? - spytała Gwyn.

- Piszą, że był naćpany - poinformował Len. Żyje, tylko leży teraz w śpiączce.

- Ashley! Czy on był ćpunem? - spytał Izzy wprost.

Nigdy! I jestem przekonana, że teraz też nie bierze.

A kiedy widziałas się z nim po raz ostatni?

Kilka lat temu - odparła nieco ciszej. - Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym wypadku.

Racja, Ash. Popytaj Brerinana - zasugerował Len. - Może sam będzie coś wiedział, a przynajmniej podpowie, z kim pogadać.

Zrób tak, Ash! Koniecznie! - poparła go żarliwie Gwyn. - A jeśli będziesz potrzebowała pomocy albo chciała po prostu z kimś pogadać, jestem do twojej dyspozycji.

- Dzięki, Gwyn.

Uśmiechnęły się do siebie. Ashley bardzo lubiła Gwyn, Kubankę o złotym sercu.

- W razie potrzeby wszyscy ci pomożemy - zapewnił Arne.

- Dzięki.

- Ja też spróbuję się czegoś dowiedzieć - obiecał Len. - Teraz muszę wracać na posterunek, a wy lećcie na zajęcia.

Cmoknął Ashley w policzek, pomachał reszcie i szybkim krokiem ruszył na parking.

- Przepraszam na chwilę - rzuciła Ashley, podrywając się z krzesła. - Muszę zadzwonić, to pilne.

Odeszła parę metrów i pospiesznie wystukała numer Karen. Karen, nie bawiąc się w żadne powitania, od razu zaczęła mówić:

- Och, Ashley! Na pewno czytałaś już w gazecie. Kiedy zobaczyłam ciało na drodze, byłam wstrząśnięta. A teraz okazuje się jeszcze, że to Stuart Fresia. Ashley, jestem cała roztrzęsiona...

- Dlatego dzwonię, Karen.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Najporządniejszy, najfajniejszy chłopak z całej szkoły. O co tu chodzi?

- Nie wiem, ale spróbuję trochę popytać.

- O, tak, koniecznie. Jesteś przecież policjantką, no, prawie. Na pewno czegoś się dowiesz. Ashley, ale on żyje?

- Żyje, jest w śpiączce, leży na oddziale intensywnej terapii. Karen, przepraszam, muszę wracać na zajęcia.

- Jasne. Dzięki, że zadzwoniłaś. Odezwij się koniecznie, jak czegoś się dowiesz.

— Odezwę się na pewno. Pa!

W międzyczasie przed budą na kółkach zrobiło się pusto, ostatni kadeci znikali już w drzwiach. Ashley spojrzała na zegarek O rety...

Kiedy przemknęła jak burza przez korytarz i dopadła drzwi, reszta kadetów siedziała już na swoich miejscach, a w sali obecny był kapitan Blake, szef personelu Departamentu Policji Miami-Dade. Jednym słowem, wpadka na całego. Ashley jak niepyszna powędrowała na swoje miejsce. Jeszcze nie zdążyła usiąść, kiedy sierżant Brennan zabrał głos. Poinformował, że dziś zajęcia poprowadzi pani Shelly Garcia z laboratorium kryminalistycznego. Będzie mówiła o plamach z krwi i o badaniu miejsca przestępstwa. A potem pan kapitan porozmawia z nimi na temat ich dalszej drogi zawodowej.

Wszystko, co opowiadała pani Garcia, było pasjonujące. Ashley, zasłuchana, zapomniała o całym świecie. Dalsza część wykładu również zapowiadała się ciekawie, jako że kapitan zamierzał poinformować kadetów dokładnie o poszczególnych specjalnościach w obrębie departamentu. Ashley, tak jak i wszyscy pozostali, robiła notatki.

Do pewnego momentu. Bo nagle jej myśli powędrowały gdzie indziej, ołówek przestał pracowicie stawiać literki. Na białej kartce zaczęły pojawiać się kreski, kreseczki, długie linie.

Szkicowała zawzięcie, cieniowała, co chwila

trwożliwie unosząc wzrok, ani na moment jednak nie przerywając niedozwolonej czynności.

Droga, ciało, samochody. Czarna postać, daleko, na poboczu.

Stoi tam, nieruchoma. I patrzy.

Mary Simmons czekała na tyłach posiadłości, za świątynią. Na widok Jake'a i Martina zerwała się z ławeczki ukrytej w bujnej zieleni uroczego ogrodu i powitała gości miłym uśmiechem. Miała lat trzydzieści pięć, wyglądała o dziesięć lat młodziej i tak pogodnie, jak może wyglądać tylko ktoś, kto z sobą samym żyje w najlepszej zgodzie.

- Dziękuję, Mary, że zgodziłaś się na rozmowę.

- Żaden kłopot, Jake. Powiedz mi tylko, detektywie, czy ty nie masz zamiaru nękać teraz wyznawców Hare Kriszna?

- Bez obaw, Mary, działacie legalnie.

- No to uspokoiłeś mnie, Jake. Powiedz mi jeszcze, co chcesz ode mnie usłyszeć? Tyle ci już naopowiadałam...

- Mary, po prostu opowiedz jeszcze raz wszystko, co pamiętasz. Może przypomni ci się coś nowego. Proszę,

- Oczywiście, Jake. A więc... Mieszkaliśmy wszyscy w posiadłości ojca Pierre'a, to znaczy, Petera Bordona i on wszystkim rządził, tak przynajmniej się wydawało. Przyłączyłam się do sekty jako jedna z pierwszych. Peter wygłaszał kazania, mówił dużo o miłości do bliźniego, sugerował, że wszystko, co

posiadamy, powinniśmy oddać wspólnocie. Wierzyliśmy mu, a życie, jakie tam wiedliśmy, było spokojne, nieskomplikowane i bardzo harmonijne. My, kobiety, jeśli czasami spierałyśmy się ze sobą, to tylko o to, z którą z nas Peter spędzi najbliższą noc. Zajmowałam się prowadzeniem domu, ale nawet ja nie byłam we wszystkim wtajemniczona. Mieszkałyśmy na terenie posiadłości. W nocy w domu przebywała zawsze tylko jedna kobieta, którą wybrał Peter.

Mary zamilkła. Przez chwilę siedziała nieruchomo, zatopiona we wspomnieniach.

- Wiedziałyśmy, że nocą przyjeżdżają jakieś samochody - odezwała się znów równym, cichym głosem. - Czasami z domu dobiegały odgłosy rozmów, ale żadna z nas nie wiedziała, kto tam przychodził i po co. Kiedy dotarła do nas wiadomość, że zamordowano kobiety z naszego grona, byłyśmy wstrząśnięte i wierzyłyśmy szczerze, że zbrodni dokonał ktoś, kto nienawidzi Petera. No cóż...

Mary nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Teraz na to wszystko patrzę inaczej. Myślę, że Peter po prostu lubił pieniądze i seks, ale nadal nie wierzę, by mógł kogoś zabić. Był chciwy, wykorzystał nas, ale nie był mordercą.

- A co z Harrym Tennantem?

- Harry nie miał pieniędzy, więc nie był dla Petera nikim ważnym. Zresztą Harry spędził w posiadłości Bordona zaledwie kilka dni. Teraz, kiedy tak o tym wszystkim rozmyślam, zaczynam się zastanawiać, czy to nie Harry dokonał tej strasznej zbrodni. On był

naprawdę dziwny. Bardzo chciał być taki jak Peter, pragnął tego wręcz obsesyjnie. I wcale nie chodziło mu o religię, lecz o władzę, jaką Peter miał nad ludźmi. Harry chciał kobiet, chciał uprawiać seks, zaczepiał każdą z nas. A my wszystkie pragnęłyśmy Petera, choć on wcale nie traktował nas jak swojego prywatnego haremu. Każdą nową dziewczynę zapraszał do siebie, na rozmowę w cztery oczy. Najpierw mówił o prostocie, o potrzebie wyrzeczeń. Potem dziewczyna dowiadywała się, że jej właśnie przeznaczone jest przeżyć to, co najpiękniejsze w ludzkiej egzystencji. Bo choć wszyscy zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boga, jesteśmy śmiertelni. Rządzi nami zwierzęcy instynkt, który nie powinien wzbudzać odrazy, przeciwnie, należy mu folgować. Taki właśnie był Peter. Harry zrozumiał, że nigdy nie dorosnie mu do pięt. Może nie potrafił się z tym pogodzić i pomieszało mu się w głowie. Może znenawidził dziewczęta, które go odtrąciły i wtedy...

- Mary, zdaję sobie sprawę, że powracanie do tamtych spraw jest dla ciebie bardzo przykre. Ale proszę, bądź z nami całkowicie szczerą. Znów znaleziono zamordowaną kobietę, musisz nam pomóc. Powiedz, czy kiedy tamte trzy dziewczyny nagle znikły, nikogo to nie zaniepokoiło?

- Nie. Wszystkie przebywałyśmy tam z własnej woli, w każdej chwili mogłyśmy odejść. Aleja... kiedy znaleziono trzecią dziewczynę, zaczęłam się bać. W posiadłości pojawiła się policja, potem Harry

Tennant popełnił samobójstwo. Według mnie to on był mordercą. Chwilami zachowywał się jak obłąkany. Pamiętam, któreś nocy nie mogłam spać. Wyszłam nad kanał, a tam stał Harry, zapatrzony w wodę. Powiedział, że Łazarz powstał z mar i kazał mu wejść do wody. Przyznam, że dostałam gęsiej skórki i po prostu uciekłam. Może macie ochotę na herbatę ziołową?

Podziękowali. Jake wstał z ławeczki i sięgnął do kieszeni.

- Zatrzymałam, detektywie, twoją wizytówkę - powiedziała z uśmiechem Mary. Podniosła się z ławeczki i pocałowała Jake'a w policzek. - Jeśli sobie coś przypomnę, zadzwonię. Obiecuję.

- Będę wdzięczny, Mary.

- Dlaczego nie zadałeś mi tego pytania, co zwykle? - spytała Mary ze słodkim uśmiechem.

Jake uniósł pytająco brew, a Mary przestała się uśmiechać.

- Przysięgam, detektywie - powiedziała mocnym głosem, akcentując każde słowo - przysięgam, że nigdy nie widziałam twojej partnerki. Nigdy. Nie kłamię, moja wiara mi na to nie pozwala.

Nagle w sali zrobiło się głośno. Ashley szybko odłożyła ołówek i również zaczęła klaskać, zdumiona, że to już koniec zajęć. Błądziła myślami daleko stąd. Pełna poczucia winy starała się klaskać jak najgłośniej. Kiedy kadeci hurmem rzucili się do drzwi, szybko zmięta kartki ze szkicami, wyrzuciła

do kosza i podeszła do sierżanta, zajętego rozmową z kapitanem Murrayem.

- No i jak tam, Montague? Zadowolona z Akademii? - zagadnął uprzejmie kapitan. - Połowę kursu macie już za sobą.

- Jestem bardzo zadowolona, sir!

- Miło to słyszeć. Sierżant Brennan mówił mi, że jesteście jednym z najlepszych roczników, jakimi się opiekował.

- Dziękuję w imieniu wszystkich, sir!

- Macie jakieś pytania w związku z dzisiejszymi zajęciami, Montague? - spytał sierżant.

- Nie, ale mam wielką prośbę. W piątek rano jechałam z koleżankami drogą międzystanową 1-95 na północ. W tym czasie na tej drodze zdarzył się wypadek, przejeżdżałyśmy tamtędy dosłownie kilka minut później. Po powrocie do domu dowiedziałam się, że mężczyzna, który został potrącony, to mój bardzo dobry znajomy. W gazetach napisali, że był pod wpływem narkotyków, a on nigdy nie brał. Bardzo bym chciała porozmawiać z oficerem, który prowadzi śledztwo w tej sprawie.

- Słyszałem o tym wypadku - powiedział Murray.

- Zajmuje się nim policja Miami-Dade i drogówka. Dowiem się, który oficer kieruje dochodzeniem i przekażę informację sierżantowi.

- Bardzo dziękuję, sir!

- Drobiazg.

Ashley uśmiechnęła się i pomaszerowała w stronę drzwi. Czuła na plecach spojrzenie obu panów. Ciekawe, o czym myśleli. Może o jej prośbie, a może

zauważyli, że rysowała podczas zajęć. Nie, chyba nie, nie byliby wtedy tak uprzejmi.

Z budynku wychodziła z dużą grupą osób. W Departamencie Policji pracowano na trzy zmiany, pierwsza kończyła się o czwartej po południu, czyli o tej samej porze, kiedy kadeci z Akademii kończyli zajęcia. Tak było dzień w dzień, Ashley sporo osób już rozpoznawała, z niektórymi wymieniała nawet uśmiechy. Teraz też, kiedy otwierała pilotem samochód, uśmiechnęła się i pomachała ręką do bardzo miłej pani z archiwum.

Wtedy go zobaczyła. To był on, detektyw Dileccio. Wyszedł w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, szli teraz przez parking, nie przerywając rozmowy. Ashley rzuciła się do drzwi samochodu. Zanim otworzyła, detektyw Dileccio zdążył się odwrócić. W garniturze wyglądał zupełnie inaczej. Wydawał się wyższy i zdecydowanie starszy.

Spokojnie, Ashley, bez paniki, ten człowiek nic ci nie zrobi, powtarzała w duchu. Oblaś go kawą, owszem, ale stał pod samymi drzwiami. Nie ma sensu jeszcze raz go przeproszać. A on i tak cię nie zauważy, jesteś jedną z tłumu kadetów, których większość oficerów traktuje jak powietrze. Dlatego wsiadaj do samochodu i spadaj stąd jak najprędzej.

Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Ciemne oczy za ciemnymi szkłami...

Wsunęła się zrećcznie na miejsce, świadoma, że Dileccio na nią patrzy. Zapięła pasy, włożyła kluczyk do stacyjki, samochód ruszył. Mknąc drogą, rozluźniła

się, niestety, wkrótce lusterko wsteczne ujawniło przykrą niespodziankę. To auto z tyłu jak nic należało do detektywa Dilessia. Wspólna podróż? No tak, Sandy wspominał, że Jake zacumował łódź koło restauracji „U Nicka”. Na szczęście wkrótce Dileccio skręcił w boczną drogę.

Do domu weszła kuchennymi drzwiami. Restauracja musiała pękać w szwach, gwar i śmiech zagłuszały nawet szafę grającą. Ashley przemknęła do swego pokoju, zrzuciła szybko mundur i wskoczyła pod prysznic. Wody gorącej było w bród, można było długo i starannie zmywać z siebie trudy dnia. Prysznic ją odświeżył, ale skutki zarwanych nocy podczas długiego weekendu dawały jej się we znaki. Mimo to Ashley dzielnie pomaszerowała do restauracji. Nick i Betsy uwijali się za barem.

- Cześć, mała! - zawołał Nick. - Ukrywasz się czy jesteś chętna do pomocy? Kara się rozchorowała. Na zewnątrz podaje tylko David, a tu stoi danie dla stolika numer dwadzieścia czteiy. Zaniesiesz?

- Oczywiście.

Na talerzu był smażony snapper, pieczone ziemniaki i brokuły. Ashley wzięła tacę i wyszła na taras, gdzie ustawione były stoliki od numeru osiemnaście do numeru dwadzieścia sześć.

Taras miał kształt litery „L”. Na samym końcu stał dwuosobowy stolik, który zwykle wybierały pary spragnione romantycznego odosobnienia. Ashley pokonała róg, ujrzała ciemnowłosego mężczyznę pochylonego nad jakimiś papierami.

- Dobry wieczór! Proszę, oto pański snapper.

Wprawnym ruchem postawiła talerz przed mężczyzną i rzuciła rutynowe:

- Czy podać coś jeszcze?

Mężczyzna podniósł głowę. Ashley zamarła. Detektyw Dileccio we własnej osobie. Od chwili opuszczenia gmachu Departamentu Policji zdążył się przebrać, garnitur zamienił na spodenki kąpielowe i T-shirt. Zrzucił służbowe ubranie, pracować jednak nie przestał, o czym świadczyła żółta teczka pełna dokumentów.

Poznał Ashley, naturalnie, jego wzrok szybko przemknął od radego gąszczu na głowie po sandałki na bosych stopach.

- Coś jeszcze - mruknął. - Hm... Snapper bezpiecznie wylądował na stole. Może starczy mi więc odwagi i poproszę o kawę? Nie do oblewania, ale do picia.

- Zaręczam, że sprostam temu wyzwaniu - powiedziała sztywno Ashley, świadoma, że jej policzki płoną rumieńcem. W ciemnych oczach detektywa nie widać jednak było gniewu, raczej rozbawienie, co dodało Ashley odwagi. - Detektyw Dileccio, prawda? Z Miami-Dade?

- Zgadza się. Czy dlatego zamierza mnie pani teraz przeprosić?

Ashley postanowiła nie reagować na jego jawną zaczepkę.

- Detektywie Dileccio, w Akademii uczą nas codziennie, że policjant ma służyć innym i chronić, a nie zastraszać ludzi. Po prostu chciałam się przedstawić.

A jeśli chodzi o ścisłość, to pan wpadł na mnie w moich drzwiach. Jeśli więc to pan zamierza mnie przeprosić, nie mam nic przeciwko temu.

- Rozumiem... Pani jest w Akademii?

~ Tak. Czy pan sugeruje, że nie powinnam tam być?

- Niczego nie sugeruję. A jeśli pani pytanie ma na celu wysondowanie, czy dołożę starań, żeby panią usunęli z Akademii z powodu incydentu z gorącą kawą, odpowiadam - nie. Pani przyszłość, panno Montague, leży wyłącznie w pani rękach. Ja pozwolę sobie tylko na drobną uwagę. Nasze motto brzmi „służyć i chronić”, a nie „terroryzować”. Mam nadzieję, że w stosunku do obywateli naszego kraju, którzy złamią prawo, wykaże się pani większym opanowaniem.

- Spróbuję. Na razie jeszcze nie wypuszczają mnie na ulicę.

- Na wszystko przyjdzie pora.

- Czyli, jak rozumiem, mam być wdzięczna, że nie poniosę konsekwencji za zaatakowanie oficera policji?

- W końcu jest pani siostrzenicą Nicka, panno Montague!

- Żaden powód, żeby traktować mnie ulgowo.

I nareszcie ugryzła się w język. Do diabła, co ona wyrabia? Kłóci się z nim jak najęta, a przy okazji gapi się jak sroka w gnat. Chociaż to ostatnie można usprawiedliwić, bo facet jest bardzo przystojny. Silny, dobrze zbudowany, opalony, w świetnej formie. I to spojrzenie.... Nie daj Boże czymś mu się nara-

zić. On tymi swoimi oczami przewierca człowieka na wylot.

A teraz, gdy się uśmiechnął... Mężczyzna porywający i pociągający w pewien, hm, szczególny sposób...

- Może przyniesie mi pani tę kawę, panno Montague?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jake wpatrywał się intensywnie w kartkę papieru. Lista członków sekty Bordona, sporządzona dawno temu. Do diabła! Czytał ją już chyba z tysiąc razy, znał niemal na pamięć imiona i nazwiska. Ale tego, co najważniejsze, nie dostrzegął...

Ludzie rozczarowani, większość z nich bardzo młoda. Po rozwiązaniu sekty pragnęli coś jeszcze zrobić ze swoim życiem, nadać mu jakiś sens. Większość z nich wyjechała do innych stanów, jeden z młodych mężczyzn wstąpił do seminarium katolickiego w Tennessee. Cary Smith, dziewczyna, która zawsze otwierała drzwi, gdy Jake przyjeżdżał do posiadłości Bordona, mieszkała teraz w Seattle. Poślubiła chłopaka zatrudnionego przy hodowli iyb, zdążyli się dorobić dwójki dzieci.

John Mast, prawa ręka Bordona. Zamknięto go za defraudację. Na liście podejrzanych zajmował jedno z pierwszych miejsc. John Mast nie żyje.

Jake zamknął teczkę.

Nie wpadać w obsesję, nie bawić się w samotnego jeźdźca... Przecież się nie bawi, jutro znów spotka się z Ethanem Franklinem, agentem FBI doprowadzającym wszystkich do białej gorączki. Arogancki bubek, ale znał się na swojej robocie.

Muszą się czegoś chwycić, bo na razie mieli tylko okaleczone ciało nieznaney kobiety, znalezione w stanie zaawansowanego rozkładu. Dowód brutalnego morderstwa, przypominającego zabójstwa sprzed pięciu lat...

A przeszłość...

To także Nancy.

Pamiętał, jak stała na pokładzie „Gwendolyn”.

- Jake, nie wierzę, że ten nieszczęsny chłopak kogokolwiek zamordował. Dopóki nie zlikwidujemy tej sekty, będziemy wciąż znajdować nowe ciała. Moim zdaniem Peter Bordon cierpi na kompleks Boga i uważa, że ma prawo odbierać ludziom życie.

- Przymkniemy go, Nancy.

- Najpierw trzeba dostarczyć prokuratorowi dowody, że to Bordon stoi za tymi morderstwami. Jake, muszę już iść.

- Dokąd?

- Do domu. Zapomniałeś, że mam męża?

Nie pojechała do domu. Następnego ranka na pokładzie „Gwendolyn” zjawił się rozjuszony Brian Lassiter.

Minęły całe tygodnie, zanim ją znaleźli, choć szukał jej każdy gliniarz ze stanu Floryda. Była

przecież policjantką. Jej samochód utknął głęboko w kanale. Nikłe ślady, jakie się zachowały, zbadali najlepsi eksperci. Najteższe głowy wydały orzeczenie, że Nancy straciła panowanie nad kierownicą.

W tym czasie, kiedy szukano Nancy, aresztowano Bordona pod zarzutem defraudacji i oszustwa podatkowego. Poszedł pod klucz, ale kiedy zaginęła Nancy, był jeszcze na wolności.

Miał wrażenie, jakby każdy mięsień w jego ciele zawiązywał się na supeł.

Do cholery. Tylko nie wpadaj w obsesję.

Jeszcze raz zaklął i spojrzął na pustą szklankę po mrożonej herbacie. Gdzie ta kawa? Co się dzieje z obsługą „U Nicka”?

Nick był zajęty, a Ashley, kiedy szła do barn po kawę, kilka razy zatrzymali restauracyjni goście. Kiedy dotarła w końcu do celu, wpadła na Curtisa Markhama, bardzo sympatycznego oficera z policji South Miami.

- Hej, mała, jak tam nauka?
- W porządku. Mamy bardzo ciekawe zajęcia.
- Świetnie. Trochę się obawiałem, że będziesz żałowała swojej decyzji.
- A czemuż to?
- Nauka w Akademii jest ciężka, potem całe życie użerasz się z najgorszymi szumowinami, w dodatku za marne pieniądze. Parszywa robota.
- Naprawdę tak myślisz?
- Tylko czasami. Zwykle jednak, kiedy napatrzę

się na to wszystko, myślę sobie, że mi się poszczęściło. Wracam do domu, a tam czeka syn, bardzo dobry dzieciak. T mam piękną żonę.

Ashley roześmiała się.

- Jesteś chyba jedynym zadowolonym z życia policjantem, jakiego tu widzę.

Curtis uniósł znacząco brew i rozejrzał się dookoła.

- Jakiś ponurak? - spytał konspiracyjnym szeptem. - Gdzie?

- Taki jeden, siedzi na tarasie - odparła cichutko.

- Detektyw z Miami-Dade, Jake Dileccio. Choleryk. Ale może wścieka się tylko na mnie. Nie lubi mnie.

- Jake jest tutaj? Jake Dileccio?

- Tak. I chyba lepiej zaniosę mu już tę kawę.

- Jeśli Jake jest nie w sosie, musi mieć jakiś powód. Wiem zresztą, jaki.

- To znaczy?

- Słyszałaś, Ashley, o tej serii morderstw o charakterze rytualnym?

- Coś sobie przypominam. Podobno ktoś się przyznał, jakiś ćpun, ale potem popełnił samobójstwo. Potem już nie znaleziono kolejnego ciała.

- Znaleziono, teraz. Jake ma kupę roboty. Trudno, żeby był w radosnym nastroju."

- Rozumiem, ale to nie powód, żeby wyzywać się na innych. A on...

Zamilkła, bo w oczach Curtisa dostrzegła coś jakby ostrzeżenie. Odwróciła się i prawie straciła oddech. Spojrzała bowiem prosto w twarz detektywa Dilessia i prawie natychmiast usłyszała:

- Po moją kawę pofatygowałem się osobiście.
 - Przepraszam.
 - Obsługa nie jest tu najlepsza.
 - Cześć, Jake! - wtrącił szybko Curtis. - Co u ciebie?
 - O, Curtis! Czołem! Wszystko w porządku, dzięki.
 - Słyszałem, że tu cumujesz.
 - Tak, i coś mi się zdaje, że powinienem wracać na „Gwendolyn”, bo tutaj nie napiję się kawy.
- Ashley szybko chwyciła za dzbanek, drugą ręką sięgając na półkę po filiżankę.
- To moja wina, Jake - odezwał się znów Curtis.
- Wypytywałem Ashley o Akademię.
 - Panna Montague na pewno daje sobie świetnie radę. Jest przecież taka szybka.
- Wredny, po prostu wredny typ.
- A może dam panu od razu dzbanek? - spytała, starając się, aby jej głos zabrzmiał słodko. ~ Będzie pan mógł dolewać sobie kawy, kiedy zechce. I proszę nic czekać na rachunek, skoro jest pan naszym nowym sąsiadem...
- Już raz jadłem na koszt Nicka - burknął. - Ja reguluję swoje rachunki. A poza tym lubię, żeby kawa była świeża i gorąca.
- Po chwili zwrócił się do Curtisa.
- Jak tam Sandra i Chris?
 - Świetnie. Pojechali z wizytą do Delray, do matki Sandry, dlatego przez kilka najbliższych dni będę stołował się u Nicka.
 - Nie pożałujesz tego. Choć twoja Sandra gotuje wspaniale, wiem coś o tym.

; Uśmiechnął się, naturalnie tylko do Curtisa i chwyciwszy filiżankę z kawą, ruszył z powrotem na taras. Ashley zauważyła, że pod pachą trzymał żółtą teczkę.

Curtis uśmiechnął się.

- Ej, Ashley! Facet jest w porządku. Po prostu między wami nie zaskoczyło.

- A poza tym dobrze mieć takiego sąsiada - uzupełnił dźwięczny kobiecy głos. Ashley odwróciła się i zobaczyła Sharon, jak zwykle bardzo elegancką.

- Uff... - stęknęła demonstracyjnie Ashley. - Facet jest po prostu niemożliwy! Błagam, pójdziesz do niego za jakiś czas i dolejesz mu gorącej kawy? I zanieśiesz mu rachunek, dobrze?

- Dobrze, dobrze. A ty, kochanie, usiądź i zjedz coś wreszcie.

- Sharon? Nie jesteś za bardzo zmęczona?

- A skąd! Nic specjalnego się u mnie nie działo. Pokazałam klientom kilka domów, to wszystko.

- Bo widzisz, Nick ma dziś urwanie głowy. Możesz mu? Ja chciałabym wyskoczyć do szpitala, do Stuarta Fresii. Wiem, że na oddział intensywnej terapii wpuszczają tylko rodzinę, ale ja i tak tam pojedę, może uda mi się przynajmniej porozmawiać z jego rodzicami.

- Fresia? - odezwał się Curtis. - Słyszałem gdzieś to nazwisko.

Ashley w kilku słowach opowiedziała mu o wypadku, niestety, po raz kolejny usłyszała tę samą uwagę.

- Ludzie się zmieniają. A narkotyki skusiły wielu... Tak to już jest.

- Wiem, wiem... Ale nie Stuarta. W każdym razie muszę dowiedzieć się czegoś bliższego.

- Ashley, jeszcze nie ukończyłaś Akademii - zauważyła Sharon. - Chyba nie powinnaś się do tego wtrącać...

- Ale do szpitala może jechać - oświadczył Nick, podchodząc do nich. - Ma prawo odwiedzić starego przyjaciela. Najpierw jednak powinna coś zjeść.

Ashley usiadła na wysokim stołku obok Curtisa. Nick nalał jej wody sodowej, Sharon pobiegła do kuchni, złożyć kucharzowi pilne zamówienie.

- Powiedz mi, Ashley, coś więcej o tym twoim przyjacielu - poprosił Curtis.

Ashley, obracając w palcach słomkę, wzruszyła ramionami.

- Zawsze był świetnym facetem. Inteligentny, solidny, odpowiedzialny. Przyjaźniliśmy się wiele lat, ale to nie był mój chłopak. Nigdy nie brał narkotyków, pił z umiarem.

Przy końcu barn znów pojawił się Nick i zajęty wycieraniem szklanek, bez żadnych skrupułów nadstawiał ilszu.

- Ashley, nie martw się - odezwał się po chwili. - Może wszystko będzie dobrze. Stuart dojdzie do siebie i powie policji, co się stało.

- Mam nadzieję. Chcę pogadać z jego rodzicami. Ich jedyne dziecko... Zawsze bardzo go kochali.

Pojawiła się Sharon i postawiła przed Ashley talerz ze snapperem.

- Jedz, kochanie. A ja... - Sharon uśmiechnęła się i zabawnie wyróciła oczami - a ja zaniosem kawę temu trollowi na tarasie.

- Jakiemu trollowi? - zainteresował się natychmiast Nick, nie odrywając wzroku od pleców oddalającej się Sharon.

- Dilessio - wyjaśnił krótko Curtis.

- Jake to fajny facet.

- Będzie tu często wpadał - mruknęła Ashley, zajęta pochłanianiem snappera.

- Powinniśmy się cieszyć, że Jake zamieszka w pobliżu. Dobrze mieć gliniarza za sąsiada.

- Zapominasz, że masz pod ręką przyszłego gliniarza. No tak, od przybytku głowa nie boli.

- To porządny facet. Ma bardzo dobrą opinię.

- Może. Nick, jeśli jesteś pewien, że obejdiesz się beze mnie, to pojedę już do szpitala. Cześć, Curtis, uważaj na siebie.

- Ashley, poczekaj no - odezwał się Curtis. - Tak sobie myślę... Jeśli coś cię niepokoi w wypadku twojego przyjaciela, pogadaj z Jakiem.

- Z nim? On jest przecież z wydziału zabójstw. A Stuart żyje.

- Tak, ale to świetny fachowiec, może ci pomóc, Ashley, niezdecydowana, milczała przez chwilę. Dilessio wyglądał na choleryka, no i chyba nie darzył jej sympatią. Ale pal sześć, w końcu najważniejszy był Stuart.

- Może masz rację - powiedziała. - Dobrze, idę, a wy trzymajcie za mnie kciuki.

Chwyciła dzbanek z kawą i ruszyła na taras, do stolika na samym końcu.

- Dziękuję - mruknął detektyw, nie odrywając wzroku od papierów. Ashley powstała chwilę, po czym przysiadła na krześle naprzeciwko. Zadziałało. Detektyw spojrzał na nią.

- Słyszałam, że pan jest z wydziału zabójstw.

- Tak.

I znów pochylił się nad papierami. Ashley cichutko chrząknęła.

- Detektywie Dilessio, mam taką jedną sprawę. W piątek rano na I-95 zdarzył się wypadek, przejechałam tamtędy dosłownie parę minut później. Samochód potrącił pieszego. Widziałam tego człowieka, leża! na drodze w samej bieliźnie. Potem przeczytałam w gazecie, że ofiarą wypadku był mój przyjaciel ze szkoły. Podobno wstrzyknął sobie heroinę, ale on mdał na sam widok strzykawki.

- Panno Montague, ja pracuję w wydziale zabójstw, a pani przyjaciel padł ofiarą wypadku drogowego, który przypuszczalnie sam spowodował. Jestem pewien, że śledztwo wykaże, co się stało. Może pani przyjaciel bał się strzykawki, ale to jeszcze nic nie znaczy.

- On nie brał narkotyków.

- Bo to pani przyjaciel?

Nie było w tym cienia złośliwości, tylko stwierdzenie faktu.

- Nie, po prostu ta sprawa jest jakaś dziwna. Skąd Stuart tam się wziął? Podobno wyrósł jak spod ziemi, tylko w bokserkach...

- Panno Montague! Jestem gliniarzem od dawna. Kiedy zacząłem pracować w wydziale zabójstw, jedną z moich pierwszych spraw było nieumyślne spowodowanie śmierci niemowlęcia. Rodzice, para narkomanów, myśleli, że kładą dziecko do łóżeczka, a włożyli je do kuchenki mikrofalowej. Nigdy tego nie zapomnę. Jeśli pani przyjaciel dopiero zaczął zażywać narkotyki, musiał nieźle odlecieć.

~ Nie rozumiem... Dlaczego wszyscy z uporem trzymają się tej samej wersji? Znam Stuarta od dawna, on na pewno nie brał, jestem o tym przekonana. No cóż... Szkoda. Myślałam, że pan wykaże choć odrobinę zainteresowania tą sprawą.

- Panno Montague, pani dobrze wie, jak duże jest nasze hrabstwo. Pracuję w wydziale zabójstw i tak się składa, że mam teraz pełne ręce roboty. Bardzo mi przykro, ale w sprawie pani przyjaciela nie mogę podjąć żadnych kroków. Dochodzeniem zajmują się wyznaczeni ludzie, na pewno wykonają swoją robotę jak najlepiej. A teraz, pani wybacz, jestem zajęty. Zajmuję się wyjątkowo brutalnym morderstwem.

Odmaszerować. Po raz drugi tego popołudnia Ashley otrzymała taki właśnie rozkaz.

- Naturalnie, nie będę już przeszkadzać - oświadczyła, podnosząc się z krzesła. - Dziękuję, że poświęcił mi pan chwilę czasu.

Dla wielkiego detektywa Jake'a Dilessia to i tak na pewno o wiele za długo, myślała wściekła, ruszając przez taras w drogę powrotną. Kilka minut później jechała już do szpitala.

W poczekalni oddziału intensywnej terapii było kilka osób. Bystry wzrok Ashley niemal od razu wyłowił znajome twarze. Znajome, a jakże inne. Nie minęły jeszcze trzy lata, od kiedy widziała się z rodzicami Stuarta. Teraz miała wrażenie, jakby upłynęło co najmniej trzydzieści. Lucy Fresia, kiedyś okrzyknięta przez dzieci najładniejszą mamą, wyglądała jak staruszka, tak samo zresztą Natan, jej mąż.

- Państwo Fresia? - spytała cicho. Lucy poderwała głowę, zapewne przerażona, że to lekarz przynosi złe wiadomości. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Ashley pustym wzrokiem i nagle na jej zbolącej twarzy pojawił się słabiutki uśmiech.

- Och, Ashley...

Padły sobie w ramiona. Szczupłe plecy pani Fresii zdrząły od płaczu, szybko jednak wysunęła się z objęć Ashley i ocierając łzy, wzruszonym głosem powiedziała do męża:

- Natan, spójrz, kto przyszedł. Ashley Montague.

- Ashley! Jak dobrze, że tu jesteś.

Natan, szczupły, wyjątkowo wysoki mężczyzna pochylił się i uściskał Ashley serdecznie. Nie płakał, tak jak żona, ale jego policzki były wilgotne.

- Jak Stuart? - spytała cicho Ashley.

- Nasz chłopiec jest bardzo dzielny - powiedziała Lucy. - Teraz są u niego pielęgniarki, dlatego wyszliśmy na chwilę. Siedzimy przy nim cały czas. Ja... ja nawet mu czytam, jego ukochaną książeczkę z dzieciństwa. „Zielone jajka i szynka”. Stuart zawsze

mówił, że tę książeczkę będzie czytał swoim dzieciom. A teraz... Och, mój Boże...

Po policzkach pani Fresii znów popłynęły łzy.

- Lucy... - szepnęła Ashley. - On na pewno będzie ją czytał swoim dzieciom, na pewno.

- Ty wiesz, że on... on jest w śpiączce.

- Wiem. Mój wuj dzwonił dziś rano do szpitala. Ale ja bardzo chciałam się z wami zobaczyć.

- Kochane dziecko z ciebie.

- To ty byłaś zawsze dla mnie kochana, Lucy. Pamiętam, ile razy jadłam u was obiad, ile cukierków dostawałam od ciebie w Halloween...

Lucy uśmiechnęła się przez łzy.

- Musiałam się wykupić, inaczej rzuciłabyś na mnie zły czar! Och, dziecko, jak to było dawno... A teraz... Cieszę się, bardzo się cieszę, że przyszedłaś. Tak nam ciężko, Ash. Nasz Stuart leży tam, ranny, nieprzytomny, a oni mówią... Nie, to nie może być prawda. My wcale nie jesteśmy naiwni ani zaślepieni! My....

- Ciszej, Lucy - syknął Natan.

- Juz dobrze, przepraszam - powiedziała szybko Lucy, ścisząc głos prawie do szeptu. - Ashley, oni mówią, że Stuart brał narkotyki. Kiedy się ocknie, może być oskarżony o spowodowanie wypadku. Ashley, ja i Natan nie jesteśmy naiwni, doskonale zdajemy sobie sprawę, czym są narkotyki. Mój Boże! Stuart nigdy nie był aniołkiem, ale to nasze dziecko i my go znamy najlepiej. Co oni mogą o nim wiedzieć, ci wszyscy policjanci czy personel szpitala?

- Tak, on nigdy nie brał narkotyków - powiedziała stanowczym głosem Ashley.

- Naprawdę tak sądzisz? Och, dziecko! Nie wyobrażasz sobie, jakie to dla nas ważne. Policja ciągle tu przychodzi, sprawdzają, w jakim stanie jest Stuart. Są bardzo uprzejmi, ale nie chcą wierzyć, że nasz syn nie jest narkomanem.

- Ashley - odezwał się Natan. - Słyszałem, że wstąpiłaś do policji.

- Jestem w Akademii Policyjnej, nic składałam jeszcze przysięgi.

- Ale...

W oczach zrozpaczonych rodziców zapaliły się iskierki nadziei.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - obiecała Ashley. - Proszę tylko, nie zapominajcie, że moje możliwości są ograniczone. Dziś poprosiłam mojego sierżanta, by spytał oficera prowadzącego dochodzenie, czy zgodzi się ze mną porozmawiać. Nie wiem, co to da, ale przynajmniej mogę ich zapewnić, że jako stara przyjaciółka Stuarta nie wierzę, że zaczął brać.

W drzwiach poczekalni pojawiła się pielęgniarka.

- Pani Fresia, może pani wracać do syna.

- Dziękuję, już idę... Ashley, do widzenia, kochanie. Proszę, pokaż się jeszcze kiedyś. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile dla nas znaczy twoja obecność.

- Naturalnie, przyjdę.

- Powiemy, że jesteś z naszej rodziny i wejdiesz do Stuarta - zaszeptała Lucy. - A teraz, kochanie, przepraszam...

Uściskały się serdecznie, Ashley pocałowała Lucy w policzek i kiedy Lucy odeszła, przysiadła na krzeselku obok Natana.

- Natan, czym zajmuje się Stuart? Dawno go nie widziałam.

Natan przez kilka sekund wpatrywał się w swoje dłonie. Potem uniósł głowę, zawahał się.

- Nie jesteś głodna? - spytał po chwili.

- Nic, dziękuję.

- To chodźmy na kawę.

- Z chęcią - przystała natychmiast, bo zrozumiała, że Natan nie chce rozmawiać z nią w poczekalni.

- Cieszę się, że nie jesteś głodna -- wyznał niespodziewanie Natan, kiedy podążali korytarzem do szpitalnej kawiarenki.

- Rozumiem. Jedzenie jest tutaj paskudne.

- Fakt. Ale co szkodzi stracić parę kilogramów? Zresztą, najważniejsze, że Stuart ma tu najlepszą opiekę.

- Nic wolno wam opadać z sił. Jutro przywiozę coś z restauracji.

- Nie rób sobie kłopotu, Ashley, na pewno masz wiele obowiązków. Lucy i ja damy sobie radę.

- Ja i tak jutro przyjdę.

Usiedli z kawą przy stoliku. Natan milczał, zamyślony, przeczesując nerwowo ręką siwiejące włosy.

- Natan, czy możesz...?

- Tak, tak, już. A więc, ogólnie rzecz biorąc, Stuart od jakiegoś czasu żyje z pisania. Zawsze chciał uprawiać wolny zawód. Współpraca z jakąś

renomowaną gazetą pozostała jeszcze w sferze marzeń, ale Stuart mówi, że na wszystko przyjdzie czas. Pisywał do różnych gazet i czasopism, parę artykułów kupiła od niego redakcja „Na Dnie”. Wiem, to brukowiec, ale nieźle płacą, a od czasu do czasu drukują całkiem niezłe artykuły. Stuart parę miesięcy temu wyprowadził się z domu. Mówił, że znalazł jakiś pasjonujący temat i chce spokojnie nad tym popracować. Od tej chwili nie widzieliśmy się z nim ani razu.

- Powiedziałaś o tym policjantom?

- Oczywiście.

- A oni i tak są przekonani, że Stuart zadał się z jakimiś mętami?

- Tak naprawdę, to nie wiem, co oni myślą. Obiecali, że wszystko sprawdzą...

Natan zamilkł na chwilę, wodząc szczupłymi palcami po brzegu papierowego kubka.

- Ashley, gdybyś mogła rzeczywiście coś zrobić w tej sprawie, Lucy i ja będziemy ci bardzo wdzięczni. Może znasz jakichś oficerów wyższych rangą...

- Postaram się. Przynrzekam.

- Chodźmy stąd!

Głos Natana zabrzmiał nagle dziwnie ostro. Ashley rozejrzała się po kafejce. Jej uwagę zwrócił ciemnowłosy miody człowiek. Widziała go już, tak, siedział w poczekalni na oddziale intensywnej terapii. Krył, co prawda twarz za gazetą, ale to na pewno on.

- Hiena - syknął Natan, rzuciwszy szybkie, gniewne spojrzenie na młodego człowieka. - Jeszcze jeden

kandydat na reportera. Twierdzi, że zna Stuarta. Policja już z nim rozmawiała, naopowiadał im jakichś bredni.

Wyszli z kafejki i wspięli się schodami na oddział intensywnej opieki. Natan podprowadził Ashley do przeszlonych drzwi, za którymi leżał jego syn.

Ashley czuła, że jej oczy wilgotnieją. Stuart... Nieruchoma postać w białej, szpitalnej pościeli. W nosie i ustach rurki, dookoła maszyny, świecące monitory. Głowa Stuarta owinięta bandażem, twarz zaczerwieniona, opuchnięta...

Lucy, jakby wyczuwając ich obecność, wstała z krzesła i uchyliła nieco drzwi.

- Ashley, powiedziałam już pielęgniarce, że jesteś moją siostrzenicą- szepnęła cichutko. - Dam ci fartuch, możesz wejść. I proszę, mów do niego przez cały czas, dobrze?

Ashley włożyła fartuch, usiadła na krzeselku przy łóżku i ujęła w dłoń zimną, bezwładną rękę Stuarta.

- Cześć, Stuart, największa nadziejo literatury amerykańskiej! Szkoda, że nie jesteś w formie, ale to stan przejściowy, na pewno. Dasz radę, Stu, wszyscy tego chcemy, a najbardziej twoi staruszkowie. Nikt nie ma takich cudownych rodziców jak ty. Mój Nick jest wspaniały, ale to nie to samo. Gadaliśmy o tym nieraz, pamiętasz? Stu, mam zamiar trochę powęszyć, przekonać się, coś ty narozrabiał. Nie poddawaj się, będzie dobrze. Ja wiem, że ty nigdy nie brałeś, udowodnię to.

Ucałowała zimne czoło Stuarta i szepnęła mu jeszcze do ucha, że kumpel z niego do bani, skoro wyciął taki numer.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Powiedziała, że posiedzi przy chorym, bo państwo Fresia rozmawiają z jakimś policjantem.

Ashley wyszła na korytarz i zamarła.

Państwo Fresia stali kawałek dalej, przed nimi wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w garniturze. Detektyw Jake Dilcchio we własnej osobie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ponure skinięcie głową, bez cienia uśmiechu, było dowodem, że detektyw Diłessio przyznaje się jednak do znajomości z Ashley Montague. Natomiast mizerna twarz Lucy ożywiła się, zapadnięte oczy błyszczały nadzieją.

- Ashley, dziękuję ci, kochanie, dziękuję, wykorzystasz swoje znajomości, żeby nas wesprzeć.

Policzki Ashley nabrały koloru mocnego różu, na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi. Biedni państwo Fresia dosłownie spijali każde słowo z ust detektywa.

- Nie będę państwu niczego obiecywał, to byłoby bez sensu - powiedział Diłessio. - Ale na pewno porozmawiam z oficerem prowadzącym dochodzenie. Przekażę państwu wszystko, czego się dowiem. Proszę jednak liczyć się z tym, że fakty bywają czasami nieprzyjemne.

Lucy uśmiechnęła się, wyprostowała i nagle ta krucha istota wydała się Ashley bardzo silna.

- Detektywie Dilessio, odnoszę wrażenie, że wszyscy dookoła tylko mi współczują. Założyli, że Stuart jest narkomanem... W życiu zdarzają się różne sytuacje, wiem, ale ja nie wierzę w tę wersję. Gdy Stuart się obudzi, poznamy prawdę.

- Pragnę z całego serca, żeby tak się stało. Podziwiam pani wiarę - powiedział detektyw, po czym, ku wielkiemu zdumieniu Ashley, zwrócił się do niej.

- Panno Montague? Czy pani wraca teraz do domu?

- Ja... ja... tak.

- Świetnie. Jeśli można, zabiorę się z panią. Jestem bez samochodu, mój partner podrzucił mnie do szpitala.

- Rozumiem. Z chęcią pana podwiozę.

Natan serdecznie ucałował Ashley w policzek.

- Dziękujemy ci bardzo, kochanie, za wszystko.

- Jutro też będę - obiecała Ashley, obejmując Lucy.

- Do zobaczenia! Detektywie Dilessio, możemy iść.

Ruszyli długim korytarzem, w pewnym momencie Ashley odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na rodziców Stuarta. Stali obok siebie, Natan obejmował żonę ramieniem. Dwoje ludzi przeżywających tragedię, a mimo to Ashley poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Tych dwoje naprawdę się kochało...

Pomachała ręką i odwróciła się, ocierając się przy tym o detektywa.

- Sympatyczni ludzie - mruknął.

- O, tak! Bardzo! - przytaknęła skwapliwie.

- Właśnie myślałam sobie, że...

- Że co?

Dociekliwy, jak prawdziwy detektyw.

- W sumie nic takiego. Pomyślałam, że w dzisiejszych czasach ludzie niespecjalnie cenią sobie małżeństwo. A kiedy patrzę na Natana i Lucy... Przeżywają tragedię, ale przeżywają ją wspólnie, wspierają się nawzajem...

- Moi rodzice też byli do siebie bardzo przywiązani - odezwał się po chwili milczenia.

- Byli?

- Matka zmarła kilka lat temu. Ojciec do dziś nic może znaleźć sobie miejsca, zachowuje się jak zagubione szczenię. Znam jeszcze kilka innych dobrych małżeństw, ale znam też mnóstwo bardzo złych.

- To wspaniali ludzie, a gdyby pan znał Stuarta...

- Nic uprzedzajmy faktów, panno Montague. Może się okazać, że pani przyjaciel wplątał się w coś paskudnego.

- Na pewno nie.

- Czyżby? Chętnie wysłucham pani scenariusza zdarzeń.

- Zacznijmy od tego, co już wiemy, detektywie Dileccio. Droga międzystanowa, po cztery pasy w każdą stronę. Wzmoczony rach i nagle na drodze zjawia się pieszy. Skąd się tam wziął?

- Z jakiegoś domu w pobliżu drogi. Albo podjechał samochodem.

- Tak. Ale gdyby Stuart mieszkał gdzieś w okolicy i wyszedł z domu prawie nagi, na pewno zwróciłybyś uwagę. Skoro nikt niczego nie zauważył, Stuart musiał przyjechać samochodem.

- Możejechał z jakimś dilerem, pokłócił się z nim

i oszołomiony narkotykami po prostu wysiadł z samochodu.

- Albo ktoś go wypchnął, zakładając, że Stuart zginie po kołami innych samochodów.

Detektyw znów ruszył przed siebie, Ashley podążyła za nim.

- Pan czuje, że coś tu jest nie tak, inaczej pan by tu nic przyszedł.

- Historia dosyć dziwna, przyznaję. Mam pełne ręce roboty, ale porozmawiam z detektywem, który prowadzi dochodzenie. Radzę pani zachować ostrożność, po co niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwo.

- A więc jednak! Pan też myśli...

- Jeśli Stuart Fresia miał do czynienia z twardymi narkotykami, a pani zacznie wtykać nos w jego sprawę, może pani wpaść w niezłe bagno. Poza tym w krwi pani przyjaciela wykryto heroinę. Nie twierdzę, że pani wersja jest nieprawdziwa, ale wszystko trzeba sprawdzić i udowodnić. Proszę uzbroić się w cierpliwość, panno Montague.

- Oczywiście - powiedziała sztywno, podchodząc do drzwi prowadzących na szpitalny parking. Otworzyła pilotem samochód, usiadła za kierownicą, świadoma, że Dilessio sadowi się na miejscu obok.

Na razie nic odzywał się, zapatrzony w szybę. Kiedy wyjechali na ulicę, Ashley postanowiła prze-rwać niezręczną ciszę i zagadnęła.

- Zadowolony pan z nowego basenu?

- Bardzo. Cieszę się, że mam pod bokiem restaurację. Nie przepadam za gotowaniem.

- Pan od dawna zna Nicka?
- Jakieś siedem, osiem lat.
- Dziwne, że poznajemy się dopiero teraz.
- Rzadko wpadałem do baru, zwykle w niedzielę.
- Znam większość policjantów, którzy u nas bywają. Pomogli mi, kiedy ubiegałam się o przyjęcie do Akademii Policyjnej. Dziwne, że Nick nie skierował mnie wtedy do pana.

- Prawdopodobnie akurat nie było mnie pod ręką. Może to i lepiej, bo, kto wie, czy nie próbowałbym pani zniechęcić.

- Nie lubi pan kobiet w policji?
- Nie, nie o to chodzi.

Odwrócił głowę, ciemne oczy, błyszczące w świetle ulicznych latarni, spojrzały bardzo uważnie,

- Jest pani zbyt uparta.
- Myślałam, że to zaleta... - mruknęła.
- Tak, jeśli idzie w parze z cierpliwością. Poza tym to praca zespołowa, a pani mi wygląda na indywidualistkę.
- Czyli w końcu co?

- Na razie proszę się trzymać z daleka od dochodzenia w sprawie Fresii. Niech pani niczego nie robi na własną rękę. Trzeba zaufać ludziom wyznaczonym do tej roboty.

- Aha... Bo oni też są pasjonatami pracy i nawet podczas obiadu studiują akta.

- Kwestia przyzwyczajenia. Siedzę w tej robocie od ponad dziesięciu lat. Dlaczego pani nie skrzyła?

- Może chcę jechać inną drogą?

Naturalnie, miał rację, głupotą byłoby upierać się

przy swoim. Zawróciła. Trzeba przyznać, że detektyw stanął na wysokości zadania. Nie padło ani jedno słowo komentarza.

Wreszcie dojechali. Ashley wprowadziła samochód na parking, zgasiła silnik.

- Jeszcze raz dziękuję, że zechciał pan poświęcić swój czas i zjawił się w szpitalu.

Detektyw elegancko skłonił głowę.

- Porozmawiam z sierżantem Carnegiem, na pewno. Zwrócę mu uwagę na fakt, że pani przyjaciel nie należy do dzieciaków, które same pakują się w kłopoty.

- Dziękuję, detektywie. Stuart to nie dzieciak. Ma dwadzieścia pięć lat i zawsze był odpowiedzialnym facetem.

- Rozumiem. Dobranoc.

Odszedł, a Ashley nagle poczuła się wykończona. Nie miała ochoty na żadne rozmowy, nawet z Nickiem.

Na szczęście w domu było pusto. Z restauracji natomiast dobiegał gwar i muzyka, biedny Nick na pewno zwijał się jak w ukropie, Ashley jednak konsekwentnie zmierzała do swego pokoju. Trudno, Nick zrozumie.

Włączyła telewizor i weszła do łazienki. Umyła się, słuchając jednocześnie wiadomości. Poważna kolizja w Broward na drodze 595... Gwiazda pop aresztowana na plaży za posiadanie narkotyków... Dwie znane postacie ze świata filmu, goszczące na Florydzie, wdały się w bijatykę w jednym z klubów... Ofiara morderstwa, popełnionego w południowo-zachodnim rejonie hrabstwa, nadal nie została zidentyfikowana.

Nie natrafiono jeszcze na żaden ślad, choć policja dokłada wszelkich starań. Departament Policji ujawnił fakt, że zabójstwa dokonano w podobny sposób, w jaki pięć lat temu zamordowano trzy inne kobiety, należące do sekty Petera Bordona, znanego jak ojciec Pierre. Bordon zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego z tymi morderstwami. Od dłuższego czasu przebywa w więzieniu federalnym. Sekta została rozwiązana, mimo to zaleca się kobietom jak największą ostrożność.

Następnie kilku obywateli bardzo krytycznie wypowiadało się na temat pracy policji i wymiaru sprawiedliwości właśnie pięć lat temu. Zdaniem obywateli, to skandal, że zaniechano dalszych poszukiwań, dając wiarę zeznaniom jakiegoś nieźrównoważonego narkomana, który potem popełnił samobójstwo.

Kiedy Ashley wkraczała z powrotem do pokoju, serwis informacyjny skończył się, na ekranie pojawiło się dziarskie blond stworzenie, przekazujące prognozę pogody.

Ashley wyłączyła telewizor i odruchowo podeszła do drzwi prowadzących bezpośrednio na dwór. Rzeczywiście, żwawa blondynka miała rację. Noc jest piękna. Niebo rozgwieżdżone, świeża, wilgotna bryza niesie przyjemny chłód. Ktoś właśnie wszedł na pokład jednej z łodzi. Wysoki, barczysty. Detektyw Jake Dileccio.

Szybko cofnęła się w cień. Dileccio był tylko w szortach. Szeroka pierś połyskiwała w blasku księżyca... Z tej odległości, naturalnie, nie widać wszystkiego dokładnie, ale...

Ashley i tak już wiedziała, że facet jest świetny. Zdecydowana, bardzo męska twarz, niski głos, piękne, pełne inteligencji oczy.

- Hej, Ash - mruknęła do siebie. - Za dużo roboty, za mało rozrywek...

Zmusiła się do odwrotu. Zamknęła drzwi, wolnym krokiem ruszyła w stronę łóżka.

Jak to Karen powiedziała? Aha...

Czy wy nigdy nie macie ochoty na seks?

Kiedy siedzieli razem z Jakiem w samochodzie, Ashley czuła, że jej dłonie, oparte o kierownicę, zrobiły się wilgotne.

Jęknęła. Już późno, a budzik zadzwoni jeszcze przed szóstą. Zajęcia zaczynały się o siódmej.

Ułożyła się na łóżku i sięgnęła po pilota. Kanał muzyczny... Za głośno. Gotowanie... Nie! Aligatory... Innym razem. A tutaj... No nie... Od kiedy to na tym kanale nadają coś takiego? Porno, normalne porno.

Patrzyła przez chwilę, w pokoju nagle zrobiło się jeszcze cieplej.

Bez sensu. Szybko przełączyła na inny kanał. O, stary serial, „Kocham Lucy”. Wesolutki i niewinny. Bardzo dobrze. Poprawiła poduszkę, ułożyła się wygodnie. Odpręży się, za chwilę na pewno zaśnie.

Powiedzmy.

Jake nie zawsze zamykał drzwi kajuty na „Gwendolyn” na klucz, tym razem jednak na pewno to zrobił. Dlaczego więc ta klamka obróciła się sama, zanim on zdążył przekręcić klucz w zamku...

Znieruchomiał na sekundę, starając się wyłowić uchem wszystkie dźwięki. Woda pluszcze cicho, z baru dochodzi przytłumiony gwar, poza tym spokój.

Wyciągnął broń, drugą ręką ostrożnie pchnął drzwi i wsunął się do środka.

Cisza. Szybko przemknął spojrzeniem po wielkiej kajucie. Wszędzie pusto. Przeszedł na rufę, wrócił, powędrował na dziób i znów wrócił, sprawdzając po drodze wszystkie zakamarki. Nikogo, wszystko wydaje się być w najlepszym porządku. Skąd więc to uczucie, że ktoś jednak tu był...

Podszedł do biurka. Było nieduże, ale funkcjonalne. Na blacie dosyć miejsca na laptop i małą drukarkę, poza tym sporo szuflad. Sprawdził każdą po kolei. Wyglądało na to, że nic nie zginęło. Komputer wyłączony. W porządku, przecież przed wyjściem go wyłączył.

A jednak...

Zrzucił ubranie, przebrał się w szorty. Pokręcił się chwilę, pomyślał i zasiadł przed komputerem. Sprawdził jeden plik, drugi, sprawdził wszystkie. Nikt niczego nie skasował, niczego nie dopisał, ale ktoś je przeglądał. Tego nie da się ukryć.

Wyszedł na pokład i spojrzał na kanał, na długie rzędy lodzi. Cisza, spokój. Tylko u Nicka paliło się jeszcze światło.

Wyskoczył na nabrzeże, tak jak stał, na bosaka i bez koszuli, i szybko pokonał krótką odległość, dzielącą go od baru. Nick stał za kontuarem, wycierając błyszczący blat. Przy stolikach siedziało jeszcze parę osób.

- Ej, panie szanowny! Gdzie buty i koszula? - rzucił żartobliwie Nick. - Nie zna pan praw stanu Floryda?

- Biję się w piersi! Nick, chciałem tylko o coś zapytać. Chodzi o ten zapasowy klucz. Prosiłem, żeby leżał u ciebie. Czy wchodziłeś dziś na moją łódź?

- Nie, skąd! Przecież nie było żadnego powodu.

- Nick, niezręcznie mi o to pytać, ale powiedz, czy ten klucz naprawdę leży w bezpiecznym miejscu? Nikt nie ma do niego dostępu?

- Oczywiście! Jake, poczekaj chwilę...

Nick, rozejrzawszy się po sali, rzucił mocnym głosem.

- Mili państwo! Dziękuję, że nas odwiedziliście, ale godzina już późna i pora wracać do domu.

Goście ruszyli się z miejsc. Kiedy ostatni z nich znikł za progiem, Nick starannie zamknął drzwi i skinąwszy na Jake'a, poprowadził go w głąb domu, do salonu oświetlonego tylko kilkoma lampkami.

- Jake? Na łodzi coś nie tak?

- Nie. Ktoś zaglądał do mojego komputera. Poza tym drzwi były otwarte, a ja na pewno je zamknąłem. Dlatego chciałem sprawdzić, czy ten zapasowy klucz jest na miejscu.

- Zaraz zobaczymy. Shichaj, a może wolałbyś, żeby ten klucz...

- Przestań, Nick! Wiesz przecież, jakie to dla mnie ogromne ułatwienie, jeśli podczas mojej nieobecności otworzysz jakiemuś dostawcy czy rzemieślnikowi. Jestem ci bardzo wdzięczny, tylko dla świętego spokoju chcę sprawdzić, czy nikt nie ruszał tego klucza.

- Jasne. Może masz ochotę czegoś się napić?
- Dzięki, bardzo chętnie. Poczekam na ciebie w kuchni.

Ashley zasnęła w końcu, nie był to jednak zdrowy, mocny sen. Najpierw w tym śnie pojawił się Stuart, hzechadzał się po pokoju, śmiał się, o czymś rozprawiał. Wszystko niby normalnie, oprócz jednej rzeczy. Stuart był tylko w tych nieszczęsnych białych bokserkach. Potem znikł, pojawił się inny mężczyzna. Niestety, sam detektyw Dileccio. Stała z nim na pokładzie „Gwendolyn” i opowiadała, jaki ma rozkład zajęć następnego dnia. Detektyw nie miał na sobie nawet białych bokserek. Ashley całą siłą woli starała się patrzeć w górę (udawać spokój).

Obudziła się nagle, dziwnie rozdygotana, jakby czymś przestraszona. Chyba niepotrzebnie, w całym domu panowała cisza, brzęczał tylko telewizor. Coś icdnak musiało ją obudzić. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Na nabrzeżu puściutko, lodzie kołyszą się \ennie. Cisza, spokój, niemiłe uczucie jednak nie zniknęło. Ashley na bosaka podeszła cicho do di-zwi prowadzących w głąb domu. Nacisnęła klamkę, uchyliła drzwi i nadstawiła uszu. Cisza. Bar zamknięty, Nick na pewno leżał w łóżku.

Wtedy to usłyszała. Ktoś coś przesunął. Kto?!

Zdecydowanym krokiem wmaszerowała do salonu. Nick zawsze zostawiał tu na noc kilka zapalonych małych lamp, jednak przez to wnętrze wcale nie wydawało się bardziej przyjazne.

Znów coś szurnęło. No nie...

Podejrzane odgłosy dobiegały z kuchni. Ashley przemknęła przez salon, wsunęła się do kuchni i natychmiast przykucnęła za szerokim kontuarem. Naturalnie, to mogli być Nick albo Sharon. Ale ten ktoś już dwa razy coś potracił i wcale nie zachowywał się swobodnie, jak we własnym domu.

Na zgiętych nogach zaczęła przesuwać się na drugi kraniec kontuaru. Tam będzie można wychylić głowę i zerknąć na intruza. Niestety, zbyt późno zdała sobie sprawę, że intruz, równie bezszelestnie, podąża za nią. Nagle silne ręce złapały ją wpół. Naturalnie, wrzasnęła:

- Do cholery! Co to za kawały? Co to za łażenie po cudzej kuchni?!

Szarpnęła się z całej siły, gotowa do walki. Szarpnęła na swą zgubę, straciła bowiem równowagę. To ona pierwsza rozłożyła się jak długa na podłodze, przygniotło ją ciężkie ciało napastnika.

W tym momencie kuchnię zalało jasne światło.

- Co tu się...

Nick nie dokończył, nie było siły, na ten widok musiał stracić głos. Na podłodze ukochana bratanica, w skromnym, nocnym przyodziewku, przykryta roslym ciałem detektywa Dilessia.

Jedyny plus tej sytuacji to fakt, że detektyw był równie zaskoczony, jak Ashley. Dojrzała to w jego oczach. Na pewno też zażenowany, w końcu oni trwali na tej podłodze niemal w miłosnym uścisku. Po sekundzie detektyw zerwał się na równe nogi i uprzejmie wyciągnął dłoń do Ashley.

Nie, nie był nagi, jak w tym durnym śnie, ale miał na sobie niewiele, tylko szorty. Ashley poczuła, że plonie, od twarzy po czubki palców u stóp. Mimo bardzo ciemnej opalenizny widać było, że policzki detektywa również zmieniły barwę.

- Myślałem, że ktoś zakradł się do waszego domu oświadczył.

- Ja tak samo - mruknęła Ashley.

- To po co te podchody? - spytał trzeźwo Nick.

Nie można było po prostu krzyknąć?

- Krzyczeć? Bzdura! - zaprzeczyła z ogniem Ashley. - Jeśli ktoś skrada się po domu...

- Tak jak ty - stwierdził detektyw.

- Chwileczkę! Ja skradałam się w moim własnym domu! A ty...

- Przyszedł do mnie - wyjaśnił uprzejmie Nick.

- Był w kuchni sam!

- Zgadza się - przytaknął detektyw. - Nick powiedział, żebym zrobił sobie coś do picia. Zdecydowałem się na mrożoną herbatę.

- Gliniarze... - Nick z zadumą pokiwał głową.

Nic normalnie, wszystko musi być robione w najgłębszej tajemnicy. No, cóż, ja w każdym razie nastawiam wodę na herbatę.

Podszedł do kuchenki, chwilowo pozostawiając Ashley i Jake'a samym sobie. Stali naprzeciwko siebie, bardzo blisko.

- Idę po szlafrok - mruknęła Ashley.

- Ja wracam na „Gwendolyn” - oświadczył Jake.

- Nick, sprawdziłeś?

- Jasne. Był na swoim miejscu.

Nick sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz. Ashley! spojrzała spod oka, nikt jednak, naturalnie, nie kwapił się z wyjaśnieniem.

- Jake, czy ktoś jeszcze ma zapasowy klucz?

- spytał Nick.

- Nie, tylko ty... Chociaż nie... Kiedyś dałem komuś jeden z zapasowych kluczy. Zapomniałem o tym. To było tak dawno...

Twarz Jake'a, pogodna, nagle sposepniała.

- Ashley, wyjmij kubki - rzucił Nick.

Posłusznie sięgnęła do szafki. W tym momencie do kuchni wkroczyła zjawiskowa istota. W żadnej tam bawełnie, tylko w długiej, ciemnoniebieskiej koszuli i jedwabnym szlafroku. Twarz bez makijażu, włosy w nieładzie, a mimo to Sharon wyglądała pięknie.

- Robimy przyjęcie? - spytała, obdarzając wszystkich uroczym uśmiechem.

- Po prostu pijemy herbatę - powiedział Nick i pocałował ją w czoło. - Obudziliśmy cię? Przepraszam, ale policja narozrabiała w naszej kuchni. Rozumiesz, oni ze wszystkiego robią dramat. Chwała Bogu, że nie doszło do strzelaniny. Jeszcze raz przepraszam, skarbie.

- Nic się nie stało, jutro wychodzę dopiero o jedenastej. Ale Ashley zaczyna zajęcia już o siódmej.

- Nic jej nie będzie. Niedawno mówiła mi, że w jej wieku brak snu nie jest problemem. O, woda się zagotowała.

- A może ktoś ma ochotę na gorącą czekoladę?

- spytała Sharon. - Jake, herbata ziołowa?

- Poproszę czarną, żadnych ziółek.

- W porządku. Ashley, masz mleko i cukier. Jake, słyszałam, że byłeś w szpitalu i rozmawiałeś z tymi biednymi ludźmi. To naprawdę bardzo miłe z twojej strony. A ten policjant, który po ciebie przyjechał, to twój partner? Marty?

- Tak. On czasami tu zagląda, lubi sobie pogadać ze starym Sandym.

- Sandy to wyjątkowo miły człowiek... Powiedz mi jeszcze, Jake, czy możesz jakoś pomóc w sprawie przyjaciela Ashley?

- Zawsze mogę się dowiedzieć, jak przebiega śledztwo.

- To dobrze... - Sharon ziewnęła i spojrzała na Nicka, jak zwykle, z ogromną czułością. - Ależ tu dzisiaj ruch, prawda, kochanie? Aha, Ashley, miałaś dzisiaj gości. Dwóch kolegów z Akademii.

- Nie, tylko jeden, ten wielki, ciemny gość, Anie sprostował Nick. - Ten drugi jest już policjantem. Jak on się nazywa? A, już wiem. Len Green.

- Czego chcieli? - spytała krótko Ashley.

- Hamburgerów.

- Nick, nie żartuj...

- Pytali o ciebie - powiedziała Sharon. - Podeirzycwam, że byli głodni, a przy okazji chcieli złożyć ci wizytę. Powiedziałam im, że pojechałaś do szpitala, odwiedzić starego znajomego.

- Dzięki. Z tego wynika, że nie mieli do mnie żadnej sprawy. Zresztą z Arne'em zobaczę się jutro w Akademii.

- Bardzo miłe chłopaki. Posiedzieli tu chwilę, pogadali też z Sandym. Staruszek wyglądał na ogromnie zadowolonego.

- Aha... - mruknęła Ashley.

Jake odstawił pustą filiżankę.

- Dziękuję za herbatę i przepraszam za zamieszanie - powiedział. - Dobranoc wszystkim. Znikam.

Zaczął iść ku drzwiom, nagle przystanął i Ashley przez moment była pewna, że złoży jej dodatkowe przeprosiny. Ostatecznie powalił ją na ziemię.

Naturalnie, przeliczyła się, ale to, co usłyszała, bardzo ją ucieszyło.

- Postaram się dowiedzieć jak najwięcej na temat sprawy twego przyjaciela, Ashley.

- Dziękuję, bardzo dziękuję.

Detektyw wyszedł, Nick podniósł się ze stołka, żeby zamknąć porządnie drzwi.

- Idę spać - zakomunikowała Ashley. Uśmiechnęła się do Sharon, wujowi posłała całusa ręką i wyruszyła w drogę do swego pokoju. Powinna być wykończona, tymczasem czuła się podminowana, przede wszystkim z powodu swojej niewiedzy. Bo niby z jakiego to powodu Nick i Jake umawiają się w środku nocy? I co to za sprawa z kluczem?

Położyła się do łóżka, poleżała chwilę i zerwała się. Podeszła do okna, odsunęła zasłony.

Detektyw Dileccio na pokładzie „Gwendolyn”. Stoi nieruchomo, ręce oparte na biodrach. Spogląda w stronę baru.

A Ashley Montague spogląda na niego. Wpatruje

się, co tu ukrywać, przede wszystkim w jego szeroką klatkę piersiową.

Ashley, ty głupia, ten facet nie powinien ci się podobać, strofowała się w duchu.

Spośród trzech przyjaciółek Ashley uważana była /a osobę najbardziej praktyczną. Jej motto: nie rób lego, co może ci zaszkodzić. Nie pal, papierosy zabijają. Nie zaczynaj z nieodpowiednim facetem. Nie zaczynaj... Spokojnie, a co ona niby zaczyna? Nic się przecież nie stało.

Pomaszerowała z powrotem do łóżka. Pogapi się w telewizor i zaraz zaśnie.

Kiedy człowiek jest wykończony, jego sny są niespokojne.

Znów łódź, znów on, znów bez szortów. Gadają, o czymś nawet ważnym, ale jak tu rozmawiać, ona musi uważać, żeby nie patrzeć w dół...

Budzik. Przerażliwy dźwięk nakazujący powrót do rzeczywistości.

Siadła na łóżku, zmaltretowana, jakby w ogóle nie kładła się spać. Wiadomo już, że nadchodzący dzień można spisać na straty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pokój nie był mały, ale człowiek i tak czuł się w nim jak w klatce. Gorzej. Brakowało nie tylko przestrzeni, brakowało powietrza. Na środku brązowy stół, dwa krzesła, na ścianach dwa odcienie szpitalnej zieleni. Peter Bordon zasiadł z jednej strony stołu, Jake z drugiej. Strażnik, zanim wyszedł, zapowiedział, że będzie stać tuż za drzwiami.

- A cóż on taki czujny - wycodził Bordon. - Chyba nie wie, że to ty kiedyś chciałeś mnie wysłać do wszystkich diabłów.

- Ale nie wysłałem. Na moje oko masz się całkiem nieźle.

- Bo i tak jest. Dziękuję.

Bordon nie porażał atletyczną budową, ale był wysoki i sprężysty. W jasnobrązowych włosach pojawiały się pierwsze białe nitki. Spojrzenie brązowych oczu intensywne, niemal hipnotyzujące. Mówił też

inaczej niż większość ludzi. Niby cicho, ale każde słowo słychać było bardzo wyraźnie.

- Jake? A może nie powinienem mówić ci po imieniu? Może to zbyt duża poufałość? Ale wiesz, mam takie uczucie, jakbyś był mi w jakiś sposób bliski. Bo ja znam twoje myśli, Jake. Byłbyś szczęśliwy, gdybym umierał na jakąś przewlekłą, wyniszczającą chorobę, dławiąc się własnymi wymiocinami. W twoim sercu jest tyle gniewu i nienawiści... Ale ja ci przebaczam.

- Mam gdzieś twoje przebaczenie, Bordon.

Jake wyjął z kieszeni zdjęcie, położył na stole i podsunął do Bordona.

- Jak ona umarła, Bordon? Dlaczego?

Bordon spojrzał na zdjęcie, w jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Przeżegnał się, bardzo powoli, z namaszczeniem.

- Rozumiem, że została zamordowana. No cóż... Ja nic o tym nie wiem. Ale będę się modlił za jej biedną duszę.

- Peter! Jej obcięli uszy i poderżnęli gardło! Zeskrobali tkankę z palców! Umarła w męczarniach, tak jak tamte kobiety przed pięćmioma laty.

- Ja nigdy nikogo nie zabiłem.

- Ale zleciłeś te morderstwa.

- Nie, detektywie, mylisz się.

- Stoisz za tymi morderstwami, wszyscy są o tym przekonani.

- Jesteś w błędzie, detektywie. A jeśli chodzi o tamte kobiety... Może umarły dlatego, że komuś się wydawało, iż jestem im nieprzychylny. Czysty absurd,

moja wiara nakazywała mi wszystkim darzyć miłością. Nie znałem nienawiści.

- Daj sobie spokój, Bordon. Tak mogłeś gadać do tych nieszczęsnych, otumanionych ludzi, którzy oddali ci wszystko, co posiadali.

Bordon uśmiechnął się szeroko.

- Tak, obdarłem tych ludzi do gołej skóry, dlatego wsadzili mnie za kratki. Poza tym uprawiałem seks z wieloma kobietami. Zazdrościsz mi, Jake? Chyba nie musisz. Żadne prawo nie zabrania dorosłym uprawiania seksu za obopólną zgodą.

- Bordon, co stało się z Nancy?

Bordon nawet nie drgnął. Przez chwilę tylko patrzył na Jake'a w milczeniu i potrząsał głową.

- Jake, powtarzasz się. Ta twoja partnerka... Kiedy przyjeżdżałaś do mnie, nigdy jej nie zabierałeś, ale ja i tak sporo o niej wiedziałem. Prawie geniusz komputerowy, prawda? A podczas procesu to ona zasugerowała, żeby sądzić mnie nie za morderstwa, a za przestępstwa... bardziej pospolite. Słyszałem jeszcze, że znaleźli ją w kanale i na tym moja wiedza się kończy. Chociaż nie... Wiem, że była twoją kochanką, miotała się, biedaczka, między tobą a mężem, w końcu puściły jej nerwy.

- Nancy nie popełniła samobójstwa. Była moją partnerką, nie kochanką. Zresztą tak silna kobieta nigdy nie odebrałaby sobie życia z powodu mężczyzny. Nancy została zamordowana, a ja jestem przekonany, że ty zleciłeś to morderstwo. Kazałeś ją zabić, bo ona o czymś wiedziała, o czymś, co stanowi klucz nie

tylko do zabójstw tamtych trzech kobiet, ale też do morderstwa, którego dokonano teraz. Ktoś działa na twoje zlecenie. Ten ktoś był wczoraj na mojej łodzi.

- Włamał się? Zabrał coś?

- Nie. Ale otwierał mój komputer.

- No cóż... Ja na pewno cię nie odwiedziłem, strażnicy potwierdzą to pod przysięgą. Założę się, że twoja była partnerka miała zapasowy klucz...

Jake nabrał głęboko powietrza. Bordon uśmiechnął się z satysfakcją.

- A więc miała. Wiedziałem. Może więc popytasz jej męża?

- Już pytałem. Nie ma pojęcia o żadnym kluczu.

- A co innego miałyby powiedzieć? Zrobiłeś z niego rogakza! Kiedyś spróbuje cię dopaść.

- Jeśli kogoś chce dopaść, to raczej ciebie, Bordon. A on nie przysięgał, że będzie przestrzegał prawa. Chwyci za broń, załatwi cię, a potem zasłoni się chwilową niepoczytalnością.

- Może jednak powinieneś przyjrzeć się bliżej temu młodemu człowiekowi...

- Nie, Bordon, wolę przyjrzeć się tobie. Chcę w końcu z ciebie wydusić, jak to było z tą serią zabójstw przed pięcioma laty i kto zamordował Nancy. Wiem, że te sprawy były ze sobą powiązane.

- Nie masz na to żadnego dowodu, Jake. A poza (ym, codziennie ktoś umiera. Jest tyle wypadków na drogach. Wiesz co, Jake? Mnie naprawdę jest przykro.

- Rozumiem. Gdybyś tylko mógł, na pewno byś mi pomógł.

Bordon znów pomilczał chwilę, bębniąc cicho palcami po stole.

- Byłeś kiedyś, Jake, na występach iluzjonisty?

- Co?

- Iluzjonisty. Tam wszystko jest iluzją, stworzoną przez dym, lustra i nadzwyczaj zręczne ręce. Poza tym stosuje się jeszcze jeden trik, żeby odwrócić uwagę widzów. Koło magika kręci się zawsze piękna, skapo ubrana asystentka...

- Do czego zmierzasz, Bordon?

- A tak sobie gadam... Wiesz, ja tu sporo czytam, a moi towarzysze niedoli często zwracają się do mnie po radę. Odnalazłem w sobie miłość do Boga, Jake. I pojąłem piękno życia.

- Ty odnalazłeś Boga? Przecież byłeś kaznodzieją. I ty mówisz, że odnalazłeś Boga?

Bordon lekceważąco machnął ręką.

- Jake, ja okradałem tych ludzi. Mam charyzmę, jestem czymś w rodzaju takiego właśnie iluzjonisty. Ale to przeszłość. Teraz chcę tylko żyć, po prostu żyć. Jestem wzorowym więźniem, staram się o przedterminowe zwolnienie.

- A ja zrobię wszystko, żebyś tutaj wrócił.

- Jake, rozmawiasz z niewłaściwą osobą. Może te dziewczyny przed pięcioma laty zabił tamten niezrównoważony chłopak, Harry Tennant. Przyplątał się do nas, taki żaloszny sukinsyn. Mnie od razu wydał się podejrzany. Niby za wszelką cenę chciał znaleźć sens życia, ale myślę, że był impotentem i nienawidził każdego, kto wiódł normalne życie.

- Nie, on mi nie pasuje. Morderca usuwał ofiarom koniuszki palców, żeby uniemożliwić identyfikację, ukrywał ofiary na bagnach, gdzie ciało szybko ulegało rozkładowi. To zrobił ktoś inteligentny. Ty, Bordon.

- Niestety, Jake, nic z tego. Znów cię rozczaruję. Nigdy nikogo nie zabiłem, nigdy nikomu nie kazałem zabijać. A tu, w więzieniu, zajrzałem w głąb mojej duszy. Każdego dnia gorzko żałuję, że dałem się kiedyś opętać diabłu. Żałuję wszystkiego. I odnalazłem Boga, Jake.

- Gdybyś tak naprawdę odnalazł Boga, wyznałbyś wszystko, Bordon. Przez miłość do bliźniego. Żeby zapobiec następnym morderstwom.

- Dym i lustra... Świat jest pełen dymu i luster...
- Nagle oczy Bordona przygasły. — Daj mi spokój, Jake. Oskarżono mnie o nadużycia finansowe i za to odsiaduję wyrok. Nie powiem ani słowa więcej, chyba że w obecności mojego adwokata.

- Przyznasz się do winy?

- Jake, chcę wyjść na wolność, chcę żyć. Koniec rozmowy.

Jake wstał, wyciągnął z kieszeni wizytówkę.

- Gdybyś jednak zdecydował się jeszcze kiedyś na spotkanie...

- Dobrze, dobrze, znam procedurę - przerwał Bordon niecierpliwym głosem. - Gdyby przyszło mi coś do głowy, zadzwonię.

Jake zastukał w szybę w drzwiach. Strażnik otworzył drzwi. Jake wolnym krokiem przemierzył więzienne korytarze, wyszedł na zewnątrz. Cały czas

pochłonięty odtwarzaniem w pamięci rozmowy, którą przeprowadził przed chwilą. Każdego zdania, każdego słowa.

Dym i lustra. Iluzjoniści, którzy odwracają uwagę widzowi.

Co, u diabła, Bordon miał na myśli?

Minał płot z drutu kolczastego, ruszył w stronę samochodu.

Czyżby Bordon czegoś się obawiał?

W kieszeni odezwała się komórka. Jake wyciągnął ją szybko, przyłożył do ucha.

- Dilessio.

- Tu Paddy Carnegie. Przepraszam, że oddzwaniałam dopiero teraz. Chciałaś mówić ze mną w sprawie Fresii?

Sprawa Fresii. Po cholere się w to pakował... Wiadomo dlaczego. Bo Ashley Montague jest święcie przekonana, że to ona ma rację. Uparła się, tak samo jak on w sprawie Nancy.

I w tej rudowłosej Ashley jest coś, co bardzo przypomina ciemnowłosą Nancy...

- Dzięki, że zadzwoniłaś, Carnegie. Możemy się spotkać?

Ashley znów przyłapała się na szkicowaniu. Robiła to właściwie od początku zajęć. Stuart na szpitalnym łóżku. Jego rodzice, Natan obejmuje Lucy ramieniem. Jake Dilessio na pokładzie swojej łodzi. Narysowała również Arne'ego, który przed zajęciami zdążył jej przekazać zwięzłe, co przygnało go wczoraj razem

z Lenem do restauracji. Chcieli pocieszyć Ashley, a przy okazji coś zjeść.

Sierżant Brennan umilkł. Ashley odłożyła ołówek i uniosła głowę. A niech to... Sierżant patrzy dokładnie w jej stronę. Przyłapał ją na rysowaniu, a nie dalej jak tydzień temu dwóm kadetom kazano pożegnać się z Akademią. Przepadli na teście, zabrakło im jednego punktu...

Chwileczkę, przecież należała do najlepszych studentów.

Nieco spokojniejsza, razem z innymi kadetami udała się na lunch. Przy stoliku poinformowała przyjaciół, w jakim stanie znajduje się Stuart.

- Ktoś mi poradził, że bym porozmawiała w tej sprawie z detektywem Dilesem. Wyobraźcie sobie, detektyw najpierw nie wykazał zainteresowania, potem nagle zjawił się w szpitalu i obiecał, że pogada z policjantem prowadzącym śledztwo. Modłę się, żeby Stuart odzyskał przytomność.

- Sierżant Brennan ma ci chyba coś do powiedzenia - oświadczyła Gwyn. — Patrzył się na ciebie przez cały ranek.

Nic dziwnego, że Ashley wchodziła do sali wykładowej bardzo spięta. Niestety, tuż za nią pojawił się sam kapitan Murray. Nie zamierzał rozmawiać z kadetami, po prostu przyszedł sobie popatrzeć.

Ashley była pewna, że kapitan popatruje przede wszystkim na nią. Przez resztę zajęć siedziała prosto, pilnie słuchała, zawzięcie notowała.

Kiedy zajęcia dobiegły końca i Ashley razem

z innymi ruszyła do drzwi, silny głos kapitana Murraya osadził ją w miejscu:

- Kadecie Montague!
- Tak jest!
- Chciałbym z wami porozmawiać. Teraz.

Detektyw Dileccio i detektyw Carnegie spotkali się o czwartej w przydrożnej kafejce na granicy hrabstwa Miami-Dade. Carnegie był już po pięćdziesiątce, prawdopodobnie niebawem przejdzie na emeryturę. Rozmowa od samego początku potoczyła się gładko.

- Wiesz, jak to jest z rodzicami - powiedział Carnegie na wstępie. - Ciągłe na mnie naciskają, że-
bym koniecznie coś znalazł. Rodzicom zawsze trudno uwierzyć, że ich dziecko zrobiło coś złego.

- Wiem. Widziałem się z państwem Fresia, wysłuchałem ich opinii. Rozmawiałem też z przyjaciółką tego chłopaka. Ona również upiera się, że Stuart nigdy niczego nie brał.

Carnegie miał jasnoniebieskie oczy, włosy białe jak mleko i pomarszczoną twarz.

- Chciałbym, żeby to była prawda. Słowo. Problem w tym, że za Boga nie mogę tego udowodnić. Chłopak wyleciał na środek drogi międzystanowej, ubrany tylko w te cholerne gatki. Bóg jeden wie, co on tam miał przed oczami, kiedy ładował się między samochody. Właściwie już wtedy nie powinien żyć, tyle miał tego świństwa we krwi. Kierowca, który na niego najechał, jest kompletnie załamany. To porząd-

ny facet, ma sklep meblowy w North Dade, trójkę dzieciaków, co niedziela chodzi do kościoła. Służył kiedyś w marynarce wojennej, nigdy nie dostał mandatu, nawet za złe parkowanie. Oczywiście próbował hamować, ale było za późno. Nie ma bladego pojęcia, z której strony ten chłopak przyszedł. Dwaj kierowcy, którzy jechali z tyłu, też nic nie widzieli. Wszyscy policjanci z tego rejonu rozpytują w okolicznych domach i firmach, zamieściliśmy ogłoszenie w gazecie, szukając ewentualnych świadków zdarzenia.

- A czym zajmował się Fresia?

- Pytaliśmy o to rodziców. Mówią, że dokładnie nie wiedzą. Kilka miesięcy temu Stuart wyprowadził się z domu, podobno na jakiś czas. Chciał skończyć jakiś materiał. Pisywał do gazet, kilka artykułów sprzedał do brukowca „Na Dnie”. Byłem w tej redakcji. Naczelnny lubi Stuarta, zdenerwował się, kiedy powiedziałem mu, co się stało. Podobno Stuart znalazł jakiś ciekawy temat, nikomu jednak nie chciał zdradzić, o co chodzi. Podejrzewam, że Stuart prowadził coś w rodzaju dziennikarskiego śledztwa, no i najprawdopodobniej przy okazji w coś wdepnął. Niestety, nie wiemy w co.

- No tak, ale w końcu w jakiś sposób znalazł się na tej autostradzie, chyba nie spadł z nieba.

- Sprawdziliśmy okoliczne motele i hotele. Nic. Mógł przebywać w czyjejs prywatnej rezydencji.

- Pozostaje nadzieja, że kiedyś się obudzi.

- No, tak. Zawsze jest nadzieja... Jake, a co tam u ciebie? Czytałem, że znaleziono ciało kobiety

zamordowanej w taki sam sposób, jak trzy kobiety przed pięcioma laty. Myślisz, że to ten sam zabójca?

- Niewykluczone, choć możemy mieć do czynienia z naśladowcą. W każdym razie w tej sprawie wiemy jeszcze bardzo niewiele. Nawet nie zidentyfikowaliśmy ofiary,

Carnegie w milczeniu pokiwał głową.

- Jake, a co ze sprawą twojej partnerki? Nic nowego?

Jake potrząsnął przecząco głową, nagle bardzo czujny. Carnegie na pewno słyszał pogłoski o romanse detektywa Dilcessa z Nancy Lassiter. Z drugiej strony, kto ich nie słyszał? Ten rzekomy romans był przecież również przedmiotem śledztwa...

- Bardzo to przeżywałem - wyznał Carnegie.

- Zawsze boli, kiedy ginie jeden z nas. A słyszałem, że to była świetna dziewczyna.

- Będę drażył, dopóki nie poznam prawdy.

- Wstał, wyciągnął rękę do kolegi.- Dzięki, Carnegie, że spotkałeś się ze mną. W razie czego dasz mi znać?

- Jasne, ale nic za darmo - powiedział Carnegie z uśmiechem, mocno ściskając jego dłoń. - Jeśli zamierzasz powęszyć w sprawie Fresii, zrób to. Będę ci tylko wdzięczny.

Ashley z trudem ukrywała zdenerwowanie. Zrobiła coś złe, zaraz ją wyrzucą. Pewnie dlatego sierżant i kapitan patrzą na nią teraz tak jakoś... inaczej.

- Panno Montague, proszę, niech pani usiądzie - powiedział kapitan. - Proszę się nie denerwować.

Usiadła. I wcale nie przestała się denerwować.

- Przejrzałem pani dokumenty. Przez kilka lat dodatkowo studiowała pani sztukę, prawda?

- Tak.

- Ale w pewnym momencie pani zrezygnowała? Ashley sposepniała.

- Nie. Zdecydowałam się wstąpić do Akademii Policyjnej.

- Dlaczego?

Ashley sposepniała jeszcze bardziej.

- Interesuje mnie walka z przestępczością. Mój ojciec był oficerem policji.

- Jednak nic przestała pani interesować się sztuką. Ashley czuła się coraz gorzej. Wszystko jasne. Widzieli, jak rysowała.

- Tak, nadal interesuję się sztuką, oczywiście. Większość policjantów ma jakieś zainteresowania, niektórzy lubią pływać łodzią, inni wędkują.

Jej przemowa rozbawiła zarówno kapitana., jak i sierżanta.

Ashley zeszywniała.

- Czy... czy zostałam usunięta z Akademii?

- Ależ skąd! - zachnął się kapitan. - Mamy tylko pewną propozycję. Musiałaby pani jednak przerwać na jakiś czas naukę.

- A o co dokładnie chodzi?

- Potrzebny nam jest rysownik do zakładu kryminalistyki. Rysownik jest cywilnym pracownikiem departamentu, podlega bezpośrednio komendantowi Allenowi.

- Bardzo atrakcyjna posada - wtrącił sierżant.
- Wielu chciałoby ją objąć.

- Ja., ja nie wiem. A na czym dokładnie miałyby polegać moje obowiązki?

- Głównie na sporządzaniu portretów pamięciowych na podstawie zeznań naocznych świadków - wyjaśnił kapitan. - Także odtwarzanie całej postaci na podstawie resztek szkieletu, no i robienie zdjęć.

- Trochę zajmowałam się fotografią, ale...

- Łatwiej jest nauczyć fotografować, niż znaleźć kogoś, kto ma talent plastyczny. Proszę się nie gniewać, panno Montague, ale pozwoliłem sobie wyciągnąć z kosza kilka pani rysunków.

Położył na stole zmiętą kartkę, po czym starannie ją wygładził. Portret, ni mniej, ni więcej, detektywa Dilssia.

- Znakomicie uchwycone podobieństwo. Jake jak żywy - zachwycił się kapitan.

- Interesujący obiekt - bąknęła Ashley.

- Zapewne. Jestem przekonany, że w przyszłości będzie pani świetną policjantką. Trudno, nie ukończy pani Akademii ze swoją grupą, ale zaręczam, ten czas nie będzie zmarnowany. Praca, którą pani proponujemy, jest nadzwyczaj interesująca i bardzo dobrze płatna.

Kapitan wymienił kwotę, a Ashley aż westchnęła w duchu.

- Przepraszam... ale jestem trochę oszołomiona.

- Nikt nie oczekuje, że podejmie pani decyzję natychmiast. Proszę to spokojnie przemyśleć. Zrobimy może tak. Jutro rano zgłosi się pani do Allena, porozmawia z nim, rozejrzy się po zakładzie i wtedy podejmie ostateczną decyzję.

Kapitan podał numer pokoju, w którym Ashley miała się stawić następnego ranka. Punktualnie o godzinie ósmej.

- Pokazałem Allenowi pani rysunki, powiedział, że byłby zachwycony, gdyby pani chciała z nim pracować. Panno Montague, praca rysownika jest ogromnie ważna, pani na pewno zdaje sobie z tego sprawę. I nie proponowałbym pani tej pracy, gdybym nie był przekonany, że pani się do niej nadaje.

- Dziękuję, sir!

Na parkingu na Ashley czekała para niezawodnych przyjaciół.

- Ashley, mów! - wołała z daleka Gwyn. - Czego oni od ciebie chcieli?

- Chcą, żebym przerwała naukę w Akademii.

- Bujasz - stwierdził krótko Arne.

Przekazała im, w czym rzecz, w rezultacie Gwyn i Arne na sekundę zamienili się w dwa słupy soli. Pierwsza oprzytomniała Gwyn.

- No nie... - westchnęła i zaczęła się głośno śmiać.

- Gdyby zobaczyli moje rysunki, wywaliliby mnie z miejsca!

- Mnie też — przyznał Arne. — Ale to przecież świetne nowiny, Ashley.

- No... nie wiem. Nie będę już policjantką.

- Powiedzieli, że w każdej chwili możesz wrócić do Akademii - przypomniała Gwyn. - Ashley, to praca wymarzona dla ciebie. Połączysz sztukę ze ściganiem przestępców.

- Jasne - przytaknął Arne. - Bierz tę robotę, Ash.

Ja już spadam, matka ma urodziny. Cześć! Ashley, nie zapominaj o nas, jak już będziesz tam pływała wśród grubych ryb.

- Przestań, Anie! - fuknęła Gwyn. - Ona o nas nie zapomni, prawda, Ashley? A kiedy zdecydujesz się ostatecznie, będziemy musieli to jakoś uczcie!

- O ile się zdecyduję-powiedziała Ashley, choć już wiedziała, co zrobi. Byłaby skończoną idiotką, gdyby nie przyjęła tej pracy. - Ja też już lecę. Wpadnę do domu tylko na chwilę, przebiorę się i jadę do szpitala.

- Do tego chłopaka? Trzyma się?

- Na szczęście tak.

Po wkroczeniu do restauracji, Ashley stwierdziła z zadowoleniem, że jest pustawo. Kilka osób w środku, kilka na tarasie, a obsługa w komplecie. W rezultacie Nick i Sharon, zamiast się uwijać, siedzieli przy stoliku i gadali z Sandym. Ashley natychmiast pospieszyła do nich z nowiną.

- No to co? Powinnam przyjąć tę posadę? - spytała Ashley, zerkając na wuja.

- Oczywiście! - zawołał wuj. - Kapitan powiedział przecież, że w każdej chwili możesz zrezygnować i wrócić do Akademii.

- Wolałabym najpierw skończyć Akademię, razem z moją grupą.

- Ale ta praca nie będzie na ciebie czekać. A poza tym, Ashley, swoim talentem przysłużysz się innym ludziom. Pomyśl o tym!

- Tak. Masz rację, przyjmę tę posadę. Nick, jakie jest dzisiaj danie dnia?

- Mahimahi⁶ Francese.

- Świetnie, wezmę na wynos. Dwie porcje, zawiozę państwu Fresia do szpitala.

Kiedy Ashley zjawiła się w szpitalu, w poczekalni siedziała tylko Lucy, zaskoczona nieco widokiem Ashley, ale i bardzo zadowolona.

- Kochanie, jak to miło, że znów znalazłaś czas - mówiła wzruszonym głosem, obejmując serdecznie Ashley. - Nie musiałaś, naprawdę....

- Ale bardzo chciałam, Lucy. Posiedzę ze Stuartem, a ty i Natan zjecie specjalność naszej restauracji, bardzo proszę.

- Och, Ashley!

Oczy pani Fresii wypełniały się łzami.

- Nie dziękuj, Lucy. Zjecie, odpoczniecie, a ja pójdę do Stu.

Podeszły razem do przeszklonych drzwi. Natan uśmiechnął się do nich przez szybę i wyszedł na korytarz, Ashley wsunęła się do środka. Usiadła przy łóżku, wzięła Stuarta za rękę i zaczęła mówić, wpatrzona w błądą, nieruchomą twarz. Opowiedziała mu o propozycji pracy, o tym, jak bardzo jest podniekscytowana, a jednocześnie pełna obaw, czy sobie poradzi. Stuart milczał, a ona i tak mówiła dalej, wszystko, co przyszło jej na myśl.

Nagle ktoś dotknął jej ramienia. To Lucy przysłała

⁶ Mahimahi - spora ryba o złotawych, połyskliwych łuskach. W starym języku Hawajczyków „mahi” znaczy „mocny”.

zmienić Ashley. Teraz ona siadła na krzeselku, Ashley wyszła na korytarz, gdzie czekał Natan. Podziękował serdecznie za wszystko, co dla nich zrobiła i poradził, by zmykała już do domu.

Ashley zjechała windą i wkroczyła do wielkiego garażu. Tylko samochody, nigdzie żywej duszy. Ruszyła do przodu po betonowej posadzce, jej stopy wybijały równy rytm. Nagle uświadomiła sobie, że słyszy za dużo, jakby każdy jej krok odbijał się echem.

Zatrzymała się. Cisza, Rozejrzała się dookoła. Garaż był oświetlony, jednak filary i samochody rzucały ciemny, złowrogi cień. Niestety jej wóz stał na samym końcu garażu.

Znów zaczęła iść. Na początku nie słyszała nic niepokojącego. Ale po chwili... Znów to dziwne, złowrogie echo jej własnych kroków. Obejrzała się powoli. Nic. Ale ona czuła już na ramionach gęsią skórkę. Wyciągnęła kluczyki, gotowa w każdej chwili włączyć alarm.

Coś zadzwoniło. Ashley omal nie podskoczyła. Odwróciła się błyskawicznie. Z windy wyszła jakaś para i pochłonięta rozmową, wolnym krokiem ruszyła przez garaż. Uczucie paniki znikło. Ashley też zaczęła iść, powtarzając sobie w duchu, że jest po prostu głupia.

Samochód nieznajomej pary stał niedaleko windy. Po chwili ożył, przemknął przez garaż. Znów cisza, ani żywej duszy, a Ashley od jej samochodu dzieliła jeszcze spora odległość.

Szła szybko, coraz szybciej, z całej siły ściskając!

w rękii pilota. Teraz już wyraźnie słyszała czyjeś kroki...

Wykonała półobrót. Zawołała, silnym, pewnym głosem:

- Policja! Mam broń! I potrafię z niej strzelać!

Nic. Jakby krzyczała do pustego garażu.

Znów ruszyła w stronę samochodu, I znów to usłyszała. Ten ktoś nic idzie, on biegnie...

Zobaczyła go. Wysoka postać w fartuchu szpitalnym, twarz przesłonięta ochronną maską.

Ona też już nie szła. Biegła, naciskając guzik alarmowy. Jej samochód milczał. Stał zbyt daleko, inne samochody blokowały sygnał.

, A postać w szpitalnym fartuchu była coraz bliżej...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Do samochodu jeszcze parę kroków. Palce Ashley po raz kolejny nacisnęły na guzik alarmowy w pilocie. Nareszcie. Światła rozbłysły, alarm zawył, zagłuszając skutecznie wszystkie inne dźwięki. Rzuciła się do drzwi, otworzyła jednym szarpnięciem. Wsunęła się za kierownicę. Lewa ręka zatrzaśniała drzwi, prawa uruchamiała już silnik. Błyskawicznie wycofała samochód ze stanowiska, wykręciła i nacisnęła na pedał gazu. Cały czas świadoma, że jej prześladowca może mieć broń.

Strażnik przy bramie wcale nie krył sceptycyzmu.

- Jest pani pewna, że ktoś panią gonił?
 - Najzupełniej pewna!
 - Mam wezwać policję?
 - Tak! Chcę, żeby pan wezwał policję. Ten drań może gdzieś się przyczaił i zaatakuje kogoś innego.
- Wściekła jak diabli odjechała na bok i wysiadła. Po

niedługim czasie zjawiło się dwóch funkcjonariuszy, jeden z nich zaczął sporządzać raport. Kiedy opisywała wygląd napastnika, przerwał pisanie.

- Ta osoba miała na sobie fartuch szpitalny?

- Tak. I maskę, taką, jaką nakładają chirurdzy.

- Aha... Panno Montague, jest pani pewna, że ten ktoś panią gonił? A może to jakiś zmęczony chirurg, któremu nie chciało się przebrać.

- Nie jestem zbyt bojaźliwa, uczę się w Akademii Policynnej. Ten ktoś szedł za mną, a potem mnie gonił. Ja uciekłam, ale jakaś inna kobieta może zostać napadnięta czy zgwałcona.

- W porządku. Sprawdzimy teren.

Policjant naskrobał coś jeszcze na kartce i podsunął Ashley do podpisu. Potem wręczył jej wizytówkę, zapewniając, że powiadomią ochronę szpitala o incydencie.

W drogę powrotną do domu Ashley wyruszała pełna wątpliwości, czy ktokolwiek dał wiarę jej słowom. A przecież sytuacja była naprawdę groźna. Kiedy podjeżdżała pod dom, była w dość podłym nastroju. W dodatku ktoś zaparkował na jej miejscu i musiała stanąć kawałek dalej, wściekła, bo teraz do samochodu nie docierało światło latarni.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę domu. Pierwszą myślą było wyciągnąć klucz i wejść przez prywatne drzwi. Zmieniła jednak zamiar. Obeszła dom, kierując się do swoich drzwi na tyłach domu, od strony nabrzeża.

Na tarasie siedziało jeszcze kilka osób, patrzyli na

nabrzeże i łodzie. Ashley również spojrzała w tamtą stronę.

Na łodzi detektywa Dilessia paliło się światło.

Nogi same poniosły ją właśnie tam. Szła szybko, jednak po chwili zwolniła i przystanąła. Zawrócić? Z drugiej jednak strony, może warto z kimś porozmawiać o tym, co jej się przytrafiło.

Spojrzała na pokład i omal nie podskoczyła. Detektyw Dilessio rozsiadł się w ratanowym fotelu, bosa stopy oparł o reling. W ręku butelka piwa, wzrok utkwiony w dal. Wszystko wskazywało na to, że nie dostrzegł Ashley, dlatego omal nie podskoczyła po raz drugi, słysząc ciche słowa:

- Dobry wieczór, Ashley! Czemu nie wchodzisz na pokład?

- Waham się, detektywie. Wiem przecież, że pracujesz przez całą dobę na okrągło.

- Faktycznie. Teraz też.

- Świetne warunki pracy. Fotel, piwo... Nic dziwnego, że od dziecka chciałam być detektywem w wydziale zabójstw.

- Właż na pokład.

Jeden duży krok nad wodą i Ashley stanęła na pokładzie.

- Piwo? Cola? Bierz, co chcesz, tylko pochyl głowę, jak będziesz wchodziła do kajuty.

Ashley ciekawie rozejrzała się po przestronnej kajucie. Wszystko w jednym pomieszczeniu: kuchnia, jadalnia, salon. Urządzone nadzwyczaj funkcjonalnie, wszędzie też bardzo schludnie, ale wcale nie sterylnie.

Otworzyła małą lodówkę i na moment zastygła. Detektyw rozwiązał jej problem.

- Bierz piwo!

Na pokład wróciła, dzierżąc w dłoni butelkę.

- Piękna noc, prawda? - odezwał się Jake półgłosem.

- Tak. Piękna - przytaknęła i od razu przystąpiła do rzeczy. - Udało ci się porozmawiać z detektywem, prowadzącym śledztwo w sprawie Stuarta?

- Tak. To Paddy Carnegie. Nie najmłodszy, z dużym doświadczeniem. Wie, co robi...

- Powiedział coś konkretnego?

- Powiedział, że robi wszystko, co w jego mocy. Państwo Frisia podobają mu się, sam chciałby, żeby oni mieli rację. Ale na razie brakuje świadków tego /darzenia.

Rozczarowanie na twarzy Ashley musiało być aż nadto widoczne.

- A czego się spodziewałaś? - rzucił niecierpliwym głosem Jake. - Niestety, niektóre sprawy ciągną się latami. Jeśli twój przyjaciel przeżyje...

- On przeżyje. Na pewno.

Niestety, zabrzmiało to nieco patetycznie. Jake prychnął drwiąco.

- Niby dlaczego? Bo z nim spałaś?

Ashley spojrzała bardzo chłodno, i żeby ten chłód jeszcze podkreślić, odsunęła się nieco.

- Jesteś pijany?

- Nie. Mówię ci tylko, jak jest.

- Palant. Po prostu palant.

Zdecydowane, szybkie kroki świadczyły niezbi-
cie, że Ashley ma zamiar opuścić pokład „Gwen-
dolyn”.

- Ashley!

Przystanęła, trochę wbrew sobie.

- Język masz ostry, to fakt. Może jednak stać cię na
więcej. Na coś w stylu: detektywie Pilessio, jestem
wdzięczna, że poświęcił mi pan swój czas.

- Faktycznie. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój
cenny czas.

- Ashley, zrozum, to jedna wielka niewiadoma.
Nawet rodzice Stuarta nie mają pojęcia, co on robił.
Podobno współpracował z jednym z brukowców.
Carnegie poszedł do tej redakcji. Okazało się, że Stuart
pracował nad jakimś tematem, ale naczelny również
nie wie, o co chodzi.

Ashley popadła w zadumę,

- Zaraz, zaraz... Przecież to jest odpowiedź, Jake!
Stuart chciał przeprowadzić dziennikarskie śledztwo.
Niestety, ci, których śledził, przejrzeni go i próbowali
zabić. Dlatego musimy koniecznie dojść, nad czym
pracował.

Dilessio nagle wstał.

- My? Odpada! Śledztwo w sprawie Fresii prowa-
dzi Carnegie, to świetny policjant. Gdybyś przypad-
kiem dowiedziała się czegoś, masz iść prosto do niego,
jasne?

Jasne było, że jest wściekły.

- No, dobrze, możesz przyjść z tym i do mnie. Ale
samej nie wolno ci niczego sprawdzać, rozumiesz?

I przestań się oszukiwać. Może twój Stuart wpadł w towarzystwo bogatych dupków, których poznał w jakimś nocnym klubie, no i zaczął brać.

Ashley odruchowo przywarła do relingu. Nie, nie bała się, ale głos detektywa był wyjątkowo stanowczy i poczuła się niepewnie.

- Oczywiście, wszystko jest możliwe. Jestem pewna, że Stuart komuś się naraził! Dziś w szpitalu ktoś mnie gonił.

- Co?!

- Tak, ktoś mnie gonił. Szłam do swojego samochodu, który zaparkowałam na samym końcu garażu. Ktoś szedł za mną. Zaczęłam biec, on też. Kiedy wsiałam do samochodu, ten człowiek znikł. Myślałam, że to jakiś łobuz, co czyha na samotne kobiety, ale teraz jestem pewna, że to ma związek ze Stuartem. Siedziałam przy nim, byłam z nim sam na sam. Ten człowiek nie wie, czy Stuart czegoś mi nie wyznał.

- Jak wyglądał? Włóczęga? Biały? Czarny? Latynos? Stary? Młody?!

- Dokładnie nie widziałam, nie potrafię nawet na sto procent powiedzieć, czy to był mężczyzna, ale chyba tak. Ubrany w fartuch i w masce chirurga.

- Fartuch? Maski chirurga? I na pewno cię gonił?

- Tak.

Jake zamilkł na kilka minut, w czasie których Ashley dokładnie uzmysłowiła sobie, jak niewielka odległość dzieli ją od tego rosnącego mężczyzny.

- Jesteś pewna, że on ciebie gonił? - powtórzył pytanie. - Ashley, jesteś przybita tą całą historią,

rozdrażniona, ale to nie powód, żeby popadać w paranoję.

- To zdarzyło się naprawdę. Złożyłam zeznanie w tej sprawie.

- W takim razie nie powinnaś jeździć do szpitala.

- Mam zamiar zostać policjantką.

- Jednak dałaś się zastraszyć.

- Tylko zaskoczyć. Nie spodziewałam się zagrożenia w szpitalu, poza tym nie byłam uzbrojona. Powiedz, Jakc, dlaczego każda rozmowa z tobą kończy się nieprzyjemną dyskusją?

- Po prostu chcę cię uchronić przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

- Czyli masz ze mną problem.

- Ja? Skąd! Ty masz. Jesteś kompletnie zielona, no i zachowujesz się jak typowy arogancki nowicjusz.

- Rozumiem. Dziękuję za pomoc, detektywie. I proszę wybaczyć, zrobiło się już bardzo późno...

- Odprowadzę cię.

- Zbytek uprzejmości. Droga zajmie mi dwie minuty.

- Odprowadzę. Twierdzisz, że dziś wieczorem ktoś cię gonił. A policjanci zawsze ochraniają siebie nawzajem.

- Rozumiem. W takim razie potem ja odprowadzę ciebie, potem znowu ty mnie...

- Sama nie wiesz, co mówisz.

- A czego oczekujesz po aroganckim nowicjuszu?

Miała wrażenie, że słyszała, jak zgrzytnął zębami.

- W porządku, trochę przeholowałam. Przepraszam, jesteś ładnym i bystrym dzieciakiem.

Na nabrzeżu wziął ją za rękę. Nie ścisnął, nie szarpał, po prostu mocno trzymał. Szła posłusznie, jakieś pół kroku z tyłu, przetrawiając w duchu komplement. Ładny, bystry dzieciak... No, no...

- To są moje drzwi. Dziękuję za odprowadzenie. My, ładne dzieciaki, lubimy lądować bezpiecznie w domu.

- Otwieraj drzwi i wchodź.

Ze znalezieniem klucza był problem. Najpierw szukała na ślepo, grzebiąc palcami w torebce, potem kucnęła i całą zawartość wysypała na próg.

Jak pochylił się i uprzejmie pomógł jej z powrotem wrzucić do środka ołówki, portfel, szminki, puder.

- Znalazłam klucze. Dobranoc, detektywie.

Nie ruszał się z miejsca. Ashley włożyła klucz do zamka, przekręciła. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Już jestem w domu. Dobranoc.

- Dobranoc.

Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył ku nabrzeżu. Ashley stała nieruchomo, odprowadzając go wzrokiem. Detektyw Dileasio... A ona miała nadzieję, że wspólnie zajmą się sprawą Stuarta.

Poza tym wcale sobie nie życzyła, żeby odprowadzał ją pod sam dom. Nie tylko odprowadził, ale jeszcze stał i czekał, dopóki ona nie wejdzie do środka. Po prostu obciach.

Wkurzyłaś się, droga Ashley? Może chciałabyś, żeby było inaczej? Detektyw wchodzi z tobą do

środką, niby sprawdzić, czy ktoś nie ukrył się w szafie albo pod łóżkiem. Nagle podchodzi do ciebie...

I zostaje...

Powiedział, że jest ładna. Hm...

Kochana, czy tobie przypadkiem nie zachciało się seksu?

Tak, Karen, droga przyjaciółko, w tym momencie właśnie na to mam ochotę...

- Zamknij już te drzwi!

No, proszę, jeszcze musiał wrzasnąć z daleka. Zatrzasnęła energicznie drzwi i starannie zamknęła na klucz.

Po powrocie na „Gwendolyn” Jake był spięty i przygnębiony. Nie dość że rozmyślał wręcz obsesyjnie o Bordonie, teraz jeszcze zaczął analizować sprawę Stuarta Fresii.

Poza tym był zły na Ashley. Nie powinna bawić się w detektywa, bo wpakuje się w poważne kłopoty.

Ta dziewczyna miała niezwykle oczy. Zielone, które zmieniały odcień w zależności od stanu ducha właścicielki. Była bardzo zgrabna, ani zbyt szczupła, ani nadmiernie zaokrąglona. Po prostu... apetyczna.

Otworzył lodówkę. Tak, wypije jeszcze jedno piwo. Zamknął lodówkę.

Rozejrzał się po obszernej kajucie. Cholera... Ktoś tu wczoraj myszkował, to jasne, a teraz ta mała mówi, że o mały włos nie została napadnięta w garażu. Między tymi dwoma zdarzeniami pozornie nie ma żadnego związku. A jednak...

Kawa pozwoli mu zebrać myśli. Nalał sobie pełną filiżankę, usiadł przed komputerem. No cóż... Ktoś zakradł się na „Gwendolyn”, żeby zajrzeć do jego plików.

Jutro koniecznie trzeba zmienić zamki, szkoda, że nie zrobił tego dzisiaj.

Przejechał ręką włosy. Skupił się, palce zawisły nad klawiaturą. Powinien wszystko zapisać, każda, nawet błaha informacja może okazać się na wagę złota.

Najpierw Bordon. Co on mówił? Dym, lustra... Mary Simmons jest przekonana, że Harry Tennant był szalony. Podobno słyszał głosy. Łazarz. Łazarz, który powstał z mar... Stuart Fresia pracował nad jakimś sensacyjnym tematem...

Palce znieruchomiały. Te oczy Ashley... Jake nigdy przedtem takich nie widział. Do tego krągły biust...

Zaklął siarczyście, wyłączył komputer i wyszedł na pokład „Gwendolyn”.

Ashley jest tak blisko, wystarczy przejść przez trawnik. Ta mała nie powinna zostać policjantką, była zbyt niecierpliwa.

Bzdura. Ona prawdopodobnie będzie świetnym gliniarzem. Jak Nancy. Ale Nancy popełniła błąd i zginęła. Nie ona jedna, inni gliniarze też popełniają błędy. I giną.

Dym i lustra... Przesłaniają odpowiedź, odpowiedź, która jest w zasięgu ręki... Bordon zaklina się, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Nancy. Nawet gdyby go poddać torturom, co Jake uczyniłby z rozkoszą, też będzie się wypierał. Z drugiej strony wie bardzo dużo

o Nancy, wie nawet o problemach z Brianem, chociaż przecież nigdy się z nią nie zetknął. Pięć lat temu Jake dwa razy przesłuchiwał członków sekty, zawsze sam.

Dym, lustra. Łazarz.

No cóż, trzeba się z tym przespać, może rano wszystko nabierze sensu.

Pozamykał zamki i poszedł do łóżka. Ułożył się wygodnie. Łódź kołysała się leciutko. Sen długo nie przychodził, ale w końcu zmorzył Jake'a, przenosząc go w krainę pełną dziwnych, niepokojących wizji.

Las. Las z kryształowych lusterek. Między lustrami przechadza się starzec w białej szacie. Łazarz, który zmartwychwstał.

Powiał porywisty wiatr, zmienił lśniące kryształy w matowy proszek, w biały pył. Nie ma już lustrianego lasu, starzec znikł. Jake widzi teraz plażę i przystań, przycumowane łodzie.

Po żółtym piasku idzie ku niemu kobieta. Szczupła, gibka, jej mchy są powolne i zmysłowe. Jasna skóra połyskuje w blasku księżyca. Jest zupełnie naga, okrywa ją jedynie płaszcz płomiennorudych włosów.

Naga kobieta powoli wchodzi na nabrzeże, po chwili kroczy po pokładzie „Gwendolyn”. Idzie ku niemu. Jeszcze chwila i...

Zbudził się. Na czole zimny pot, na ustach przekleństwo. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się resztek niedobrego snu. Trzeba z tym skończyć, bo praca stała się jego obsesją. Powinien więcej wychodzić, spotykać się ze znajomymi, oderwać się od tego wszystkiego...

Usiadł na łóżku. Ciekawe, co go obudziło. Sen, a może jakiś hałas, może znów na „Gwendolyn” zakradł się nieproszony gość. Jake zsunął się z łóżka, sprawdził wszystkie zakamarki. Nikogo. Pewnie ktoś po prostu wchodził na swoją łódź albo wychodził z baru. Może Nick wyrzucał śmieci.

Wrócił do kajuty, z szuflady nocnej szafki wyjął pistolet i wyszedł na pokład. Cisza, słychać tylko plusk lal uderzających o burzę. Zszedł na nabrzeże i powoli ruszył przed siebie. Spojrzenie pobiegło w bok, ponad pasem zielonej trawy.

Ona tam stoi, kobieta z jego snu. Ashley Montague. Stoi przed swoimi drzwiami, w długim, szerokim T-shircie, ozdobionym jakimś potworkiem z kreskówki i napisem. Jake nigdy w życiu nie widział bardziej seksownego stroju.

Zatrzymał się. Przez chwilę tylko patrzył. Świadomy, że ona też go obserwuje. Potem jednym skokiem pokonał barierkę i ruszył ku dziewczynie. Dopiero kiedy podszedł blisko, usłyszał pytanie:

- Masz zamiar mnie aresztować?
- Nie. Co ty robisz na dworze?
- Usłyszałam coś. A ty? Dlaczego wyszedłeś?
- Też coś usłyszałem.
- To może po prostu słyszeliśmy siebie?
- Być może.

Powiała chłodna, przyjemna bryza. Jake słyszał oddech Ashley, widział, jak falują jej piersi, przykryte tylko cienką bawełną.

Zwilżyła językiem usta.

- A więc?

- A niech to... - mruknął.

Ona tylko szepnęła:

- U ciebie czy u mnie? - Potrząsnęła głową, jakby zdumiała ją jej własne słowa. - U ciebie - oświadczyła po chwili. - W końcu to nie mój dom, tylko wuja.

Nie odpowiedział, tylko wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rdzawa rudość na jego poduszce, wijąca się, kusząca.

Chyba oszalałem, pomyślał z niesmakiem. Oboje postradaliśmy rozum.

W drodze na „Gwendolyn” przez głowę Ashley przemknęło mnóstwo pytań, jednak nie zamierzała szukać na nie odpowiedzi, bo i po co. I tak nie oparłaby się urokowi Jake’a, bo ten mężczyzna wydał jej się chodzącą doskonałością. Klasyczne rysy i cudowne ciało.

W drodze na „Gwendolyn” nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Milczeli, kiedy Jake przystanął na chwilę, żeby zamknąć za sobą porządnie drzwi, milczeli, schodząc po kilku schodkach, wiodących do sypialni. Jake nie był w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa, kiedy ona, również milcząc, ściągnęła T-shirt.

Jednym ruchem ściągnął z łóżka koc, odsłaniając biel prześcieradła. Wsunęła się na tę biel, ułożyła na plecach, oślepiając go rdzawą czerwienią włosów, rozrzuconych i splątanych.

Wtedy powiedział pierwsze słowo:

- Jezu...

Żadne bluźnierstwo. To był zachwyt.

Przykrył ją swym ciałem. Spojrzał w twarz. Kocie oczy, półprzymknięte, w obramowaniu czarnych rzęs. Z wilgotnych, rozchylonych ust wydobywa się przyspieszony, urywany oddech. Oczekiwanie.

Ashley... Łagodna i miękka, namiętna i żarliwa. Jake nie pamiętał, żeby jakaś inna kobieta wyzwoliła w nim tak przeogromną falę pożądania. Był bliski szaleństwa. Nigdy dotąd nie odczuwał tak intensywnie słodkiej tortury pieścizot.

Ciało Ashley wygięło się w łuk, krzyknęła cicho, wtulając twarz w jego szyję.

Zsunął się na białe prześcieradło, przygarnął ją do siebie. Drżała jeszcze, ale oboje powoli się uspokajali.

W kajucie panował półmrok, łódź kołysała się leciutko. Ashley leżała w jego ramionach, miękka, ciepła, uosobienie zmysłowości. Jej rude włosy oplątywały jego ciało. Skóra Ashley była jak żywy, ciepły jedwab. Dłoń Jake'a przemknęła po nagim ramieniu, wzdłuż pleców... Dłoń zjechała niżej, przykryła pośladki. Krew zawrzała, dwa nagie ciała zaczęły się poruszać w rytmie erotycznej salsy...

Lucy Fresia siedziała na szpitalnym krzeselku

ustawionym obok łóżka. Stan Stuarta wcale się nie poprawiał, ale Lucy nigdy nawet nie przemknęła myśl, żeby się poddać. Stuart żyje, chwilowo tylko przebywa w innym świecie. Wróci stamtąd, wróci do matki, która nie przestawała mu mówić, jak bardzo go kocha.

Nie wypuszczając dłoni syna z rąk, Lucy poprawiła się na krześle. Dzień miał się ku końcowi. Mimo nieustającego napięcia i rozpacz, która na stałe gościła w jej sercu, czuła, że zmęczenie bierze górę. Przymknęła oczy, powoli zapadała w sen.

Nagle do jej mózgu wdarł się jakiś dźwięk. Cichutkie kliknięcie. Natychmiast oprzytomniała. Siadła prosto i spojrzała w stronę drzwi. To na pewno Natan, będzie ją namawiał, żeby pojechała do domu. Albo jedna z tych sympatycznych pielęgniarek przyszła sprawdzić stan chorego, przy okazji coś poprawić, wygładzić.

Za szybą w drzwiach majaczyła postać w zielonym szpitalnym fartuchu. Lekarz? Lucy zaczęła powoli podnosić się z krzeselka, próbując jednocześnie zmusić swoje usta do uprzejmego uśmiechu. Lekarz za drzwiami już ją dostrzegł, była tego pewna.

Ten lekarz wcale nie wszedł. Postać chwilkę i znikł.. Lucy, zdezorientowana, podeszła do drzwi, otworzyła i wyrzła na korytarz. Był pusty. Dziwne...

Wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi. Przysunęła krzeselko bliżej do łóżka, usiadła. Wpatrzona w nieruchomą twarz syna powiedziała mu to, co powtarzała nieustannie, spędzając dzień i noc na szpitalnym krzeselku.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Dasz radę. Musisz, Stu. Twój tata i ja... my cię bardzo kochamy, Stu, jesteś dla nas wszystkim. Synku, proszę, synku...

Dźwięk budzika po prostu przewiercał głowę na wylot.

Jake usiadł gwałtownie.

- Cholera!

- Cholera! - ktoś powtórzył jak echo. Kobieta. Ciało osłonięte białym prześcieradłem. Ashley Montague. W świetle poranka chyba jeszcze bardziej godna pożądania. Zdumiewająco zmysłowa i dziwnie bezbronna.

Jednak światło poranka czyni świat bezlitośnie realnym.

Jake jęknął w duchu. Co on najlepszego zrobił? Przecież to bratanica Nicka, w dodatku wyjątkowo uparta, gotowa wpakować się w niezłe kłopoty. Połączył ich seks, spontaniczny, za obopólną zgodą. Było dobrze, więcej niż dobrze, ale to był tylko seks, nic więcej.

A on jest idiotą, bo to dziewczę, na domiar złego, jest kadetem w Akademii Policyjnej. Owszem, nikt nie zabrania funkcjonariuszom darzyć siebie nawzajem głębszą sympatią. Jeśli ktoś ma ochotę na bliższy związek, jego prawo, nie wolno tylko przenosić tego na płaszczyznę zawodową. Zresztą co tu dłużej rozmyślać, to był tylko seks, chwila zapomnienia. Ten mdzielec jest wyjątkowo arogancki, lepiej trzymać się od niej z daleka.

W głowie Ashley aż kłębiło się od ponurych myśli. Co ona najlepszego zrobiła? Jake bardzo jej się podobał, jednak...

To detektyw Jake Dileccio.

- Cholera - mruknął Jake. Patrzył, jakby znalazł w łóżku kobrę.

- Cholera - powtórzyła jak echo i wstała, ruszając na poszukiwanie podkoszulka. - Która godzina?

- Wpół do siódmej. A zajęcia od siódmej, tak? Musisz pędzić.

- Nie. Dziś jadę na ósmą.

- Dlaczego na ósmą?

- Mam... mam spotkanie. Muszę lecieć.

Naciągnęła T-shirt, zbiegła dwa schodki w dół, potem przez salon i do drzwi. Zadowolona, że dotarła już do wyjścia. Niestety, nie potrafiła poradzić sobie z zamkiem. Musiała odczekać sekundę, zanim nie podszedł Jake.

- Ashley?

- Co? Bardzo mi się śpieszy.

- Uważaj na siebie, dobrze? Nie wyobrażaj sobie, że sama rozwiążesz wszystkie problemy tego świata. Nie mówiąc o sprawie twojego przyjaciela.

- Ja zawsze jestem ostrożna. - Czuła, że rumieni się pod jego spojrzeniem.

- Dzięki, że wpadłaś. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spędził równie miłą noc.

Oczy Ashley zrobiły się okrągłe. Bąknęła jednak uprzejmie:

- Ja też dziękuję.

- Wspaniały seks - szepnął jeszcze, otwierając przed nią drzwi.

- Najlepszy, jakiego zaznałam - zrewanżowała się natychmiast i uciekła.

Cały ranek był bardzo absorbujący, ale też niezmiernie ciekawy. Ashley oddano pod opiekę Mandy Nightingale. Mandy od razu zarządziła, że przechodzą na „ty”, po czym oprowadziła Ashley po całym zakładzie, wyjaśniając tajniki pracy. Nie oszczędzała Ashley, opowiadała jej o wszystkim bardzo szczegółowo. Ashley ze swej strony uprzedziła Mandy, że trochę fotografowała, ale tak naprawdę wcale nie jest w tym dobra.

- Fotografowania można nauczyć każdego - powiedziała Mandy. - Co innego z rysowaniem, tu trzeba mieć iskrę bożą. Widziałam twoje rysunki, Ashley. Bardzo chcemy, żebyś z nami pracowała. Poza tym, to świetna posada.

- Rozumiem. Nie wiem tylko, czy sobie poradzę.

- Nie martw się, wszystkiego się nauczysz.

Pogadały jeszcze chwilę, potem zjawił się kapitan Mun'ay i Ashley oświadczyła, że z wielką chęcią przyjmie proponowaną posadę. Kapitan polecił jej zająć się teraz załatwianiem niezbędnych formalności. Dzisiejsze popołudnie panna Montague ma wolne, a od jutra zaczyna wdrażać się do pracy pod czujnym okiem Mandy.

Marty zadzwonił z przeprosinami. Miał spotkać się z Jakiem, niestety źle się poczuł.

Podczas spotkania grupy operacyjnej Jake'owi brakowało partnera, chociaż na resztę członków grupy nie mógł narzekać. Dobrzy, solidni gliniarze. Belk, lat czterdzieści pięć, doświadczony, rozsądny, w każdej sytuacji zachowywał spokój. Prawdziwy magik w kontaktach ze świadkami. Rosario, parę lat młodszy, pracował z Belkiem od lat. Uzupełniali się świetnie. Razem potrafili zdobyć nieprawdopodobną ilość informacji. Rizzo i MacDonald, znacznie od nich młodszy, ale już z kilkuletnim doświadczeniem.

No i był jeszcze Franklin. Wysoki, ciemnowłosey, uważał siebie za skarbnicę wiedzy, którą łaskawie się dzielił, jako że często zapraszano go do różnych programów telewizyjnych.

Franklin zabrał głos na samym końcu. Dokładnie przestudiował bazę danych FBI i zdążył pogadać z policjantami z całego kraju. Niestety, niczego jeszcze nie znalazł.

Swoje wystąpienie podczas odprawy zakończył stwierdzeniem kategorycznym.

- Musimy dołożyć wszelkich sił i jak najszybciej zidentyfikować tę dziewczynę znaną na bagnach. To ważne.

Potem nastąpiła efektowna pauza. Wzrok Franklina przemknął po obecnych.

- Musimy zidentyfikować tę dziewczynę - powtórzył.

Jake z wielkim trudem powstrzymał się od ko-

mentarza. Spojrzał tylko na Rosaria i prawie się uśmiechnął. Obaj pomyśleli to samo...

Franklin-mędrzec na koniec błysnął jeszcze jednym stwierdzeniem:

- FBI nie ma czarodziejskiej różdżki, to policja musi odkryć istotne dla sprawy fakty.

Jake, gdyby był psem, odsłoniłby kły, a przynajmniej sierść na grzbiecie stanęłaby mu jak szczotka. Co ten dupek tak się sadzi? I tak wiadomo, że przypadek podlega jurysdykcji hrabstwa.

Wstał.

- Jake? - odezwał się cicho kapitan Blake. Siedział na brzegu blatu swego biurka, jako że odprawa odbywała się w jego gabinecie. Kapitan, jak to kapitan, chciał mieć baczenie na wszystko. Teraz jego obawy były nieuzasadnione, ponieważ Jake odezwał się głosem nadzwyczaj uprzejmym.

- Agent specjalny Franklin ma sto procent racji. Panowie, bierzemy się ostro do roboty.

Pierwszy wysunął się z gabinetu. Po prostu uciekł. Najpierw zadzwonił do zakładu kryminalistyki, potem do doktora Ganneta, spoglądając nerwowo na zegarek. Najwyższy czas ruszyć na południe. Trzeba jechać, a potem gnać z powrotem, żeby stawić się o umówionej godzinie w kostnicy.

Chwycił marynarkę, teczkę i wypadł za drzwi.

- Panie Bordon?

- Tak?

Peter Bordon siedział na krzesełku ustawionym na

skraju niewielkiego boiska dla więźniów i wystawiał twarz do słońca. Strażnik zagadnął do niego bardzo uprzejmie, żaden ze strażników nie miał powodu zachowywać się inaczej, trudno było bowiem znaleźć bardziej przykładnego więźnia niż Peter Bordon.

- Telefon do pana. Ma pan pozwolenie na rozmowę.

- Kto dzwoni?

- Kuzyn Richard. Ktoś z pańskiej rodziny zachorował. Przykro mi przekazywać panu tak smutną wiadomość.

- No, tak... dziękuję, Thomas. Bo ty masz na imię Thomas?

- Tak, panie Bordon - przytaknął chłopak.

Zaprowadził więźnia Bordona do telefonu. Więzień Bordon podniósł słuchawkę.

- Peter Bordon, słucham.

- A więc ten gliniarz był u ciebie?

Palce odruchowo zacisnęły się na słuchawce.

- Tak.

- No i...?

- Odszedł z niczym.

- Miejmy nadzieję, że tak zostanie.

- Tak.

- Przekonamy się.

Rozmówca się rozłączył. Bordon uśmiechnął się do strażnika.

- Na szczęście, nie jest tak źle - powiedział. - Mój bratanek zachorował, ale wyjdzie z tego. Twardy chłopak!

Strażnik odprowadził go na boisko, na słoneczko. Nie grzało już tak przyjemnie, chyba lepiej byłoby wrócić do celi... Dilessio... Policjantom prowadzącym śledztwo wolno kłamać. I Dilessio kłamał. On coś wie. Do diabła! On na pewno coś wie...

Jednak Peter nie puścił pary z ust, choć podłączyli go nawet do wykrywacza kłamstw. W więzieniu wyłudował za defraudację i oszustwa podatkowe.

Uśmiechnął się. Uniósł twarz do słońca. Znowu jakby cieplejsze... Jak to dobrze, że nie zdecydował się na ucieczkę i postanowił spokojnie odsiedzieć cały wyrok.

A poza tym tutaj odnalazł Boga.

Marzył tylko o jednym. Wykrzesać z siebie nieco więcej odwagi. Dilessio jeszcze do wszystkiego nie doszedł. A on, Bordon, jest jak terier z kością w pysku. Inni próbują mu tę kość odebrać, ale on nie odda.

Do samej śmierci.

Ashley po wyjściu z gmachu zadzwoniła do Karen, żeby powiadomić ją o stanie zdrowia Stuarta, a także przy okazji wspomnieć o zmianie w swoim życiu. Karen wyraziła natychmiast gotowość odwiedzenia Stuarta, jeszcze tego samego dnia, deklarując się, że powiadomi też Jan. W końcu we trójkę mogą udzielić państwu Fresia jeszcze więcej moralnego wsparcia. Ashley zgodziła się i wtedy Karen przeszła do sprawy drugiej, wyrażając swoją wielką aprobatę.

- Ashley, to cudownie! Nadal będziesz pracować w policji...

- Ale jako pracownik cywilny, dopóki nie wrócę do Akademii.

- Wykorzystasz swój talent, nauczysz się wielu nowych rzeczy, no i będziesz nieźle zarabiać.

- Tak. To jest zdecydowany plus. Ale ja i tak wrócę kiedyś do Akademii. Zresztą detektywom z wydziału zabójstw i niektórym innym specjalistom płacą o wiele lepiej.

- Ale dopiero po dziesięciu latach, a i to nie zawsze. Poza tym w tej pracy nabierzesz bezcennego doświadczenia, a to tylko ci pomoże, kiedy znowu zostaniesz gliną.

Z tym argumentem trudno było się nie zgodzić. Ashley pożegnała się z przyjaciółką, obiecując, że podjedzie po nią o szóstej. Kiedy chowała telefon do torebki, nagle z tyłu usłyszała jakieś szmery. Odwróciła się i zanim zdążyła zaprotestować, pofrunęła do góry. Dowcipny kolega Arne podrzucił ją jak piórko, po czym elegancko złapał i ustawił na ziemi. Wtedy do Ashley rzuciła się Gwyn, całując ją w oba policzki.

- Och, Ashley! Tak się cieszę! Wszystko wiemy. Powiedzieli nam, że przyjęłaś tę pracę i załatwiasz już formalności.

- Głupotą byłoby nie przyjąć takiej pracy.

- Nie przyjąć? - zachnął się Arne. - Wiesz, ilu ludzi chce pracować w kryminalistyce? Podjęłaś słuszną decyzję. Trzeba to uczcić.

Ashley roześmiała się.

- W porządku. Trzeba to uczcić.

- Dziś wieczorem? - spytała Gwyn.

- Nie, dziś nie. Umówiłam się już z koleżankami, jedziemy razem do szpitala.

- A jak tam twój przyjaciel? - spytał Arne. - Coś się zmieniło?

- Niestety, nie - przyznała ze smutkiem Ashley.

- Ojej...

Znów znalazła się w niewoli silnych rąk. Tym razem z tyłu podkradł się Len i złapał ją wpół.

- A co ty tu robisz, Len? Zdradzasz swój wóz patrolowy?

- Nie, młoda damo, nikogo nie zdradzam. Wezwiała mnie tu, jak zwykle, robota papierkowa. Tym razem nie narzekam, cieszę się, że cię widzę. Słyszałem o twoim awansie.

- To nie jest dokładnie awans...

- Jest, jest! Ciekawe, czy nadal będziesz rozmawiać ze zwykłym gliniarzem, który spędza cały dzień w wozie patrolowym.

- Będę.

- Ej, Len! - zagadnął Arne. - Zbieramy cały nasz kurs i idziemy to oblać. Dołączysz się?

- Jasne, dzięki. Kiedy?

- Właśnie roztrząsamy ten problem - wyjaśniła Gwyn. - Ash, może w piątek?

- Świetnie, w piątek. Może zaproszę Karen i Jan? Len, pamiętasz je?

- A tak, z Orlando.

Twarz Lena była zupełnie obojętna. Czyli, Niestety, Karen nie wryła mu się w pamięć. Szkoda...

- Babki do rzeczy? - spytał konkretnie Arne.

- Wszystkie moje znajome są do rzeczy - oświadczyła Ashley.

- W takim razie niech przyjdą, im więcej ładnych lasek, tym lepiej. Słuchajcie, a dokąd się wybierzemy?

- Do klubu „Bennigans”, przy US1 - zaproponowała Gwyn. - Fajna atmosfera i przystępne ceny.

- Dobry pomysł - powiedziała Ashley. - Aha, i ja was zapraszam.

- Nic ma mowy - zaprotestował Len. - W końcu wszyscy dostajemy stypendium. Ashley, czy coś już dzisiaj rysowałaś?

- Nie. Dziś mam wolne popołudnie.

- Chyba jednak nie - powiedział półgłosem Arne, patrząc gdzieś ponad ramieniem Ashley. Odwróciła się i od razu dostrzegła wysoką postać kapitana Murraya. Kapitan uprzejmie przywitał się ze wszystkimi. Ten miły, spokojny i życzliwy człowiek wzbudzał wielki szacunek i powszechną sympatię. W jego obecności nikt nie czuł się skrępowany, nic więc dziwnego, że i teraz Gwyn, Anie i Len głośno wyrażali swoją radość z powodu nieoczekiwanej zmiany w życiu ich koleżanki.

- A ja właśnie w związku z tym mam do panny Montague pewną sprawę - powiedział kapitan. - Chodzi o dzisiejsze popołudnie. Miało być wolne, ale chciałbym to odwołać. To jak będzie, panno Montague?

- Jestem do pańskiej dyspozycji.

- Świetnie. W takim razie jedziemy. Do kostnicy hrabstwa.

Jake, podchodząc do przeszklonych drzwi, widział doktora Ganneta pochylonego nad stołem, na którym leżała martwa dziewczyna. Obok doktora, ku swemu zaskoczeniu, dostrzegł kapitana Murraya, a kiedy wszedł do środka, zauważył również Mandy Nightingale. Spojrzał na nią ciepło, bo cenił jej profesjonalizm. A gdzie ten nowy rysownik? To na pewno ta kobieta, która stoi obok Mandy. Jake przyjrzał jej się i aż wstrzymał oddech ze zdziwienia.

Obok Mandy stała Ashley.

- Jake, na pewno znasz pannę Montague - odezwał się Murray. - Jesteście przecież sąsiadami.

- Tak, znam - odparł, wcale nie siląc się na uprzejmość. - Dlatego pytam, co ona, u diabła, tu robi? To zbyt poważna sprawa, żeby wciągać w nią kadetów z Akademii!

- Panna Montague dołączyła do zespołu ekspertów kryminalistycznych. Jest pracownikiem cywilnym. Formalności nie zostały jeszcze dopełnione, ale kiedy Gannet nas wezwał, poprosiliśmy pannę Montague o pomoc. Panna Montague zaprezentowała już nam swoje umiejętności.

- Niby jakie?

- Lepszego rysownika nie widziałem do lat.

W tym momencie Jake uzmysłowił sobie, że Ashley trzyma w ręku szkicownik i ołówki.

- Oczyszczę czaszkę - powiedział doktor. — Mason, zgodnie z planem, zrobi rekonstrukcję, ale w tym momencie panna Montague jest najlepszym źródłem informacji.

Jake powoli założył ręce do tyłu i równie powoli skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że on jedyny z tego towarzystwa patrzy na pannę Montague wrogo. Cóż, nie znosił niespodzianek.

- No to przekonajmy się, co potrafi panna Montague.

Odczuł złośliwą satysfakcję, bo twarz Ashley była blada, wręcz zielonkawa.

- Jake? - odezwała się cicho Mandy. — Panna Montague zrobiła już pierwszy szkic. Proszę, zobacz.

Jake zacisnął usta, wyciągnął sztywno rękę po szkicownik. I zaniemówił wręcz z wrażenia. Szkic był świetny.

Przez dobrą chwilę spoglądał na szkic, po czym przeniósł wzrok na denatkę. W twarzy ofiary brakowało mięśni, lewe oko nie istniało, prawe jakimś cudem ocalało. Sine usta były opuchnięte i wykrzywione. Ashley to wszystko wygładziła, wyrównała, uzupełniła. Domyślał się, że wiele szczegółów musiała sobie po prostu wyobrazić, zdać się na instynkt.

- Nieźle — mruknął, wręczając z powrotem szkicownik Mandy. - Mam nadzieję, panno Montague, że zrobi pani jeszcze kilka szkiców.

- Naturalnie. O to mnie właśnie poproszono.

- Dobrze. Będę tu za godzinę.

Znał kostnicę hrabstwa bardzo dobrze, wiedział, gdzie można napić się kawy. Usiadł przy stoliku, wyciągnął plik notatek. Przejrzy je jeszcze raz, może wpadnie mu do głowy coś nowego.

A niech to szlag... Z trudem się koncentrował,

dławiła go wściekłość. Dlaczego? To jasne. Ashley już wczoraj musiała wiedzieć, że przechodzi do zakładu kryminalistyki, a nie raczyła pisać ani słowa. Powinna była mu powiedzieć. Tym bardziej, że to cholernie dobra wiadomość. Przynajmniej Ashley nie będzie chodzić po ulicach...

Wypił łyk kawy i schował notatki. Wyszedł na korytarz, spojrzął na zegarek. Chwilę postał, niezdecydowany, po czym szybkim krokiem ruszył przed siebie. Do prosektorium.

Rysunków tymczasem przybyło, wszystkie bardzo dobre. Na każdym z nich młoda atrakcyjna kobieta. Taka była kiedyś ta Jane Doe. Na pewno ktoś ją kochał. Ktoś, kto pewnego dnia dowie się, że ona nie tylko nic żyje, ale zamordowano ją w wyjątkowo okrutny sposób.

- Jake? Chciałbyś coś zmienić? - spytała Mandy.

Chciał coś powiedzieć, owszem, chciał dać wyraz wściekłości na Ashley, ale to byłoby niepoważne i żałosne.

- Jake?

- Co, Mandy? Ach, tak. W porządku, szkice są niezłe. Wybiorę jeden do gazety.

Wsunął rysunki do teczki. Nie podziękował artystce, choć zdawał sobie sprawę, że wypada. Skinał tylko głową Gannetowi, potem wszystkim, łącznie z Ashley, i skierował się ku drzwiom.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ashley powinna teraz rozpierać duma. Zewsząd słyhać było pochwały, kapitan Murray nie krył również osobistej satysfakcji. Nic dziwnego, w końcu on zarządzał personelem Departamentu Policji i z racji tej funkcji miał niejako obowiązek znać się na ludziach. Ashley Montague okazała się strzałem w dziesiątkę. Mandy rozpływała się w zachwytach. Nawet doktor Gannet, zazwyczaj bardzo powściągliwy, nie szczędził Ashley pochwał.

Ashley widziała wiele okrutnych rzeczy zarejestrowanych na taśmach wideo, była też przy sekcji. Zniosła to mężnie, nie zasłabła, nie musiała wyjść z sali. Ostatecznie nikt jej nie zmuszał, by została policjantką.

Jednak gdy zobaczyła zmasakrowane ciało Jane Doe, prawie zemdlała. Nagle w sali zrobiło się bardzo duszno i Ashley zaczęło brakować powietrza. W gard-

le dziwny ucisk, przed oczyma ciemne cętki. Opanowała się dopiero po kilku minutach, wyłączyła wszelkie emocje. Jesteś tylko kawałkiem drewna, Ash, ale takim, które coś potrafi. Masz teraz patrzeć na zmaltretowane ciało, póki w twojej głowie nie powstanie wizja. To była kiedyś kobieta, normalny człowiek, miała dwoje oczu do patrzenia, dwoje uszu do słuchania, białe usta, teraz wykrzywione w strasznym grymasie, kiedyś były pełne, czerwone. I uśmiechały się...

Zrobiła szkice, wszyscy ocenili je jako bardzo dobre. Powinna więc być z siebie dumna, a ona wcale nie odczuwała satysfakcji. Wiadomo dlaczego. Detektyw Dilcchio potraktował ją jak powietrze, więcej, wręcz nie krył antypatii. Po tym, co przeżyli w nocy... Zranił ją i nie umiała przejść nad tym do porządku dziennego.

Pełna ponurych myśli wjechała na parking przed restauracją, znajdując wreszcie jakiś maleńki powód do zadowolenia. Nikt na szczęście nie zajął jej miejsca. Po chwili Ashley wkroczyła na taras.

- Hej, Ashley! Moje gratulacje!

Przy jednym ze stolików siedział samotny mężczyzna, dobrze już po trzydziestce, mocno zbudowany, ciemnowłosa, z szeroką, dobronurzą twarzą. Znajomą. Tak, ten mężczyzna tu kiedyś był, razem... z Jakiem, niestety. To chyba jego partner.

- Dziękuję - powiedziała z miłym uśmiechem, podchodząc bliżej do stolika.

- Jest okazja, żeby przedstawić się oficjalnie. Jestem Martin Moore.

- Miło mi. Pamiętam cię, ostatnio byłeś tu w sobotę. Jack Black i mineralna, tak?

- Zgadza się. Co za pamięć! Wpadam tu czasami, teraz będę zaglądał częściej. Mój partner jest waszym sąsiadem.

- Wiem.

Uprzejmy uśmiech znikł, choć Ashley bardzo się starała, żeby pozostał na jej twarzy.

- O, nie - jęknął teatralnie Martin. - Czyżby mój partner zdążył narozrabiać?

- Ależ skąd.

- Słyszałem, że narysowałaś naszą Jane Doe. Może wreszcie ktoś rozpozna tę dziewczynę. Umówiłem się na dzisiaj z Jakiem. Przyznam, że nie jechałem tu z ochotą. Coś mi wczoraj zaszkodziło.

- Ale chyba już lepiej? Widzę, że dziś wszystko zjadłeś.

- Tak. Pewna słodka istota poleciła mi bulion z bułeczką, a potem pierś kurczaka z grilla. Od razu lepiej się poczułem.

- To musiała być Sharon, dziewczyna mojego wuja - stwierdziła Ashley. - Ona taka właśnie jest, a poza tym piecze wspaniałe ciasteczka.

- Macie bardzo sympatyczny lokal, Jake'owi na pewno się spodoba. Powiedziałem coś nie tak? Masz bardzo niewyraźną minę. Powiedz szczerze, Jake nadepnął komuś na odcisk?

- Nie... to znaczy, tak. Ale tylko mnie. Zadziera nosa.

- Zadziera nosa, powiadasz... Chyba chodzi o coś

innego, Ashley. On chce mieć cię na oku. Jesteś bratanicą Nicka, poza tym, rozumiesz, solidarność zawodowa.

- Nie potrzebuję niańki. W końcu do policji wstępuje mnóstwo kobiet.

- Jasne. Ale widzisz, Jake jest trochę przewrażliwiony na punkcie policjantek. Zanim zacząłem z nim pracować, miał partnerkę. Była świetna.

- Była?

- Tak. Nie żyje od pięciu lat. Zginęła zaraz po serii naprawdę brutalnych zabójstw, na pewno o nich słyszałaś. Nancy znaleziono w samochodzie na dnie kanału, zgon nastąpił w wyniku urazu głowy. Nie miała zapiętych pasów i uderzyła głową w przednią szybę. Ustalono, że to było samobójstwo, ale Jake nigdy nie uwierzył w tę wersję. On jest pewien, że Nancy wiedziała coś o tych morderstwach i dlatego zginęła.

- To straszne.

- Może nie powinienem ci tego mówić, ale widzę, jaka jesteś spięta, ilekroć jest mowa o Jake'u. Teraz będziecie sąsiadami, może więc lepiej, żebyś coś o nim wiedziała. Nancy Lassiter była mężatką, jej mąż czasami tu zachodzi. Małżeństwo było nieudane, Brian, mąż Nancy, był pewien, że Nancy sypia z Jake'em. Owszem, Nancy i Jake byli ze sobą bardzo życzliwi, do dziś wiele osób uważa, że aż za bardzo. Jake nigdy na ten temat nie puścił pary z ust. W każdym razie, mimo zebranych dowodów, on do dziś nie wierzy w samobójstwo Nancy. Nęka go też poczucie winy.

Uważa, że gdyby zmusił Nancy do wyjawienia pewnych informacji, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ta cała historia siedzi w Jake'u bardzo głęboko, pewnie dlatego on instynktownie próbuje cię chronić, a ty fałszywie to interpretujesz.

- Może i tak... W każdym razie sytuacja uległa zmianie. W mojej karierze gliniarza zrobiłam krok do tyłu, to znaczy przyjąłm posadę w kryminalistyce i jestem teraz pracownikiem cywilnym. Sama dokładnie nie wiem, kiedy wrócę do Akademii. Martin, przepraszam, śpieszy mi się. Zarazjadę z koleżankami do szpitala, odwiedzić naszego starego przyjaciela, jeszcze z czasów szkolnych.

- Tego, którego potracili na 1-95?

- Słyszałaś o tym wypadku?

- Oczywiście. Poza tym to ja podwoziłam Jake'a przedwczoraj do szpitala. Słyszałem, że to jakaś niejasna sprawa.

- Na to wygląda. Do zobaczenia.

Uśmiechnęła się i pomyślała, że Martin jako jedyny z policjantów nie próbował zrobić ze Stuarta narkomana.

Szybkim krokiem przemierzyła taras, przeskoczyła przez barierkę i pospieszyła przez trawnik do swoich drzwi od strony nabrzeża. Zegarek podpowiadał, że czas nagli. Prawie wbiegła pod prysznic, zrzucając po drodze ubranie. Wytarła się błyskawicznie, ubrała w sekundę. Przez restaurację zamierzała tylko przemknąć jak błyskawica.

Za barem stała Katie, długoletnia pracownica Nicka.

- O, Ashley! - zawołała z wyraźną ulgą. - Pomociesz? Padam z nóg.

- Nie gniewaj się, Katie, ale muszę lecieć. Umówiłam się z koleżankami, jedziemy do szpitala, do naszego wspólnego...

- Wiem, wiem, słyszałam - przerwała Katie i westchnęła. - Nick i Sharon właśnie tam pojechali, sama ich namawiałam, a w restauracji było pusto. Ale ledwo wyszli, na tarasie zrobiło się pełno. No, trudno, muszę...

- Nic zdejmuj fartucha, Katie - odezwał się nagle Sandy, urzędujący przy barze. - Ja ich obsłużę.

- Koniec świata - jęknęła Katie. - Sandy, przecież ty jesteś naszym gościem!

- Jaki tam ze mnie gość, ja tu prawie mieszkam. Pomogę, ale, niestety, Ashley, oczekuję zapłaty.

- Naturalnie, Sandy, rozliczymy się co do centa.

- Nie chodzi mi o pieniądze. Opowiesz mi tylko, jak wygląda ta twoja nowa praca. Wiesz przecież, że stacy Sandy lubi wiedzieć, co słyhać, a policjanci opowiadają najciekawsze historie.

Ashley roześmiała się i cmoknęła Sandy'ego w brązowy, pomarszczony policzek.

- Będę opowiadać choćby i godzinę. Póki sam nie zatkaż sobie uszu!

Karen czekała już przed swoim domem.

- Karen, przepraszam, spóźniłam się.

- Nie przesadzaj - zachnęła się przyjaciółka, lokując się w samochodzie. - Parę minut, normalny człowiek tego nie zauważa. No, jedziemy. Boże, ile

w tym tygodniu się dzieje! Dzwoniłam przed chwilą do szpitala. U Stuarta bez zmian, ale, chwała Bogu, trzyma się. A co u ciebie, Ash?

- Też sporo się dzieje. Odbierzemy Jan i wszystko wam opowiem.

Tak też się stało. Kiedy Jan dołączyła do przyjaciółek, Ashley podzieliła się najnowszą sensacją, związaną z jej skromną osobą.

- E tam... - mruknęła Jan z tylnego siedzenia.

- Co ty tam mruyczysz? - zainteresowała się Karen.
- Dziewczyno, ciesz się! Oto nasza Ashley, przyszła chluba amerykańskiej kryminalistyki.

- Świetnie, że będziesz rysować, Ash - powiedziała Jan. - Ale czy ty... czy ty w ogóle nie będziesz miała do czynienia z żywymi ludźmi?

- Będę rysować również portrety pamięciowe. Rozumiecie, na podstawie informacji naocznych świadków, to zresztą będę robiła najczęściej. Ten przypadek był wyjątkowy. Zwłoki są w strasznym stanie, umieszczenie zdjęcia w gazecie nie miałoby najmniejszego sensu. I ja, patrząc na nią, musiałam sobie wyobrazić, jak ta kobieta wyglądała za życia.

Jeszcze przez chwilę Ashley opowiadała koleżankom o swym nowym zajęciu, po czym podzieliła się z nimi jeszcze jedną, bardzo miłą wiadomością.

- Dziewczyny, w piątek wieczorem idziemy zaszaść. Jesteście zaproszone. Będą moi koledzy i koleżanki z Akademii.

- Byli koledzy i były koleżanki - nie omieszkała przypomnieć Karen. - A cóż to za okazja?

- Jak to? Moja nowa posada.

- Świetnie.

- Jasne, świetnie - powtórzyła melancholijnym głosem niepokieszona jednak Jan. - Nasza Ashley będzie teraz rysować trupy!

Wkrótce wjeżdżały już na parking szpitalny. Ashley wprowadziła wóz na wolne miejsce, zgasiła silnik, ale jakoś nie kwapiła się do wysiadania.

- Wiecie, co mi się tu kiedyś przydarzyło?

- Mów! - krzyknęły obie przyjaciółki niemal jednocześnie i Ashley wyczerpująco zdała sprawozdanie z niemiłego zajścia z osobnikiem w szpitalnym fartuchu.

- No, pięknie - powiedziała Karen. - I mówisz nam to dopiero teraz?

- Ashley, może przesadzasz. To przecież szpital - zastanawiała się głośno Jan. - Prawdopodobnie ktoś z personelu śpieszył się do swego samochodu.

- Jan, nic mam wybujałej wyobraźni. Ten facet naprawdę mnie ścigał.

- Dobrze, wierzę. W takim razie dlaczego wjechaliśmy właśnie do tego garażu?

- Bo teraz, skoro Ashley powiadomiła o wszystkim policję, na pewno jest tu bezpiecznie - oświadczyła Karen.

Wszystkie trzy wysiadły z samochodu, wszystkie trzy rozejrzały się dookoła z niepokojem.

- Na szczęście nie jesteśmy same - stwierdziła z ulgą Jan. Ku windzie zmierzała spora grupa osób obładowanych kwiatami, torbami i torebkami oraz

wielkim balonem z radosnym napisem: „To chłopak!”. Trzy przyjaciółki skwapliwie podążyły śladem owej grapy i wepchnęły się do tej samej windy. W poczekalni zastały Lucy w towarzystwie Nicka i Sharon. Karen i Jan rzuciły się do Lucy, ściskając ją serdecznie, Lucy wzruszonym głosem dziękowała im za życzliwość.

- Nie mogę uwierzyć, że mam tylu przyjaciół - mówiła przez łzy. - Przyjechali też Nick i Sharon. Cieszę się, że ją poznałam, jest taka miła. Przywieźli nam krewetki i domowe ciasteczka.

- Sharon piecze najlepsze ciasteczka na świecie - oświadczyła z mocą Ashley.

- Płacę jej za reklamę - zażartowała Sharon.

- Obiad jest w tej torbie? - dopytywała się Ashley.

- A gdzie Natan? Trzeba jeść, póki ciepłe.

- Dobrze, dobrze, kochanie. On zaraz przyjdzie. A ty pójdziesz do Stuarta, prawda? Wiesz, wydaje mi się, że on doskonale wie, kto przy nim czuwa. A wy...

- Lucy spojrzała niepewnym wzrokiem na Karen i Jan, pomyślała chwilę i wzruszyła lekko ramionami. - Trudno, Pan Bóg wybaczy. Ostatecznie Stu może mieć kilka kuzynek. Przepraszam na chwilę, pójdę porozmawiać z pielęgniarką. Nick, Sharon, pójdziecie z nami do kawiarni?

- Dzięki, Lucy. Zostałbym z wielką przyjemnością

• - powiedział Nick. - Muszę jednak wracać do baru.

- Tak. Musimy jechać - przytaknęła Sharon, podnosząc się z krzesła.

Kiedy Lucy znikła w drzwiach, Jan trąciła łokciem Ashley.

- Szkoda, że Nick i Sharon już jadą - szepnęła konspiracyjnie. - Myślałam, że nie będziemy chodzić po tym garażu same.

Karen trąciła Jan.

- W porządku. Ashley nie ma broni, ale ja mam w torebce nóż.

Zanim Jan zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, rozległ się dźwięczny głos Sharon.

- Dziewczęta? Dlaczego tak szepczecie? Coś nie w porządku?

- Wszystko dobrze - skłamała gładko Ashley.
- A wy już jedźcie, jak najprędzej. Trzeba ratować Katie. Po waszym wyjściu do restauracji zwałił się tłum ludzi. Stary Sandy zakasał rękawy i wziął się do roboty.

- Sandy? - powtórzył z niedowierzaniem Nick.

- On się świetnie orientuje w gustach naszych gości — skwitowała ze śmiechem Sharon. — Jedziemy, Nick. Pa, dziewczęta!

W tym momencie w poczekalni pojawiła się Lucy z Natanem. W rezultacie Nick i Sharon zgodzili się pójść na parę minut do szpitalnej kawiarenki.

- Dziewczęta, pamiętajcie, przy Stuarcie mogą być tylko dwie osoby - przypomniała Lucy.

Kiedy starsi państwo opuścili poczekalnię, Ashley zakomenderowała:

- Wy idziecie, ja tu poczekam. Widziałam się z nim wczoraj.

Karen i Jan wyszły na korytarz. Ashley postąpiła chwilę, popatrzyła w lewo, w prawo, po czym chwyci-

wszy ze stolika kolorowe czasopismo, przysiadła na krzeselku. Do tego momentu mężczyzna na innym krzeselku, kryjący się za płachtą gazety, jakoś nie zaprzął jej uwagi. Dopóki nie złożył gazety i nie przysiadł na krzeselku tuż obok. Kiedy usiadł, ona prawie podskoczyła. To ten natrętny dziennikarz, o którym wspominał Natan.

- Czego chcesz? - spytała ostro.

- Cicho, nie krzycz tak, proszę. Jestem przyjacielem Stuarta.

- Ty? Ja cię nie znam.

- A niby skąd masz mnie znać? Kiedy ostatni raz widziałaś się ze Stuartem?

- Raczej dawno.

- No właśnie. A ja od dawna przyjaźnię się ze Stuartem, tylko jakoś nikt nie chce w to uwierzyć. Wszyscy uważają, że jestem dziennikarzem polującym na sensację. Nawet rodzice Stuarta.

- A dlaczego ci nie wierzą?

Mężczyzna westchnął.

- Chyba dlatego, że pisuję do brukowca. Przyznaję, to ja spłodziłem artykuł o kobiecie uprowadzonej przez przybyszów z obcej planety i o jej dwugłowym dziecku. Trudno. Zapłacili, to napisałem. Stuart Fresia pisywał do tej samej gazety. Podejrzewam, że jego rodzice obarczają mnie odpowiedzialnością za wszystko, co się stało. Bo to ja przedstawiłem Stuarta naczelnemu i zaraz potem Stuart wyprowadził się z domu. Napuścili na mnie policję, byłem przesłuchiwany, trzeba przyznać, bardzo ostro.

- A powiedziałaś policji, czym Stuart ostatnio się zajmował? Bo ty na pewno wiesz, prawda?

- Jasne. Przekazałem im wszystko, co mi opowiadał Stuart. On interesuje się gospodarką, rolnictwem, a głównie zagadnieniami środowiska, konkretnie tym, co się dzieje na terenie Everglades. Jakie szkody wyrządza tam wielki biznes. Rozumiesz, kurczenie się zasobów wodnych, zanieczyszczenia i tak dalej. Ostatnio wpadł na jakiś sensacyjny trop. Był bardzo podniekowany, niestety, nie powiedział nic konkretnego. Mogę tylko przypuszczać, że to jakaś poważniejsza sprawa. Na przykład narkotyki.

Ashley spojrzała na swego rozmówcę nieco uważniej. Był mniej więcej w jej wieku. Miał brązowe, dość długie włosy i niebieskie oczy, bardzo inteligentne i zdumiewająco uczciwe.

- Przekazałem policji nazwiska kilku miejscowych grubych ryb, z którymi Stuart przeprowadzał wywiady. Policja przesłuchiwała tych ludzi. Naturalnie, nikt o niczym nie wie, każdy jest czysty jak łąza. W rezultacie policja kazała mi się przymknąć, raz na zawsze.

- A dlaczego chcesz rozmawiać ze mną?

- Z dwóch powodów. Jesteś podobno w Akademii Policyjnej. Poza tym ty nie wierzysz, że Stuart został narkomanem.

Ashley wciąż przyglądała mu się uważnie. Wyglądało na to, że naprawdę chciał pomóc Stuartowi.

Na jej twarzy, dotychczas spiętej, pojawił się pierwszy uśmiech.

- Rozumiem. Problem tylko w tym, że ja już nie jestem w Akademii.

Dziennikarz zasepił się.

- Wylali cię? Nie wierzę. Stuart dużo mi o tobie opowiadał.

- O mnie?

- Tak. Mniej więcej przed rokiem wypuściliśmy się razem do restauracji twojego wuja. Ciebie akurat nie było, twego wuja zresztą też. Stuart opowiadał mi, że naprawdę byliście ze sobą skumplowani, on z chęcią odnowiłby starą przyjaźń. Barmanka powiedziała nam, że zamierzasz zdawać do Akademii Policyjnej.

- Uśmiechnął się. - Ja naprawdę chcę pomóc Stuartowi.

- Myślisz, że potrafisz zrobić więcej niż policja?

- Już zrobiłem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jake siedział na tarasie. Sam. Marty pożegnał się dobre pół godziny temu. Nie gadali długo. Jake opowiedział partnerowi o swojej wizycie w dawnej posiadłości Bordona, kiedyś siedzibie sekty. Obecny właściciel, farmer, wyraził zgodę, żeby Jake przespa-cerował się po jego ziemi. Pola kończyły się nad kanałem. Jake stał tam długo, wpatrzony w wodę. I rozmyślał. Między innymi o tym, że samochód Nancy Wyciągnięto z kanału zaledwie kilka kilometrów stąd.

- A czego ty się spodziewałeś po tej wizycie?
- spytał Martin. - Ludzie Zasad odeszli stamtąd wiele lat temu.

- Sam nie wiem - przyznał Jake. - Czasami niby na coś patrzymy, ale tak naprawdę wcale tego nie dostrzegamy.

Marty popatrzył na niego dziwnie, ale powstrzymał się od komentarza.

Jake opowiedział też, co się działo na odprawie grupy operacyjnej, a także o swej wizycie w kostnicy i rysunkach Ashley.

Wkrótce potem Martin poszedł, a Jake dalej siedział przy stoliku, wpatrując się w pustą filiżankę.

- Hej, Jake! Podać piwo?

Głos Sandy'ego wyrwał Jake'a z zamyślenia.

- Ja tu dziś pracuję - oświadczył Sandy z dumą.

- Wszyscy pojechali do szpitala, odwiedzić tego biedaka. Najpierw pojechali Nick i Sharon, potem Ashley, która miała zabrać po drodze jeszcze dwie koleżanki. Jak będzie z tym piwem, Jake?

- Dzięki, Sandy, ale zrezygnuję. Mam jeszcze sporo roboty. Sam nie wiem, co mnie napadło, że tak tu sobie siedzę.

- Ale główka pracuje.

~ Niestety, na zwolnionych obrotach.

Poszedł wolno nabrzeżem w kierunku „Gwendolyn”. Najpierw sprawdził wszystkie zamki, jak to miał ostatnio we zwyczaju, dopiero potem włożył klucz.

Zalogował się w komputerze i odszukał pewną listę. Imiona i nazwiska zaczęły powoli przesuwac się w górę ekranu. Stop. To nazwisko. Ono po prostu bije po oczach. John Mast.

John Mast nie żyje.

Dym i lustro.

Po kwadransie wciąż uporczywie wpatrywał się w ekran.

Nancy.

Do cholery! Wszyscy myślą, że zwariował! Choć

z drugiej strony samobójstwo to jedyne logiczne wytłumaczenie tego przypadku...

Bzdura. On swoje wie. Tak jak ta rudowłosa Ashley. Ona też nie uwierzyła, że Stuart zaczął brać narkotyki.

Rozsądek, logika... czasami lepiej to wszystko schować do kieszeni.

Jake westchnął i wyłączył komputer.

- A niech to szlag... Przepraszam!

Mężczyzna obok Ashley zerwał się z krzesła. Wtedy Ashley usłyszała to, co do niego dotarło sekundę wcześniej. Ktoś nadchodził korytarzem.

- Muszę iść.

- Nie, proszę, zostań. Nie powiedziałaś mi...

- Spadam, Ashley - rzucił nerwowo. - Bo zaraz ktoś się przyczepi, że cię napastuję. Nie martw się, jakoś się z tobą skontaktuję.

- Zaczekaj!

Zerwała się z krzesła i podbiegła do drzwi. Niestety, mężczyzna jakby rozpląnął się w powietrzu. Korytarzem nadchodzili państwo Fresia, bez Nicka i Sharon, którzy najprawdopodobniej prosto z kawiarenki poszli do garażu i byli już w drodze do domu.

- Karen i Jan są u Stuarta - poinformowała Ashley.
- Pójdę do nich, zobaczę, co się dzieje. Lucy, może teraz ja posiedzę chwilę przy Stu?

- Dobrze, kochanie. Potem ja cię zastąpię. Pielęgniarki są takie miłe, dały mi rozkładany fotel, dzięki temu spędzę noc wygodniej. Natan pojedzie teraz do

domu. Odświeży się, zabierze kilka drobiazgów i wróci tutaj. Ja pojedę do domu rano.

Stan Stuarta nadal się nie zmienił, choć jego twarz wyglądała trochę lepiej. Ashley usiadła na krzeselku, wzięła Stuarta za rękę i zaczęła mówić. Miała wiele do opowiadania. O swojej pracy i o nocy z Jakiem. Opowiedziała wszystko, o głupim porywie namiętności, o tym, że czuje się teraz podle. Była idiotką, fakt, ale nic nie mogła na to poradzić. Wiadomo, jak to jest. Spotkasz niewłaściwą osobę i zamiast zwiewać, pakujesz się w kłopoty.

- A wiesz, Stuart, spotkałam tu twego przyjaciela z tej waszej gazety. Zaczął coś opowiadać, ale nie dokończył. Nie znam jego nazwiska, ale jakoś go odnajdę. Twego ojca nie będę pytać, on go nie znosi. Pójdę już, Stu. Zaraz przyjdzie tu twoja mama.

Pocałowała Stuarta w czoło, uściśnięła lekko jego dłoń, pottrzymała jeszcze chwilę i wyszła. W poczekalni, ku swemu zdumieniu, zobaczyła Lena Greena.

- Cześć, Ashley. Wpadłem, żeby okazać solidarność. Powiedziałem państwu Fresia, że jestem zwykłym szarakiem, ale gdybym mógł coś zrobić, to chętnie pomogę.

- Bardzo miło z twojej strony, Len.

- A poza tym mamy teraz eskortę w drodze do garażu - stwierdziła radośnie Jan. - I to nie byle jaką. Wysoką, przystojną i w dodatku uzbrojoną.

- Jak to? - zaniepokoiła się Lucy. - Żeby zejść do garażu, musicie mieć broń?

- Och, Jan zawsze trzymają się głupie żarty

- wtrąciła szybko Ashley, piorunując koleżankę wzrokiem. - Lucy, jedziemy już. Należy wam się trochę spokoju.

- Ashley - zaczęła Karen, kiedy po czułym pożegnaniu wchodziły do windy. - Nie sądzisz, że należałoby ostrzec rodziców Stuarta? Powiedzieć im o incydencie w garażu?

- Co? - zainteresował się natychmiast Len. - Ashley, co ci się przytrafiło w garażu? Dlaczego nic o tym nie wiem?

- A kiedy miałam ci powiedzieć? Poza tym i tak nikt mi nie wierzy. Gonił mnie jakiś facet w fartuchu i masce ochronnej. Państwu Fresia nie trzeba o tym mówić, oni i tak mają dość zmartwień.

Zjechali na dół, przeszli kawałek po betonowej posadzce. Nagle Karen znieruchomiała.

- Cii...

- Co jest? - szepnęła Jan.

- Słyszę kroki. Tam ktoś idzie.

- Spokojnie, mam broń - powiedział cicho Len.

Tak, ktoś szedł, ale wcale się nie skradał. Szedł szybko i pewnie.

Ashley dziwnie głośno nabrała powietrza.

- To... to detektyw Dileccio - powiedziała nieswoim głosem.

- Ashley - niemal jęknęła Karen. - Przecież to ten facet, którego wtedy narysowałaś.

- To gliniarz — uzupełnił Len.

- Znasz go? - spytała ostrym głosem Ashley.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wtedy, w Orlando?

- O czym ty mówisz, Ashley? On też był w Orlando?
 - Nie, ale narysowałam na serwetce jego portret.
 - Len poszedł wtedy uregulować rachunek - przypomniała Karen.
 - Rzeczywiście.
 - Detektywie Dileccio, witamy - odezwał się Len.
 - Co pana sprowadza do szpitala?
 - Przyszedłem sprawdzić, jak tam ze Stuartem Fresią.
 - My również. Jestem bliskim znajomym Ashley.
 - Aha.
 - To moje przyjaciółki, Karen i Jan - powiedziała szybko Ashley. - Nie wiedziałam, że panowie się znają.
 - Ashley - mruknęła Karen - przecież obaj pracują w policji.
 - W mieście są tysiące policjantów - odparła Ashley trochę opryskliwie.
 - Ale detektywa Dileccio znają wszyscy - oświadczył Len. - Kiedy byłem w Akademii, prowadził wykłady.
 - Pracujesz teraz na południu miasta, Green?
 - spytał Jake.
 - Tak jest! - prawie krzyknął Len.
 - Nadal podoba ci się ta robota?
 - Jak najbardziej!
 - Świetnie.
 - Detektywie Dileccio? Czy jest coś nowego w sprawie Stuarta? - odważyła się spytać Ashley.
- Ciemne oczy detektywa spoczęły teraz wyłącznie na niej.

- Niestety. Przyjechałem, żeby powiedzieć państwu Fresia, że rozmawiałem z Carnegiem. On naprawdę bardzo sumiennie zajął się tą sprawą. Skoro masz towarzystwo, pogadamy później.

- Odwiozę tylko koleżanki i wracam prosto do domu.

- Świetnie, spotkamy się na miejscu. Do zobaczenia. Karen, Jan, miło było was poznać. Green, powodzenia w robocie!

Gdy Jake odszedł, Len natychmiast zapytał:

- Ash? O czym on chce z tobą gadać?

- Dziś rano w kostnicy wykonałam dla niego parę szkiców. Może chce w nich coś zmienić.

- Nie, musi chodzić o coś innego.

- Prosiłam, żeby dowiedział się czegoś w sprawie Stuarta. Może ma dla mnie jakieś nowe informacje.

- W takim razie, jedź prosto do domu - zaproponowała Karen. - My z Jan weźmiemy taksówkę.

Len, naturalnie, stanął na wysokości zadania.

- Nie ma mowy o żadnej taksówce. Odprowadzimy Ashley do samochodu, potem was odwiozę.

Całe towarzystwo pomaszeroowało do samochodu Ashley. Ashley wsiadła, pomachała wszystkim na pożegnanie. Z garażu wyjechała niemal z piskiem opon. Droga do domu okazała się bardzo trudna. Bo ileż to trzeba samozaparcia, żeby nie przekroczyć dozwolonej szybkości, kiedy człowieka aż skręca z ciekawości.

Len Green najpierw odwiózł Jan. Potem powolutku jechał z Karen, uprzejmie bawiąc ją rozmową.

- Ashley świetnie sobie radzi. Wiesz, detektyw Dilessio to jeden z najbardziej szanowanych ludzi w policji.

- Trochę sztywny - stwierdziła stanowczym głosem Karen. - Chociaż niektóre kobiety lubią takich facetów, zamyślonych, jakby wiecznie nieobecnych. Przecież ty też jesteś policjantem, oddanym swojej pracy, a w Orlando świetnie się bawiłeś. Pomysł z tym klubem swingowym był po prostu genialny!

Len zerknął na Karen. Siedziała bliźutko. Taka ładna, miła, może też wolna? Kto wie, czy nie warto poznać jej bliżej.

- Karen? Idziecie razem z nami oblewać awans Ashley?

- Oczywiście, przecież zostałyśmy zaproszone. Ja na pewno przyjdę. O, mieszkam tutaj.

Len zatrzymał samochód na podjeździe i zerknął ciekawie na dom.

- Ładny domek.

- Daleko mu do rezydencji, ale jest mój. To znaczy mój i banku.

- Mieszkasz sama?

- Tak. Może masz ochotę wejść i rozejrzeć się trochę?

- Z przyjemnością. Tylko czy nie jest za późno?

- Dla mnie na pewno nie. Nigdy nie kładę się przed północą. Zapraszam. Kawa, herbata, mam też piwo. O, przepraszam, wygłupiłam się, przecież jesteś policjantem i prowadzisz...

- Jedno piwo może być. Potem mocna kawa.

Weszli do środka. Karen oprowadziła go po domu, nie ukrywając dumy.

- To staję dom, z lat dwudziestych. W tej okolicy jest takich sporo. Pierwsze budynki, które postawiono na bagnach.

Przyniosła piwo, włączyła muzykę, potem oboje z Lenem usiedli na starej, wygodnej kanapie. Len opowiadał o swojej pracy, Karen o swojej. W pewnej chwili zauważyła, że Len zerknął na pustą już butelkę.

- Zaproponowałabym ci następną, Len, ale jazda pod wpływem alkoholu i tak dalej...

- No tak. Chociaż chętnie wypiłbym jeszcze jedno.

- Wiesz co? Zostań, bardzo proszę. Tę kanapę można rozłożyć.

Siedziała tuż obok, z podwiniętymi nogami. Palce Lena delikatnie dotknęły brody Karen.

- Zostałbym bardzo chętnie, tylko nie na kanapie... Słyszał, jak westchnęła.

Pochylił się i pocałował ją. Kiedy odsunął głowę, jej usta były wilgotne, oddech głośny, przyśpieszony.

- Przy... przyniosę to piwo.

Znikła w kuchni. Nie było jej bardzo długo, potem nagle usłyszał swoje imię. Odwrócił się. Karen stała w drzwiach do sypialni i była naga. Dziwne, ale w pierwszej chwili poczuł złość, a dopiero potem podniecenie.

- Len, twoje piwo czeka tutaj.

- Czyżby? - spytał. Równie miękko i łagodnie jak ona. Wstał. Ona cofnęła się do sypialni, on podążył za nią. Położyła się na łóżku, przeciągnęła wyzywająco.

- Panie oficerze? - szepnęła drwiąco.

Ashley zaparkowała wóz i natychmiast ruszyła ścieżką wiodącą na nabrzeże. Jake powiedział, że chce z nią porozmawiać, ale ona i tak czuła się bardzo niezręcznie.

Zasłony na „Gwendolyn” były zasunięte, ale w środku chyba paliło się światło. Ostrożnie weszła na pokład. Stała kilka sekund i bardzo cicho podeszła do drzwi. Ledwo dotknęła klamki, drzwi otworzyły się same.

Myliła się, w środku było ciemno. Chciała zawołać, w tym momencie wyczuła z tyłu ruch powietrza, usłyszała szmer. A w duchu ostrzeżenie, niestety, za późno. Nie zdążyła się odwrócić ani krzyknąć, ten ktoś złapał tak mocno, że nagle zabrakło jej tchu, krzyk zmienił się w jakieś niemal bezgłośnie westchnienie.

Potem poczuła, że frunie w dół. Łąduje na pokładzie, na niej z kolei łąduje jakiś ciężar. Próbowwała krzyknąć, ale ciężka dłoń zatkała jej usta. Próbowwała więc przynajmniej poruszyć głową, żeby wytrząsnąć z niej gwiazdy, które rozbłysły w chwili, gdy rąbnęła głową o twarde deski pokładu.

Lucy Fresia otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju pogrążonym w półmroku. Spała, ale coś musiało ją obudzić. Rozejrzała się jeszcze raz i bezradnie potrząsnęła głową. Niestety, nieustanne czuwanie zaczynało jej się dawać we znaki.

Oparła się wygodniej w krzesło. Stuart leżał na

łóżku w tej samej pozycji, w jakiej ułożono go na samym początku. W pokoju było cicho, paliła się tylko mała lampka. Cisza, spokój...

Chryste!

W tym pokoju nie powinno być cicho. Powinna słyszeć dźwięk respiratora, powolny, równomierny charakterystyczny dźwięk, który stał już się dla niej nieodłączną częścią rzeczywistości.

Twarz Stuarta niebieskawa.

Ekrany monitorów puste.

Stuart nie oddycha. Jego serce przestało bić.

Nie żyje...

Rzuciła się jak szalona ku drzwiom. Jej krzyk wypełnił cały korytarz. Siostra przybiegła prawie bez tchu, prawie natychmiast wypadła znów na korytarz i zaczęła krzyczeć do pielęgniarek w dyżurce. Korytarz ożył, zewsząd wybiegali lekarze i pielęgniarki, wszyscy pędzili do pokoju Stuarta.

Ktoś odsunął Lucy na bok. Wparła się plecami o ścianę, z całej siły, czując, że nie jest w stanie utrzymać się na nogach. Osuwa się na podłogę. Umiera, sił starcza tylko na szloch rozrywający piersi.

- Ashley?

Dłoń, zasłaniająca usta Ashley, znikła.

- Jake? To ty?!

Chwycił Ashley mocno za rękę i pomógł wstać. Stała i przez chwilę wirowało jej przed oczami.

Nagle zrobiło się jasno. Światło zalało całą „Gwen-

dolyn", przed Ashley ukazał się detektyw Dillesio, w samych tylko spodenkach kąpielowych.

- Co ci, do cholery, przyszło do głowy? Czemu skradasz się po mojej łodzi?!

- Wcale się nie skradałam! Powiedziałaś, że chcesz ze mną porozmawiać, więc jestem. Lepiej powiedz, czy w ten sposób traktujesz wszystkich gości?

- Skradałaś się. Szłaś na palcach, po cichu, a ja miałem już jednego nieproszonego gościa.

- Na łodzi było ciemno. Nie wiedziałam, czy w ogóle tu jesteś. Zaraz, a o jakim gościu mówisz, Jake?

- Parę dni temu ktoś tu wszedł podczas mojej nieobecności. I to nie pierwszy raz.

- Zginęło coś?

- Nic bądź śmieszna.

- Śmieszna? To ty nie bądź śmieszny. Przecież to jedyne logiczne wytłumaczenie. A co, może ktoś wkroczył na święte terytorium wielkiego detektywa tylko po to, żeby mieć powód do chwały?

Wielki detektyw milczał, rzucił tylko jeszcze jedno gniewne spojrzenie na Ashley, odwrócił się i mszył schodkami w górę, na pokład. Ashley podążyła za nim. Na pokładzie Jake przystanął i przez dobrą chwilę uważnie badał wzrokiem całe nabrzeże, aż po restaurację. Ashley również patrzyła.

Nabrzeże było puściusieńkie. Ani żywej duszy.

Nagle Jake odwrócił się.

- Ashley? Wszystko w porządku?

- Oczywiście! Uwielbiam, jak ktoś rzuca mną

o ziemię, a w głowie dzwonią mi takie dziwne dzwoneczki.

- A niech to...

Wyciągnął rękę, Ashley odruchowo zamierzała zrobić unik, ale zrezygnowała. Silne palce Jake'a przez dobrą chwilę masowały jej czaszkę.

- Naprawdę wszystko w porządku?

- Naprawdę. Powiedz, co się właściwie dzieje?

- Nie wiem. Ale już po raz drugi ktoś zakradł się na moją łódź.

- Naprawdę nic nic zginęło?

- Wygląda na to, że nic. Chociaż ktoś skasował wszystkie wiadomości na automatycznej sekretarce.

- Na pewno zamknąłeś drzwi na klucz?

- Tak.

- Zamek był naruszony?

- Nie.

- A więc...

- No, właśnie. Już dawno powinienem wymienić zamek.

- Kto oprócz ciebie ma klucz?

Jake odpowiedział dopiero po chwili.

- Nick.

Ashley poczuła, że sztywnieje.

- Nick? Wybij to sobie z głowy. On nigdy, przenigdy nie wszedłby na „Gwendolyn” bez twojego pozwolenia. A jeśli uważasz, że Nick nie dopilnował klucza, to najlepiej będzie...

- Przestań, Ashley. Dobrze wiesz, że mam zaufanie do Nicka.

- A więc co?

Jake milczał przez dłuższą chwilę, potem wzruszył ramionami.

- Był jeszcze jeden zapasowy klucz, dałem go mojej partnerce. To było dawno, kilka lat temu.

- Ona nie żyje? - spytała cicho Ashley.

- Tak-powiedział, wpatrując się w łagodne światło latarni oświetlających teren przed restauracją. - Pytałem jej męża, on twierdzi, że nic nie wie o żadnym kluczu.

- Może kłamie.

- Może.

- Dlaczego nie ściągniesz tu kogoś, żeby zbadał odciski palców?

- Chyba tak zrobię, chociaż mogę się założyć, że ten, kto zakradł się na „Gwendolyn”, na pewno nie zostawił żadnych śladów. Wchodzisz do środka?

- No... ja przyszłam, bo...

Wszedł do kajuty, Ashley wolnym krokiem podążyła jego, śladem.

- Zostajesz? - spytał.

Była zdumiona otwartością tego pytania. Nie wiedziała, czy się na niego wściekać, czy się o niego martwić.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać? - spytała, zmuszając się, aby jej głos zabrzmiał rzeczowo, a może nawet szorstko.

- Chciałem cię przeprosić.

Jej oburzenie znikło jak śnieg w promieniach słońca.

- Ashley? Zostaniesz?

Skinęła głową.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Skinęła głową i już po sekundzie tonęła w ramionach Jake'a. Całował ją namiętnie, jego gorące wargi obudziły w niej pragnienie śmielszych pieszczot. Ciało Ashley domagało się natychmiastowego spełnienia.

Została usadzona na brzegu kontuaru, jej ramiona ciasno owinęły się wokół szyi Jake'a...

Kiedy ekstaza minęła, Ashley popadła w błogostan. Nie czuła nawet cienia żalu, żadnych wyrzutów sumienia, bo nikt dotychczas nie brał jej tak czule i delikatnie na ręce. Nikt nie niósł jej do sypialni tak ostrożnie, jak Jake.

Została ułożona wśród białych wzgórków stłamszonej kołdy, Jake wyciągnął się obok Ashley. Objął ją mocno. Po twarzy Ashley przemknął uśmiech. Leżała nieruchomo, kilka minut, nie dłużej, zapragnęła bowiem bardzo spojrzeć w twarz Jake'a.

Niespodzianka. Jego oczy wcale nie były pełne ciepła, mimo to Ashley zdobyła się jakimś cudem na miły i łagodny ton.

- Zapomniałam zapytać, za co konkretnie chcesz mnie przeprosić. Widzę dwa przewinienia. Walnąłeś mną o ziemię, a poza tym w kostnicy zachowałeś się co najmniej dziwnie.

- Za obie rzeczy - wyznał Jake, odgarniając z jej policzka rudy lok. - W kostnicy po prostu mnie zatkało, nie miałem pojęcia, że jesteś tak utalentowana. T nie powiedziałaś mi, że rzucasz Akademię i przechodzisz do kryminalistyki. Szczerze mówiąc, to ty powinnaś mnie przeprosić.

- Ja ciebie? Za to, że nie powiedziałam? Jake, na dobrą sprawę my się prawie nie znamy. Nie jesteśmy parą starych przyjaciół, którzy nie mają przed sobą żadnych tajemnic.

- Hm... A ja myślę, że niektóre twoje tajemnice już znam. Ilu gliniarzy wie, że kazałaś sobie wytatuować malutki kwiatek, dokładnie tam, gdzie kończą się plecy? Albo o tej bliźnie na udzie...

Ashley zarumieniła się.

- Ale chodzi mi o to... rozumiesz... ja nawet nie wiem, czy ty choć trochę mnie lubisz...

Nareszcie. Mroczne spojrzenie znikło, Jake zaśmiał się i przyciągnął Ashley jeszcze mocniej do siebie.

- Trudno nie polubić pani temperamentu, panno Montague. A uparta jest pani jak buldog.

- Natomiast pan, detektywie, to chodzący czar i wdzięk, nie wspominając o takcie i manierach...

- Chwileczkę! Oblałaś mnie wrzątkiem, trudno więc, żebym...

- A gdzie straszliwe blizny po oparzeniach? Ja żadnych nie widzę.

Jake spoważniał. Chwileczkę pomyślał.

- Odniosłem poważniejsze obrażenia, niż przypuszczasz - mruknął, a serce Ashley zabiło żywiej. Usta Jake'a musnęły jej wargi. To przelotne muśnięcie wydało jej się bardziej intymne niż ich dzikie pocałunki przed chwilą.

- Jake, nie powiedziałam ci wczoraj o niczym, bo sama jeszcze nie wiedziałam na sto procent, na czym stoję. Dziś rano byłam na rozmowie, oprowadzono mnie po całym zakładzie, no i zdecydowałam się. I wcale nie wiedziałam, że po południu będę w kostnicy. Miałam obiecane wolne, kapitan zgarnął mnie dosłownie z ulicy. Rysuję od dawna, dlatego...

- Dobrze już, dobrze...

Silne ramię grzało, było ciepłutko i bezpiecznie. Ashley zdrzemnęła się, a kiedy otworzyła oczy, znów poczuła potrzebę dialogu.

- Jake? Przyjechałeś dziś do szpitala. Czy dowiedziałeś się czegoś nowego?

- Niestety.

- Ale wierzysz, że za tym wypadkiem Stuarta coś się kryje?

- Sam nie wiem. Camegie jest bardzo dobrym gliniarzem, a ja naprawdę mam kupę swojej roboty. Uważam też, że powinnaś się poważnie zastanowić,

czy twoje przypuszczenia oparte są na solidnych podstawach, czy też...

- Czy co?

- Czy po prostu nie nęka cię coś w rodzaju poczucia winy. Facet był ci bliski, spaliście ze sobą, potem zerwałaś z nim kontakt, no a teraz stało się to, co się stało.

Ashley odruchowo potrząsnęła głową. Potem powoli się uniosła, przekręciła na bok i oparła na łokciu. Spojrzała Jake'owi prosto w oczy. Nie miała najmniejszego zamiaru ciągnąć tego wątku ani niczego prostować. Po prostu przystąpiła do ataku:

- Aha... Czyli, jak rozumiem, twój niepokój związany z wizytami nieproszonych gości na „Gwendolyn” wynika z faktu, że spałeś ze swoją partnerką?

Reakcja Jake'a była nieoczekiwana. Nie, nie uderzył jej, ale odsunął się tak gwałtownie, jakby w kajucie pojawiły się jadowite węże. Wstał i zszedł na dół.

Ashley przez kilka sekund leżała nieruchomo, czując, że nagle dookoła niej zrobiło się dziwnie chłodno. Usiadła. Zagryzła wargi, zmarszczyła czoło i pomyślała przez chwilę. Wniosek był jednoznaczny. Króciutka, jakże namiętna przygoda dobiegła końca i niezależnie od uczuć, jakie teraz nią miotają, może zrobić tylko jedno. Wstać i wyjść.

A gdzie jest jej ubranie? Niestety, w salonie. Wyprostowała się, starając się nadać ruchom jak najwięcej dostojeństwa i pokonała dwa schodki, którymi schodziło się do salonu. Salon był pusty, drzwi na pokład otwarte.

- Zostań.

Właśnie sięgała po biustonosz, gdy Jake wkroczył do kajuty, starannie zamykając za sobą drzwi. Podszedł do niej, nagiej, spłoszonej.

- Zostań. Chcę ci coś powiedzieć, o ile, oczywiście, gotowa jesteś mnie wysłuchać.

- Mów.

- Ja nigdy nie spałem z Nancy. Nigdy. Ona była mężatką. Kochałem ją, ale nigdy z nią nie spałem. Parę razy omal do tego nie doszło, zawsze jednak któreś z nas znalazło w sobie siłę, żeby się wycofać. Albo ona, bo przysięga małżeńska coś dla niej znaczyła, albo ja. Kochałem ją, ale to ona musiała podjąć decyzję, czy zostaje z Brianem, czy bierze z nim rozwód. A poza tym, Nancy i ja... Po prostu byliśmy przyjaciółmi. Znałem ją bardzo dobrze, dlatego nigdy nie uwierzę, że popełniła samobójstwo. Ona wcale nie pojechała upić się i naćpać, żeby zapomnieć o depresji. Mam gdzieś scenariusz wymyślony przez psychologa policyjnego. Wiem, że było zupełnie inaczej.

Przestał mówić. Tylko patrzył. Jego oczy, jeśli chciał, czasami nie wyrażały nic. Ale teraz była w nich niezachwiana wiara.

- Ja też - powiedziała cicho Ashley.

- Co?

- Ja też nigdy nie spałam ze Stuartem. Był moim przyjacielem, najbliższym.

Jake uśmiechnął się.

- Czyli znów powinienem cię przeprosić.

- Powinieneś.

- Przepraszam. Bronisz go tak żarliwie, powinienem był się domyślić, że robisz to w imię dawnej przyjaźni. Jeszcze raz przepraszam. Teraz idę wszystko dokładnie pozamykać i nastawię ekspres.

Biustonosz znów sfrunął na podłogę. Ashley i Jake już po chwili leżeli wygodnie w łóżku.

- A więc Stuart Fresia nie był twoją szkolną sympatią?

- Skądże! Chodziliśmy do szkoły publicznej, rozumiesz, jeden dziki tłum. Byliśmy w tej samej paczce. Po prostu kumple. Stuart nawet pomagał mi w kłopotach sercowych. Kiedyś poczułam miętę do gwiazdy drużyny futbolowej. Oszczędzę ci opowieści, do czego posunął się Stuart, w każdym razie dzięki niemu ten chłopak umówił się ze mną. Spotykałam się z nim przez kilka lat i to on był moją szkolną sympatią.

- Ale skończyło się?

- Jasne. Wyrósł z niego kompletny narwaniec, nie do wytrzymania.

- Tak jak ja.

- No, może trochę go przypominasz... W każdym razie mieliśmy nawet poważne zamiary. Ślub zaraz po ukończeniu szkoły. Zamieszkamy u Nicka, ja będę pracować, między innymi po to, żeby on spokojnie ukończył college. Miał co prawda stypendium sportowe, ale niezbyt wysokie. Moje rysowanie uważał za hobby. Poza tym twierdził, że jemu wolno włączyć się po nocnych klubach i barach, bo jest facetem, a ja powinnam to zaakceptować. Na szczęście do akcji wkroczył Stuart, dzięki niemu przejrzałam na oczy.

Posłuchałam Stuarta i zerwałam z tamtym facetem. Potem postanowiłam zostać policjantką. Może dlatego, że mój ojciec był policjantem. W każdym razie nigdy nie zrezygnuję z ukończenia Akademii, a tę posadę traktuję przede wszystkim jako możliwość zdobycia cennego doświadczenia.

- Racja. Kiedy zobaczyłem twoje szkice, po prostu zdębiałem. Ja, stary wyga...

- Stary wyga? Jake, ile ty właściwie masz lat?

- Trzydzieści sześć. Trzynaście lat w policji

- Zawsze tego chciałeś?

- Nie. Wyrastałem w przeświadczeniu, że zostanę prawnikiem. A tak w ogóle to chyba byłem podobny do tego gamonia, z którym umawiałaś się w szkole.

- A teraz, moim zdaniem, jest w tobie sporo męskiego szowinizmu. Kobiecie, broń Boże, nie wolno się wychylać. A mnie to już na pewno.

- Może i masz rację. To dlatego, że czasami bardzo przypominasz mi Nancy. Nancy była moją partnerką, a postanowiła działać sama, na własną rękę. Dlatego ją zabili. Nancy popełniła błąd.

- Każdy może popełnić błąd. Mężczyźni też.

- Jasne...

Spojrzał na nią. Jego twarz była dziwnie ciemna na tle białej poduszki.

- Policjanci to też tylko ludzie. Są wśród glin zwykli macho, co chcą zaszpanować pistoletem, są i rozplotkowane baby. Bywają gliniarze bez charakteru, tacy potrafią zejść na złą drogę. Ale zdecydowana większość jest w porządku. Kiedy byłem jeszcze

chłopakiem, poznałem jednego gliniarza, który bardzo mi pomógł. Powiem ci coś, ale zachowaj to tylko dla siebie. Chyba mam obsesję na punkcie sprawy Bordona. Seria morderstw przed pięcioma laty, sprawa Nancy, nasza ostatnia Jane Doe. Podejrzewam., że wszystko jest ze sobą powiązane i we wszystkim maczał pace Bordon. Niestety, w tej układance brakuje mi jeszcze kilku elementów. Wiem, że się nie mylę, choć wielu tak uważa. Dlatego świetnie cię rozumiem. Ty też czujesz, że sprawa ze Stuartem Fresią wcale nie jest taka prosta, jak ci wszyscy wmawiają. Pomogę ci, o ile znajdę na to czas. Jutro ukaże się w gazecie portret denatki, który narysowałaś. Może ktoś ją rozpozna, wtedy będę miał pełne ręce roboty. Ale jeśli znajdę czas, postaram się coś zadziałać w sprawie Fresii.

- Będę bardzo wdzięczna, Jake.

Chwycił jej palce, pocałował.

- Ej, mała, czy ty przypadkiem nie jesteś tutaj tylko dlatego, że podobno nie jestem najgorszym detektywem?

- Skusiło mnie coś jeszcze, detektywie.

- Domyślam się. Moje boskie ciało.

- Ciało, owszem, ale umysł też, choć może nie zechcesz w to uwierzyć. A co ciebie skusiło, detektywie? Moje boskie ciało, czy też upór, a może fakt, że podobno nie najgorzej rysuję?

- Upór... Może i tak, ale przede wszystkim ciało. I włosy. Rude. Rude są nadzwyczajne.

- Ach tak...

Śmiała się, kiedy ją obejmował, całował, kiedy jego

palce delikatnie przesuwały się wzdłuż jej ud. Ale w duszy już zaczęło kiełkować ziarno niepokoju.

Jestem tu, bo przypominam ci Nancy. Czy tak, detektywie?

Budzik wcale jeszcze nic dzwonił, co do tego Ashley nie miała wątpliwości. Jest noc, a ktoś wali do drzwi, jakby chciał obudzić zmarłego.

- Do diabła, a komu tam odbiło... - mamrotał pod nosem rozespany Jake, szukając pośpiesznie spodenek kąpielowych.

Walenie ustało, teraz rozległo się wołanie.

- Jake! Jake!

- A, to Marty...

Jake szybkim krokiem wyszedł z sypialni. Ashley usiadła na łóżku, próbując otrząsnąć się z resztek snu. Słyszała, jak Jake otwiera drzwi i do kajuty wpada Martin.

- Jake, mamy ją!

- To znaczy...

- Ledwo rzucili gazetę do sprzedaży, już zaczęli dzwonić. Zidentyfikowaliśmy tę znaną na bagnach kobietę.

Natan Fresia siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, pogrążony w rozpacz. Ciśnienie Lucy podskoczyło niebezpiecznie, cud, że nie skończyło się atakiem serca. Po zaaplikowaniu bardzo silnych środków uspokajających Lucy położono na oddziale w zupełnie innym skrzydle, teraz Natan powinien być przy niej. Jednak Lucy kazała mu czuwać przy synu.

- Panie Fresia?

Natan podniósł głowę i spojrzał prosto w twarz doktora Ontkeana, neurologa, lekarza prowadzącego Stuarta.

- Panie Fresia, odwagi. Pański syn współpracuje z nami bardzo dobrze, a to podstawowa sprawa. Wola życia na pewno zwycięży.

Natan skinął głową, uzmysławiając sobie, że niezależnie od wszystkiego, powinien czuć teraz głęboką wdzięczność. T radość. Stuart żyje. Nie przywrócono go do przytomności, ale żyje.

- Pańska żona musi przede wszystkim porządnie odpocząć. Dojdzie do siebie.

- Dziękuję.

- Panie Fresia, tej nocy omal nie straciliśmy pańskiego syna. Na szczęście Stuart ma duszę wojownika. Przez dłuższy czas zdany był tylko na własne siły, ale przetrzymał. To dobry znak, choć także ostrzeżenie. Wiemy, dlaczego tak się stało, ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka. To oddział intensywnej terapii, tu nie może się kręcić zbyt wiele ludzi. Rozumie pan?

- Oczywiście.

- Świetnie. Pan też powinien trochę odpocząć, przespać się.

- Nie. Ja nie odejdę od syna.

- Rozumiem. Ale niech pan chociaż się zdrzemnie w rozkładanym fotelu. Zajrzę do pana później.

Doktor wyszedł. Natan wsłuchiwał się w dźwięk respiratora. W porządku, pracuje. Chwała Bogu.

- Jake, a więc... O, przepraszam, nie wiedziałem, że nie jesteś sam.

- Co? - spytał trochę nieprzytomnie Jake. Rozejrzył się wokół i zaklął w duchu. Na podłodze leżał biustonosz Ashley. - Nieważne, Marty. Mów. Kim jest nasza Śnieżka?

- Gazeta wyszła o świcie, zaraz potem był pierwszy telefon, odebrali chłopcy z nocnej zmiany...

Znow urwał. Ktoś krzyknął przejmująco. Głos dobiegał od strony restauracji.

Obaj, i Jake, i Martin, rzucili się ku drzwiom.

Komórka dzwoniła wściekle, a Ashley za Boga nie mogła sobie przypomnieć, gdzie wczoraj rzuciła torebkę. Wiedziała tylko, że podłoga w salonie zasłana jest jej ubraniem, a Jake i Martin, kiedy tylko usłyszeli ten straszny krzyk, wybiegli na pokład.

Pal sześć komórkę. Bieliznę też, wystarczą dzinsy i T-shirt. Drzwi, skok z pokładu na nabrzeże. Na tarasie z daleka widać znajome sylwetki. Jake i Marty, Sharon i Nick.

- Co się stało?! Co jest?! - pytała zadyszonym głosem, wpadając na taras. - Sharon, to ty?

- Och, Ashley! Tak, to ja. Zobaczyłam w gazecie twój rysunek, portret tej kobiety. Rozpoznałam ją od razu. Pobiegłam do twojego pokoju, a ciebie tam nie było. I tak się przeraziłam, że zaczęłam krzyczeć.

- Ale dlaczego tak się przeraziłaś? - spytał Jake.

- Jak to dlaczego? Przecież my nawet nie wiemy, że Ashley już przyjęła tę posadę - odezwał się pod-

niesionym głosem Nick i Ashley poczuła, jak wszystko w niej zamiera. Naturalnie, Nick o niczym nie wie. Nick, który ją wychował...

- Przepraszam.

- Chwileczkę. Czy to znaczy, że ona podpisała ten rysunek? - pytał zdezorientowany Martin.

- Oczywiście, że nie. Ale ja zawsze poznam rękę Ashley - oświadczył Nick z wielką godnością.

- Ja też — przytaknęła skwapliwie Sharon.

- Nick, posłuchaj - zaszemrała pokornie Ashley, ale Jake przerwał jej niecierpliwym głosem:

- Wyjaśnicie to sobie później! Teraz przede wszystkim niech ktoś mi w końcu powie, kim jest ta kobieta!

Oczy Sharon natychmiast zwróciły się ku niemu.

- O, przepraszam, już mówię. To jest... och, Boże... to była Cassie Sewell. Ona też pracowała w nieruchomościach, przez jakiś czas. Przyjechała tu z głębi stanu, jakieś kilka miesięcy temu. Spotykałam się z nią, ponieważ obie byłyśmy zaangażowane w sprzedaż pewnej posiadłości koło Redlands. Ja nagoniłam kupca, Cassie reprezentowała sprzedających. Wszystko było na dobrej drodze i nagle kłapa. Sprzedający stwierdzili, że ich interesy nie są reprezentowane należycie. Zadzwoiłam do Cassie, wtedy jeden z jej kolegów powiedział mi, że złożyła wymówienie. Podobno chciała rozpocząć nowe życie. To wszystko, co o niej wiem. Byłam na nią zła, zawaliła niezłą transakcję, ale kiedy zobaczyłam jej twarz... ten rysunek Ashley...

- Dla kogo ona pracowała? - spytał Jake.

- Dla „Algernon & Palacio”.

- Dzięki. Marty, jadę tam, a ty wracaj do biura. Sprawdź, czy chłopcy z nocnej zriiany nie mają jeszcze jakichś informacji.

- Dobrze.

Jake szybkim krokiem ruszył nabrzeżem ku „Gwendolyn”, Marty na parking, a Nick, nie powiedziawszy ani słowa, wszedł do baru. Ashley, naturalnie, pobiegła za wujem. Stał za barem i nalewał sobie kawy.

- Nick, przepraszam.

- Masz już dwadzieścia pięć lat. To twoje życie.

- Nick, proszę! - Weszła za kontuar i objęła wuja.

- Nick, proszę, nie gniewaj się. Wczoraj, kiedy wróciłam do domu, ty i Sharon byliście już w drodze do szpitala. A jak wróciłam ze szpitala, to...

- To co?

Nick zeszywniał, odsunął się.

- Nick, myślałam, że lubisz detektywa Dilessia.

- Lubiłem. Zanim zaczął sypiać z moją bratanicą.

- Posłuchaj, mam dwadzieścia pięć lat. Wiadomo, że ja...

- Byłaś już z kimś, tak? Z tym głupim futbolistą? Przecież wiem, nie jestem idiotą. I zdaję sobie sprawę, ile masz lat. Ja tylko żywiłem nadzieję, że stać cię na kogoś więcej.

- Nick, nie gniewaj się. Wiem, że dla ciebie to podwójny szok. Bo jeszcze ten rysunek w gazecie... Wszystko stało się tak szybko. Nick, proszę, pogadajmy spokojnie.

- Dobrze. Kawy?

- Z rozkoszą.

Ashley ulokowała się na wysokim stołku i skwapliwie przysunęła do siebie filiżankę z kawą.

- No więc... Przyjęłam tę pracę, sam mnie zresztą do tego namawiałeś. I wyobraź sobie, choć nie załatwiłam jeszcze wszystkich dokumentów, poproszono mnie, żebym pojechała do kostnicy i wykonała kilka szkiców. To wszystko stało się błyskawicznie.

- Tak samo jak przygoda z Jakiem? Ashley, ty go w ogóle nie znasz. To twardy facet, pracoholik. Podziwiam takich ludzi, ale nie wiem, czy umieją kochać. Ashley, ludzie gadają...

- Wiem, co gadają.

- Ashley...

Zamilkł, ponieważ do baru wkroczyła Sharon. Wkroczyła i natychmiast przystanęła.

- Przepraszam, domyślałam się, że rozmawiacie na temat jak najbardziej osobiste, aleja muszę przejść do sypialni i pozbyć się tego szlafroka. Pora jechać do pracy.

- Sharon, nie przesadzaj - powiedziała szybko Ashley. - Przechodź.

Sharon spojrzała czule na Nicka.

- Kocham was... oboje.

I już jej nie było.

- Posłuchaj no, młoda damo - zaczął Nick, nachylając się nieco ku Ashley. - Zależy mi tylko na jednym. Żeby nikt cię nie skrzywdził. Nie chcę, żebyś wiązała się z facetem, któremu niby niczego nie można

zarzucić, ale który jest trochę zbyt... doświadczony. Wolałbym...

Urwał, jako że Ashley wcale na niego nie patrzyła. Spoglądała w stronę drzwi, nawet się uśmiechała. Na progu stał Sandy, na bosaka i tylko w szortach. W rękę trzymał damską torebkę.

- Przepraszam, ale detektyw prosił, żebym oddał to Ashley.

Sandy podał Ashley torebkę, wcale jednak nie zbierał się do wyjścia.

- To ja też się napiję kawki - mruknął, sadowiac się na stołku. - Tak mi zapachniało...

- No cóż - westchnął Nick. - Wygląda na to, że będziemy musieli gdzieś się razem wypuścić, Ashley. Na jakąś wspólną kolację.

- Chyba tak!

W torebce zabręczało. Ashley szybko wyciągnęła komórkę i przyłożyła do ucha.

- Ashley, to ty?

- Tak. Słucham?

- Tu Dawid Wharton, poznaliśmy się w szpitalu. Muszę się z tobą zobaczyć, koniecznie. Ktoś próbował zabić Stuarta.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ashley, zanim pojechała na spotkanie z Dawidem, zadzwoniła do szpitala, usiłując połączyć się z panem Fresią. Jakaś wolontariuszka przekazała jej informacje o stanie Stuarta i przełączyła Ashley do siostry oddziałowej, która kategorycznie odmówiła przełączenia do pokoju Stuarta. Na szczęście Ashley przypomniała sobie, że w starym notesie ma numer komórki pana Fresii.

Niestety, rozmowa z Natanem była dość przygnębiająca. Natan sprawiał wrażenie człowieka znajdującego się u kresu wytrzymałości. Był uprzejmy, jak zwykle, stanowczo jednak nalegał, żeby Ashley więcej nie przychodziła do szpitala. Wczoraj wieczorem kręciło się za dużo ludzi, ktoś przez nieuwagę wyciągnął wtyczkę z gniazdka, co mogło skończyć się tragicznie.

Ashley nie wierzyła własnym uszom. Przy Stuarcie

najpierw siedziały Karen i Jan, potem ona. Kiedy wychodziła, wszystko było w najlepszym porządku. Respirator pracował bez zakłóceń. Kiedy usiłowała wyjaśnić to Natanowi, on tylko sapnął i powiedział, że jego żona sama jest teraz hospitalizowana, a on zbyt zmęczony, by dalej rozmawiać.

Zdumiona i przerażona, pośpieszyła na spotkanie z Dawidem Whartonem. Dawid czekał w kawiarni „News Cafe” w Coconut Grove i gdy tylko podano kawę, od razu przystąpił do rzeczy:

- Ashley, w szpitalu mówią, że któraś z kuzynek Stuarta przez nieuwagę zahaczyła nogą o sznur i wyciągnęła wtyczkę.

- Bzdura! Żadna z nas nie wyciągnęła tej cholерnej wtyczki. Powiedz mi lepiej, co stało się naprawdę? Przecież ty z tego szpitala prawie nie wychodzisz.

- Tak. Ale nie wiem, co się stało, mogę tylko spekulować. Teoretycznie mogła to zrobić nawet sama Lucy Fresia, w jakimś amoku, rozumiesz, podświadomie pragnąc, żeby jej syn już tak się nie męczył. Mnie, jak się domyślasz, do Stuarta nie wpuszczają, ale staram się zawsze być w takim miejscu, żeby mieć na oku korytarz. I mogę przysiąc, że wczoraj wieczorem do Stuarta wchodzili tylko jego rodzice i ludzie z personelu szpitala.

- Uważasz, że to ktoś z personelu?

- Tego nie wiem. W każdym razie tak wyglądali. Jak pracownicy szpitala.

- Czyli wtyczkę wyciągnął ktoś przebrany za lekarza lub pielęgniarkę.

- Tak. I nie mów mi, że oglądam za dużo filmów.
- Nie mam najmniejszego zamiaru. Wierzę ci, po prostu jestem tym wszystkim przerażona. Jak to się stało, że Lucy niczego nie zauważyła?
 - Na pewno przysnęła, ta biedna kobieta jest już ledwo żywa. Zasnęła jak kamień, a wiadomo, że ktoś, kto wszedł do pokoju, na pewno zrobił to jak najciszej.
 - Ten ktoś może spróbować jeszcze raz... Dawid, to straszne! Pomyśl, jeśli mamy rację, Stuartowi nadal grozi wielkie niebezpieczeństwo.
 - Zgadza się. Teraz, w dzień, na szczęście kręci się tam mnóstwo ludzi. Przy Stuarcie czuwają jego rodzice, dobrze by było, żebyś ty też tam pojechała.
 - Niestety, Natan nie życzy sobie żadnych odwiedzin. On jest przekonany, że któraś z nas niechcący potknęła się o sznur.
 - Może gdybyś z nim porozmawiała...
 - To na razie nie ma sensu, może później. Dawid, podczas naszego pierwszego spotkania powiedziałeś mi, że czegoś się dowiedziałeś.
 - Tak, ale... Dobrze, tylko nikomu o tym nie mów, przynajmniej dopóki nie zdobędę niezbitych dowodów. Muszę być bardzo ostrożny. Przekazałem policji nazwiska, które znalazłem w notesie Stuarta. Do tych osób Stuart miał zastrzeżenia. Zaczęli je sprawdzać. Na przykład jedną babkę z Kongresu. Stuart był pewien, że ona reprezentuje czyjeś interesy. Zaczęli ją podpytywać, ona prawie dostała szału. Wykrzyczała im, że każdy ma prawo do własnej opinii. Nie chcieli jej jeszcze bardziej denerwować, ona parę lat temu

straciła dzieciaka, narkotyki, rozumiesz. Z innymi osobami, których nazwiska podsunąłem, było podobnie. Wyszło więc na to, że kręcę i tylko utrudniam gliniarzom pracę. Teraz nikt nie chce ze mną gadać. Ja nie gonię za sensacją, choć oczywiście chętnie opisałbym tę historię, w końcu jestem dziennikarzem. Stuart to mój bardzo dobry kumpel, przyjaźnimy się. Niestety, jak dotychczas, niczego nie udało mi się dla niego zrobić. I choć wysiaduję w tym szpitalu jak kto głupi, i tak go nie upilnowałem. Cholera!

Dawid zamilkł i przy stoliku na dłuższą chwilę zapadła cisza. Dawid zapatrzył się przed siebie, bębniąc palcami po stole. Ashley, popijając kawę, powoli przetrawiała wszystkie uzyskane informacje.

- Sama nie wiem, co mogłabym zrobić.

- Możesz coś zrobić, Ashley. Mam pewien adres, który chcę sprawdzić. Znalazłem go dopiero teraz, przypadkiem. To jakaś farma, trzeba jechać na południowy zachód. Ashley, proszę, jedź ze mną. Nie jesteś już w Akademii, ale znasz się przecież na rzeczy. Wiesz, jak pociągnąć kogoś za język.

Ashley milczała, zastanawiając się w duchu, co robić. Pojedzie z Dawidem, to oczywiste. Zrobiłaby o wiele więcej, byle pomóc Stuartowi... Przedtem jednak warto skontaktować się w pewnej sprawie z Jakiem, choć prawdopodobnie miał teraz pełne ręce roboty. Zidentyfikowano przecież ofiarę, której portret zamieszczono w gazecie.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała, wstając

z krzesła. Dziwne, skąd raptem tyle ostrożności? Czyżby zaczynała wpadać w obsesję?

Minęła stoliki wystawione na chodnik, przystanąła dopiero za rogiem domu. Wystukała numer do zakładu kryminalistyki i poprosiła Mandy Nightingale. Mandy bez żadnych oporów podała jej numer komórki detektywa Dilessia.

Ashley dopiero po kilku sygnałach usłyszała coś, co zabrzmiało niemal jak krótkie szczeknięcie.

- Dilessio.

- Ashley.

Sekunda ciszy, jakby to imię nic mu nie mówiło. Dopiero potem:

- Ashley, ja naprawdę jestem bardzo zajęty.

- Wiem, Jake, przepraszam, powiem krótko. Dziś w nocy Stuart omal nie umarł. Ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka, cała aparatura stanęła. Personel szpitala uważa, że to вина odwiedzających, ale nie mają racji. Stuartowi grozi niebezpieczeństwo. Krótko mówiąc, ktoś powinien pilnować Stuarta dzień i noc.

- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

- A ja właśnie próbuję zapobiec innemu morderstwu. Jake, nie jestem paranoiczką. Proszę, pomóż mi.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Rozłączył się. Ashley nie zdążyła jeszcze dojść do stolika, kiedy telefon zadzwonił. Marty prosił, żeby jeszcze raz opowiedziała o zdarzeniu w szpitalu i obiecał, że przyśle policjantów. Będą pilnować na trzy zmiany, przez całą dobę, Marty sam porozmawia o tym z Carnegiem i Natanem Fresią.

- Dla Jake'a chłopaki zrobią to za parę centów. Poza tym rekomendacje od gliniarza z wydziału zabójstw zawsze mogą im się kiedyś przydać. No wiesz, to będzie trochę kosztować.

- To najmniejszy problem, pieniądze się znajdują. Przepraszam, że zawracam wam głowę.

- Nie masz za co przepraszać. Niestety, nie można zorganizować tej ochrony drogą służbową. Personel szpitala twierdzi, że wtyczkę wyciągnął ktoś z odwiedzających. Ashley, czy naprawdę uważasz, że Stuartowi coś grozi?

- Tak. Ja to po prostu czuję.

Słyszała, jak prychnął. Bóg z nim, najważniejsze, że jej pomógł. Podziękowała jeszcze raz i rozłączyła się. Państwo Fresia może i nie są milionerami, ale do biedaków nie należą. Kiedy dotrze do nich groza sytuacji, będą wdzięczni za ochronę.

- Załatwiłam ochronę dla Stuarda - powiedziała krótko, opadając na krzesło.

Dawid spojrział na nią, jakby dokonała cudu.

- Jesteś genialna! A powiedziałaś o podejrzeniach wobec personelu?

- Oczywiście.

- Świetnie. No to co? Ruszamy w drogę? Twój wóz czy mój? Zostawiłem go w garażu przy końcu ulicy.

- Mój stoi metr stąd. Czas nagli, bierzemy mój wóz. Jedźmy.

Rona Palacio była jedną z osób, które zadzwoniły

do Departamentu Policji Miami-Dade zaraz po ukazaniu się gazety z portretem denatki.

- Kiedy zjawiła się u nas, sprawiała jak najlepsze wrażenie - opowiadała Jake'owi, nerwowo postukując ołówkiem w blat biurka. - Miła, wesoła, bardzo chętna do pracy. Agent nieruchomości musi się dobrze prezentować i wzbudzać zaufanie. Ona miała w sobie mnóstwo energii i była bardzo ładna, a to oczywiście dodatkowy plus.

Rona Palacio była niezwykle przystojną kobietą w średnim wieku. Siwe włosy ułożone w nienaganną fryzurę, świetna figura, elegancki, znakomicie skrojony kostium.

- Nigdy nie wspominała o żadnej rodzinie - ciągnęła. - Przedtem pracowała w głębi stanu. Sprawdziliśmy jej referencje, wszystko było w porządku. Mówiła, że przyjechała tutaj, bo ma przyjaciół w okolicy, a poza tym, wiadomo, niezależnie od tego, co dzieje się na świecie i tak wszyscy chcą mieszkać w Miami. W sumie była u nas nie dłużej niż trzy tygodnie. Kiedy miała finalizować pewną dużą transakcję, zadzwoniła do mnie nagle i oświadczyła, że jej świat się zmienił i ona ma zamiar podążyć w zupełnie inną stronę. Nic więcej nie udało mi się z niej wydobyć. Nigdy nie zetknęłam się z jej przyjaciółmi. W aktach mam jej ostatni adres, przygotowałam też listę nazwisk agentów, którzy z nią pracowali, może będzie pan chciał z nimi porozmawiać. To straszne, co się stało... Jeśli rodzina się nie odnajdzie, moja firma, naturalnie, zajmie się pogrzebem.

- To bardzo pięknie z pani strony, pani Palacio. Czy mógłbym obejrzeć jej stanowisko pracy?

- Naturalnie, bardzo proszę.

Wręczyła Jake'owi listę agentów razem z adresami i zaprowadziła go do biurka, przy którym kiedyś zasiadała Cassie Sewell. Jeden z agentów pomógł Jake'owi wyszukać w bazie danych posiadłości, którymi zajmowała się Cassie i sporządzić wykaz. Potem Jake rozmawiał z agentami. Firma była duża, ludzi sporo, wszyscy bardzo poruszeni tragicznym losem byłej koleżanki. Niestety, powtarzali właściwie to, co już powiedziała Rona Palacio.

Jake odbył również rozmowę telefoniczną z agentem Franklinem z FBI. Franklin też nie próżnował. Przestudiował niezliczone akta, uruchomił agentów działających w głębi stanu i zebrał sporo informacji. Porównał też zabójstwo Cassie z innymi sprawami. Komputer wykazał podobieństwa jedynie z serią morderstw w Miami-Dade, tych sprzed pięciu lat.

Przed przyjazdem do Miami Cassie pracowała w pewnej agencji handlującej nieruchomościami w hrabstwie Orange. Ludzie z tamtej firmy twierdzili, że Cassie była głęboko religijna, kiedyś nawet chciała zostać zakonnica. Podobno w Miami znalazła jakąś wspólnotę religijną, która bardzo jej odpowiadała. Sprawdzone listy wiernych kilku miejscowych parafii katolickich, nigdzie jednak nie figurowało nazwisko Sewell. Franklin zamierzał jeszcze dziś osobiście odwiedzić kilku proboszczów i pokazać im portret

Cassie, choć nie pokładał w tym wielkich nadziei. Według niego Cassie związała się z jakąś sektą.

- Aha, i jeszcze jedno. Wiesz, że Bordon dostał zwolnienie warunkowe? Wychodzi na początku przyszłego tygodnia.

- No cóż... Czułem, że do tego dojdzie. Dzięki za wiadomość.

Rozłączyli się. Jake pogadał jeszcze chwilę z agentami, a kiedy jedna z asystentek zaczęła dopisywać coś jeszcze do wykazu posiadłości, znów chwycił za komórkę. Zadzwoił do zakładu kryminalistyki, do starego przyjaciela, Skipa Conrada, i poprosił o pewną przysługę.

- Jake, dla ciebie wszystko, ale później, do wieczora jestem uziemiony. I liczę się z tym, że zrobię na twojej łodzi niezły bajzel.

- Nie szkodzi. Tylko nikomu o tym ani słowa, jasne? Aha, a gdyby mnie nie było, zapasowy klucz jest w barze Nicka Montague'a.

Ledwo się rozłączył, zadzwonił Marty.

- Jestem w mieszkaniu Cassie Sewell. Nowi lokatorzy nie mają nic przeciwko temu, żebyśmy się rozejrzeli.

- Świetnie. Już tam jadę. "

Zanim uruchomił silnik, rzucił szybko okiem na listę posiadłości, którymi zajmowała się Cassie Sewell. Wszystkie graniczyły z Everglades, wszystkie położone były blisko miejsca, gdzie prawie pięć lat temu Nancy Lassiter wpadła do kanału.

Podczas drogi Ashley niejednokrotnie zadawała sobie pytanie, czy aby na pewno jest przy zdrowych zmysłach, decydując się na przejażdżkę w towarzystwie obcego mężczyzny. Owszem, Dawid wyglądał całkowicie normalnie, więcej, jego wygląd wzbudzał zaufanie. Ot, po prostu, miły, inteligentny, dobrze zbudowany facet w dżinsach i trykotowej koszuli.

- Myślę, że najlepiej dojechać tam płątną autostradą - powiedział, ledwo ruszyli z miejsca. - Ten adres znalazłem przypadkiem. Stu zostawił u mnie kilka czasopism, w których były artykuły o Everglades. Przypomniałem sobie o nich, no i zacząłem przeglądać z nadzieją, że znajdę w nich jakąś wskazówkę. Z jednego z czasopism wypadła kartka. Na kartce było kilka nazwisk, które już przedtem podawałem policji. I był tam też ten adres, zapisany ołówkiem. Trochę zatarty, ale dałem radę odczytać. Słuchaj, może warto, żebyś zadzwoniła do ojca Stuarta i uprzedziła go o tej ochronie?

- Uprzedzą go, ktoś ma się tym zająć. Muszę zadzwonić do kogoś innego. Podaj mi komórkę.

Trzeba przecież powiadomić Karen i Jan, one nie wiedzą jeszcze, co wydarzyło się tej nocy. Ashley wybrała numer szkoły, w której pracowała Karen. Okazało się, że panna Ericson zachorowała i nie przyszła do pracy. Dziwne, wczoraj Karen wyglądała zupełnie zdrowo. No cóż, wypadki chodzą po ludziach. Ashley zadzwoniła więc do Jan, niestety Jan również nie odpowiadała.

- Teraz trzeba chyba zjechać z autostrady - odezwał się Dawid.

- Dobrze, zjeżdżamy. Byłeś tu kiedyś?
- Znam trochę okolicę.
- Ale czy znasz to konkretne miejsce, do którego jedziemy?

- Nie - mruknął Dawid, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Jedno z kolan stuknęło w schowek, schowek się otworzył, ukazując całą zawartość, między innymi pistolet i odznakę Ashley.

Dawid rozpromienił się.

- Lepiej być nie może! Ashley, jesteś uzbrojona po zęby!

- Zamknij schowek.

- Mam nadzieję, że umiesz obchodzić się z tą zabawką.

- Całkiem nieźle. A ty potrafisz strzelać?

- Owszem. Przeszedłem szkolenie dla oficerów rezerwy. Skręcaj, teraz pojedziemy na zachód, a potem skręcimy na południe.

Zrobiła, jak kazał. W rezultacie zatrzymali się nad brzegiem kanału.

- Pilot z ciebie znakomity - mruknęła zjadliwie Ashley.

- A niech to wszyscy diabli.... - denerwował się Dawid. - Tu wszędzie są mokradła i kanały. Może jedźmy teraz w lewo.

Po kilku niepowodzeniach znaleźli w końcu drogę, która, jak sądził Dawid, miała doprowadzić ich do celu. Dawid wpatrywał się uważnie w numery mijających zabudowań, w końcu kazał się Ashley zatrzymać.

- To jakaś bardzo duża farma - powiedziała Ashley, spoglądając na rozległe pola. - O, tam daleko stoi dom. Obok jakiś drugi budynek, coś jakby silos.

- Silos? Niemożliwe. Oni tutaj hodują truskawki.

- To co to może być?

- Może wieża, z której farmer obserwuje dojrzewanie truskawek. No dobra, nie mam pojęcia. Wysiadamy. Trzeba się temu wszystkiemu przyjrzeć z bliska.

- Prawo nie zezwala na spacery po cudzej ziemi.

- Trudno. Jestem dziennikarzem, często bywam na bakier z prawem, a ty już nie jesteś kadetem. Zobacz, tam bliżej domu jest chyba ogród warzywny. Duży, widocznie potrzeba im mnóstwo żarcia.

- Małe uprawy nie są opłacalne - oświadczyła Ashley chłodno.

- Niech będzie... Popatrz, pola truskawek, ogród, a tam, za polami nagle drzewa i zarośla, wyjątkowo gęste.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Prawdopodobnie to już nie jest ich ziemia.

- No tak... A więc farma... W każdym razie na to wygląda. Trzeba się rozejrzeć.

Dawid zdecydowanym ruchem otworzył drzwi samochodu i wystawił nogi. Ashley zakłęta, wyciągnęła ze schowka broń i włożyła do dużej skórzanej torby na długim pasku. Może i Dawid jest postrzelony, ale ma rację. Trzeba się tu trochę rozejrzeć.

Dawid odszedł już spory kawałek. Maszerował wzdłuż granicy posiadłości, widoczny jak na dłoni, przynajmniej z okien pobliskiego domu.

- Dokąd tak pędzisz? - spytała, dobiegając do niego.

- Do tamtej kępy drzew.

- Dawid, przecież każdy może nas zobaczyć.

- Zaraz się schowam. Jeśli się boisz, wracaj do samochodu.

- Samochód też stoi na widoku.

- Faktycznie. Leć do samochodu i przestaw go szybko za tamte drzewa.

Zakłęta, prawie biegiem wróciła do samochodu, szybko uruchomiła silnik. Znow zakłęta. Przecież komuś, kto ją teraz obserwował, jej zachowanie musiało się wydać mocno podejrzanym.

Podjechała kawałek i zatrzymała samochód w cieniu rozłożystego drzewa. Wysiadła, zarzucając torbę z bronią na ramię,

- Dawid!

Żadnej odpowiedzi. Zaciśnęła więc zęby i szybkim krokiem ruszyła przed siebie, wzdłuż płotu z drutu kolczastego, niewątpliwie wytyczającego wschodnią granicę posiadłości. Po obu stronach płotu rosły drzewa, krzewy, ziemia zasłana była grubą warstwą liści. W pewnym momencie płot skręcał w prawo. Starannie wytyczone pola raptem znikły, za płotem ukazała się zwarta masa drzew i zarośli. Prawdziwa dżungla, pomyślała i rozejrzała się uważnie. Dawid jakby zapadł się pod ziemię.

Cóż robić? Wiadomo, ruszać w drogę powrotną. Poszła trochę na skróty, pewna, że idzie w dobrym kierunku. Chwilę później, nie wiadomo właściwie

jakim cudem, znalazła się na polu pomidorów. Nad rządkiem krzaczków pochylał się jakiś młody mężczyzna. Ubrany w dżinsy i płócienną koszulę. Szyję miał owiniętą bandaną, na głowie czapkę z daszkiem.

Nim zdążyła wycofać się między drzewa, już ją zauważył. Wyprostował się, zdjął czapkę z ostrzyżonej na króciutko jasnej głowy i otarł pot z czoła.

- Witaj! Skąd się tu wzięłaś?
- Ja... Przepraszam, po prostu zabłądziłam.
- Zgubiłaś się na polu pomidorów?

Niestety, ruszył się z miejsca. Zbliżał się niespiesznie, w jego zachowaniu zasadniczo trudno było się doszukać czegoś groźnego. Uśmiechał się cały czas, w rękę niósł kosz pełen pięknych, czerwonych pomidorów. Mimo to Ashley czuła wielkie zadowolenie, że w jej skórzanej torbie spoczywa pistolet.

- Chcesz skorzystać z telefonu?
- Dziękuję, mam komórkę.
- W takim razie może wejdiesz i napijesz się czegoś zimnego. To słońce jest bardzo zdradliwe.

Naturalnie, w tym momencie jej największym marzeniem był błyskawiczny odwrót. Czuła się po prostu głupio. Z drugiej strony jednak nierozsądnie byłoby zaprzepaścić taką okazję. Jeśli pogada chwilę z tym młodym człowiekiem, będzie mogła rozejrzeć się po domu.

- Nie chciałam ci kłopotu - powiedziała z miłym uśmiechem. - Wiesz, przymierzam się do kupna ziemi w tej okolicy. Zobaczyłam płot, pomys-

lałam, że warto z kimś porozmawiać, popytać, jak tu się mieszka. No i spotkałam ciebie.

- Kaleb Harrison - przedstawił się uprzejmie młody człowiek i wyciągnął do niej rękę. - Miło mi cię widzieć, tym bardziej że nieczęsto ktoś tu zagląda. Wiedziemy proste, zwyczajne życie, taki powrót do natury. Pracujemy ciężko, ale mamy też czas na tak zwane zbijanie bąków.

- A ja jestem Monika Shipping. Ależ to słońce pali. Będę wdzięczna za łyżeczek zimnej wody.

- W takim razie zapraszam.

Poprowadził ją w kierunku domu, pokazując po drodze dorodne krzaki pomidorów, a nieco dalej łąny truskawek.

- Koło domu mamy ogród warzywny. A nasi sąsiedzi zasadzili drzewka cytrusowe. Niezbyt odpowiednia ziemia dla cytrusów, ale sąsiedzi są pełni determinacji. No cóż, my jesteśmy mniej oryginalni - wyjaśniał ze śmiechem. - O, tu rośnie marchewka, a tam kapusta. Jesteśmy wegetarianami.

- Dużo was tu mieszka?

- Teraz osiem osób.

- Rzeczywiście, masz liczną rodzinę.

- To nie rodzina. Raczej grupa przyjaciół.

- Wspólnota religijna?

- Gdzie tam! Raczej coś w rodzaju komuny. Lubimy się nawzajem i każdy z nas marzył, żeby zamieszkać z dala od zgiełku miasta. Tak to wygląda.

- Brzmi całkiem, całkiem...

- Jesteś zainteresowana?

- Kto wie... Chociaż muszę przyznać, że nigdy o czymś takim nie myślałam.

- Proszę, wejdz. Przekonasz się sama, jak to u nas jest.

Na mały ganek prowadził tylko jeden schodek. Pierwsze, przeszklone drzwi, zamknięte, za nimi drzwi drewniane, szeroko otwarte. Weszli do środka i Ashley aż westchnęła. Miała wrażenie, jakby odbyła błyskawiczną podróż w czasie i raptem znalazła się w domu farmerskim w Nowej Anglii. Przede wszystkim kominek, przed kominkiem pleciony dywanik i wygodne, nieco już sfatygowane sofy, po domowemu zarzucone kolorowymi poduszkami. Dwa fotele bujane, koszyk z czyjąś robótką na drutach i sterta czasopism. Tytuły jak najbardziej adekwatne, o stolarce i ogrodnictwie.

Kaleb wprowadził ją do kuchni i otworzył lodówkę.

- Woda i mnóstwo soków - zakomunikował.

- Z chęcią napiłabym się wody.

Nalał wodę do szklanki i wskazał Ashley krzesło przy kuchennym stole. Kuchnia była też urokliwa. Pod sufitem na hakach wisiały garnki i najrozmaitsze kuchenne akcesoria. Parapety zastawione słoikami z konfiturami. Na krzesłach poduszki w żywym, niebieskim kolorze.

- Bardzo tu ładnie.

- Dziękuję. Ja jestem tu od pomidorów, spędzam przy nich prawie całe dnie. A ty czym się zajmujesz?

- Sztuką. Rysuję.

- Robisz rysunki dla turystów? Musisz być w tym dobra, skoro stać cię na kupno ziemi.

- Powodzi mi się nieźle. Znasz turystów, trzeba ich umiejętnie podejść.

- Gdybyś kiedyś zapragnęła narysować pomidory, zgłoś się do mnie.

- Dzięki, ale teraz muszę już iść.

- Odprowadzę cię do samochodu.

- Dziękuję, nie trzeba, i tak zajęłam ci sporo czasu, a ty masz przecież robotę.

- Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś tu zajrzysz. Może w sobotę? W soboty Maggie pogra nam na gitarze, muzykę folk. Naprawdę świetne kawałki.

- Dzięki za zaproszenie. Przyjadę, jeśli tylko będę mogła.

Wyszli przed dom. Kaleb wrócił do swoich pomidorów, Ashley poszła ku drodze. Czuła na sobie jego wzrok, nie odwróciła się jednak, zastanawiając się nad pewnym faktem. Na tej farmie mieszka ponoć osiem osób, a ona widziała tylko jedną.

Wróciła do samochodu. Po Dawidzie nadal ani śladu. Klnąc pod nosem, usadowiła się za kierownicą.

- Dawid, idioto, gdzie ty się podziewasz?!

W tej samej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ukazał się Dawid, a właściwie wynurzył się zza kępy drzew jakieś dwadzieścia metrów dalej. Począł, aż Ashley podjedzie do niego, otworzył drzwi i z widoczną ulgą opadł na fotel.

- No, chwała Bogu, że jesteś. Miałem już dzwonić po wsparcie.

- Wsparcie?

- Tak, wsparcie. Ja, laik, naturalnie powiedziałbym,

że po policję. Ale ponieważ jesteś byłą policjantką, użyłem fachowego określenia.

- Zostawiłeś mnie samą, łąziłam jak głupia po tych polach...

- Widziałem cię, rozmawiałaś z jakimś facetem.

- Wpadłam na niego na polu pomidorów. I mimo że weszłam na jego ziemię, był bardzo miły. Zaprosił mnie nawet do domu. Bardzo ładny dom, czyściutki, urządzone jak sto lat temu. Podobno mieszka tam jeszcze siedem osób, ale nikogo więcej nie widziałam. Może reszta w dzień gdzieś pracuje, tylko wieczorami bawią się w hipisów. To jest coś w rodzaju komuny, uwielbiają życie na wsi. W każdym razie ten gość był bardzo sympatyczny, nie zauważyłam też, żeby między pomidorami rosła marihuana.

- Trzeba się koniecznie dowiedzieć, kto jest właścicielem tej farmy.

- Ten, z którym rozmawiałam, nazywa się Kaleb Harrison.

- Kaleb... Jak z Biblii.

- Powiedział mi, że absolutnie nie mają nic wspólnego z religią. A ja znam wielu facetów o imieniu Jezus, to imię bardzo popularne wśród Latynosów, ale żaden z tych facetów nie jest fanatykiem religijnym.

- Myślę, że warto tu jeszcze powęszyć.

- Innym razem, szanowny panie - oświadczyła stanowczym głosem Ashley, przekręcając klucz w stacyjce.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W trzypokojowym apartamencie po poprzedniej lokatorce nie było nawet śladu. Zanim wprowadzili się nowi mieszkańcy, apartament gruntownie odnowiono, odmalowano ściany i położono nowe wykładziny. Jednak eksperci kryminalistyczni i tak mieli sprawdzić, czy zbrodni nie dokonano w tym właśnie mieszkaniu. Dla Jake'a była to czysta formalność. Był pewien, że niczego tu nie znajdą.

W mieszkaniu pozostali tylko technicy, Jake i Martin wyszli przed dom i przystanęli na chwilę w promieniach gorącego słońca.

- Chcesz, żebym odwalił papierkową robotę?
- spytał Martin.

- Tak. Sprawdź, komu wypisała ostatni czek i gdzie po raz ostatni płaciła kartą kredytową. Miała samochód, bmw, który podobno zniknął. Dowiedz się, co z tym wozem.

- A ty co zamierzasz robić?
- Objadę posiadłości, którymi zajmowała się Cassie.

Jake, zanim wyruszył w drogę, postanowił zajrzeć jeszcze na „Gwendolyn”. Wchodził na pokład zirytowany, instynktownie wypatrując śladów czyjejś obecności. W zlewie brudna filiżanka, pościel na łóżku skopana, spod poduszki figlarnie wygląda kawałek czerwonej koronki. Usłużny Sandy odniósł Ashley torebkę, jednak przesyłanie przez starszego pana tak intymnej części garderoby nie byłoby zbyt taktowne. Dlatego Jake wsunął te koronki po prostu pod poduszkę.

Ashley to świetna dziewczyna. Były takie momenty, kiedy zdawało mu się, że ziemia nagle zderzyła się ze słońcem. Odleciał, całkowicie. Gdyby ktoś chciał go wtedy wykończyć, zrobiłby to bez problemu. Zero czujności. A tak w ogóle, już za nią tęsknił. Dziwne, bo na ogół kiedy rano znajdował obok siebie kobietę, łóżko nagle wydawało się za ciasne, a nie cholernie puste, jak w tej chwili.

Zadzwoił do Carnegiego, który zapewnił, że nie ma nic przeciwko ochronie. Bardzo proszę, jeśli rodzina sobie tego życzy.

- Jest coś nowego? - spytał Jake.
- Nic. I właściwie wszyscy sądzą, że sprawa jest jasna. Facet się naćpał. Tylko rodzice chłopaka twierdzą co innego, no i ten dziennikarzyna z tabloidu.
- Dzięki. Posłuchaj, Carnegie, mam dziś kupę roboty, ale gdybyś się zgodził, pogadałbym chwilkę z rodzicami Stuarta.
- Jasne, Jake.

Jake rozłączył się, nagle zirytowany. Po co się rozprasza, przecież powinien skupić się wyłącznie na swoim śledztwie. Rudzielec dopiął swego... Czuł, jak zaczynają mu pulsować skronie. Poszperał chwilę w apteczce, znalazł proszek, połknął i zasiadł przed komputerem.

Intruz, który zakradł się na „Gwendolyn”, zamierzał sobie coś przywłaszczyć. To jasne. Informację.

Tylko, do cholery, czego ten drań szukał?

Patrzył w ekran. Słowa, cyfry zaczynały zlewać się przed jego oczami. Dym i lustra... Ciała. Dokładne opisy okaleczeń i stopnia rozkładu. Wszystkie denatki miały obcięte uszy.

Kult religijny?

Kiedys Siuksowie obcięli uszy generałowi Custerowi, bo nie chciał ich słuchać.

Z tymi kobietami mogło być odwrotnie. Usłyszały coś, co do nich nie powinno dotrzeć.

Ofiary sprzed pięciu lat, trzy kobiety, należały do sekty. Dlaczego je zamordowano? Naraziły się przywódcy? Podniosły bunt, nie chciały spełniać jego rozkazów?

Czyich rozkazów?

Dym i lustra odwracające uwagę widzów...

A może ten kult, ta sekta - to tylko dym?

- Sharon, jesteś tutaj? - wołał Nick, rozglądając się po barze. Samochód Sharon stał na parkingu, ale po samej Sharon ani śladu. W barze prawie pusto, tylko kilka osób, których obsługiwała Katie.

Sharon... Hm... Ostatnio zachowywała się dziwnie, nawet bardzo dziwnie. Niby było tak jak zawsze. Przyjeżdżała tu często, często też musiała dokądś pędzić. Taka była jej praca, zresztą ona zawsze mówiła dokładnie, dokąd się wybiera. I to się nie zmieniło, ale zachowanie Sharon - na pewno. Zawsze była wobec Nicka bardzo serdeczna i otwarta, teraz po każdym wybuchu niepoohamowanej czułości Sharon dziwnie zamykała się w sobie i chodziła zamyślona.

Nick zdawał sobie sprawę, że ma bzika na punkcie swojej restauracji i za dużo pracuje. Od kilku miesięcy interes szedł po prostu świetnie. Może nadeszła więc pora, żeby Nick się opamiętał i zaczął poświęcać więcej czasu bliskim. Ashley i Sharon. Ślicznej, uroczej Sharon. Problem w tym, że w zasadzie nie marzył o stałym związku.

Przeżył w życiu tylko jeden wielki wstrząs. Śmierć brata, który zginął w wypadku razem z żoną. Ashley była wtedy u swej opiekunki, sąsiadki. Nick pojechał tam odebrać małą i jednocześnie wytłumaczyć jej, że rodzice już po nią nic przyjdą. Do dziś pamiętał, jak walcząc ze swoją rozpaczą, tulił do siebie małą, zapłakaną dziewczynkę.

Wierzył całym sercem, że pod jego dachem wyrosła inteligentna, rozsądna kobieta, która da sobie radę w życiu. Szanował jej dorosłość, dlatego Ashley mieszkała w osobnym skrzydle. Jednak... po cholereę zadała się z Jakiem Diłessiem! Nick lubił Jake'a, owszem, dopóki Jake trzymał się z dala od jego bratanicy. Po tej historii z Nancy Jake zaliczył wiele

kobiet. Poza tym Ashley powinna zrozumieć, że Jake jest już żonaty. Żonaty ze swoją pracą.

Wszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej, powędrował do sypialni. Wracając przez salon, krzyknął:

- Sharon!

- Już idę! Idę! - dobiegło ciche wołanie zza drzwi. Drzwi otwarły się, do salonu wkroczyła Sharon. Nick, zamiast powitać ją uśmiechem, zasepił się. Te drzwi wiodły do pokoju Ashley. Ashley nie zamykała ich na klucz, wuj jednak nigdy podczas jej nieobecności nie wchodził tam bez ważnego powodu. A Sharon, jak dotychczas, do pokoju Ashley w ogóle nie zaglądała.

- Robiłam pranie, do naszych rzeczy zaplątało się trochę rzeczy Ashley - wyjaśniła. - Zniosłam do jej pokoju. Coś się stało, Nick?

- Stało? Nie, wszystko w porządku. Mam pomysł. W barze jest mało ludzi, Katie poradzi sobie sama. Co byś powiedziała na wspólny wypad? Tylko we dwoje, ty i ja. Pojedziemy do Keys albo do Fortu Lauderdale i zjemy coś w takim miejscu, gdzie stoliki przykryte są lnianymi obrusami i serwują wyśmienite wina.

- Najlepszego wina można napić się u Nicka Montague'a.

- Przede wszystkim dobrego piwka! A ja chcę ci zaproponować coś bardziej eleganckiego.

- Zgoda, jest tylko jeden mały problem. Umówiłam się na ósmą z klientami, ale spróbuję to przełożyć.

Jesse Crane był kiedyś w policji Miami-Dade.

Pozostał policjantem, ale po śmierci żony postanowił wrócić do korzeni.

Większość ziemi po obu stronach Tamiami Trail⁷ należała do Indian Miccosukee⁸, ich tereny sięgały daleko poza granice hrabstwa Miami-Dade. Indianie Miccosukee mieli własną policję, Czasami, kiedy prawa plemienne kolidowały z prawem stanowym czy federalnym, dochodziło do konfliktów. Jesse był mistrzem negocjacji, potrafił znaleźć rozwiązanie najlepsze dla obu stron. Miał też nosa, wiedział, kiedy pertraktować samemu, a kiedy lepiej poprosić o pomoc policję hrabstwa.

Wysoki, postawny, emanował siłą. I wiedział wszystko. Znał każde niebezpieczne stworzenie żyjące na terenie Everglades, potrafił wyczarować zabójczą miksturę, która rzeczywiście odstraszała komary, a po wszystkich kanałach i drogach wodnych Everglades poruszał się szybciej i zręczniejszym niż wydra. Poza tym był mężczyzną bardzo przystojnym. Miał proste, czarne jak smoła włosy i orzechowe oczy.

Płaskodenna łódź parła do przodu, wydawało się, że sunie po lądzie.

Jesse wyłączył silnik. Łódź zaczęła dryfować w kompletnej ciszy.

- Tam jest posiadłość, o którą pytałeś, Jake - po-

⁷ Droga łącząca miasta Tampa i Miami, przebiegająca przez teren Parku Narodowego Everglades.

^k Olbrzymie centrum gier hazardowych wraz z hotelem i restauracjami, należące do plemienia Indian Miccosukee.

wiedział Jesse, wskazując na majaczące w oddali zabudowania.

- Tak, widzę... Czyli do posiadłości można podpłynąć łodzią na odległość czterdziestu metrów.

- Tak, ale musi być to łódź o małym zanurzeniu. Tak zresztą przewożą tu mnóstwo nielegalnego towaru. Jeśli znasz dobrze teren, możesz płynąć kilometrami i nie spotkasz żywej duszy. A czego ty tak naprawdę szukasz? Czytałem, że znaleźliście jakieś ciało. Znowu chodzi o sektę?

- Powiedzmy... Czy tu mieszka dużo ludzi?

- Sporo, choć wiadomo, to zachodni kraniec półwyspu, same mokradła. Tutaj trudno coś uprawiać, także z powodu huraganów. Padają wtedy ulewne deszcze, przez całe tygodnie, a nawet miesiące brodzisz po kolana w mule. Ale ludzie kupują tu ziemię, trzymają kilka koni, krów, świń i kury. Ziemia w niektórych rejonach jest bardzo żyzna. Moi przodkowie hodowali dynie, dziś hoduje się głównie truskawki, niektórzy sadzą drzewka cytrusowe. Tutaj grunty są dość tanie. Wzdłuż traktu znajdziesz wiele rezydencji z basenem i kortami tenisowymi.

Jake w milczeniu badał wzrokiem teren. Domy zdawały się stać tuż nad linią wody, prawdopodobnie jednak granice posiadłości sięgały o wiele dalej, po prostu były pod wodą. Woda daje poczucie odgródzenia się od świata, a jednocześnie drogą wodną można w każdej chwili wrócić do cywilizacji.

- Dwie rzeczy dzieją się tu nagminnie - ciągnął Jesse. - Przemyt narkotyków i morderstwa. Czasami

idą w parze... Powiedz, Jake, te kobiety, które wtedy tutaj zamordowano... one miały obcięte uszy, tak? I należały do sekty?

- Aha...

- Obcięte uszy mogą oznaczać, że ofiary nie słuchały swego mistrza. Albo słyszały za dużo. Rozumiesz, coś jak oko za oko. A może ktoś chciał tylko skierować policję na fałszywy trop.

- Wiesz, sam się nad tym właśnie zastanawiałem.

- Jak doszedłeś do tego wniosku?

- Po wizycie u Bordona.

- Powiedział ci coś?

- Tak. Dym i lustro, iluzja... Widzisz drzewa, a nie dostrzegasz lasu.

- No cóż, obyś dostrzegł ten las jak najszybciej, bo słyszałem, że Bordon wkrótce wychodzi na wolność.

Ashley podwiozła Dawida do garażu, w którym zostawił swój wóz. Dawid zamierzał natychmiast pojechać do magistratu i uzyskać informacje o posiadłości.

- Jak się czegoś dowiesz, dzwoń do mnie na komórkę - poprosiła. - Teraz jadę do szpitala. Natan może i nie będzie zachwycony, ale ludzie przydzieleni do ochrony na pewno są już na miejscu. Zresztą, nie muszę wchodzić do Stuarta, dowiem się tylko, co nowego. I chcę zawieźć Lucy kwiaty.

Na szczęście sklep z upominkami i kwiatami, usytuowany w hołu szpitala, był otwarty. Ashley kupiła kwiaty i dowiedziała się w recepcji, w którym

pokoju leży Lucy Fresia. Wchodziła tam z duszą na ramieniu, okazało się, że niepotrzebnie. Pani Fresia powitała ją bardzo serdecznie.

- Lucy, to na pewno nie my - oświadczyła zaraz na wstępie Ashley. - Żadna z nas nie wyciągnęła wtyczki z gniazdka.

- Kochanie, powiem ci jedno. Mój Natan wierzy w przypadki, a ja nie. Stuart wcale nie znalazł się na tej drodze przypadkiem, tak samo nikt mi nie wmówi, że któraś z was przypadkiem zahaczyła obcasem o sjsnur. Dziękuję, że zorganizowałaś tę ochronę. Naturalnie, my za to zapłacimy, to chyba oczywiste.

- Lucy, teraz nie ma sensu o tym mówić. Módlmy się, żeby Stuart jak najszybciej odzyskał przytomność. Wtedy wszystko się wyjaśni.

- Tak, kochanie, tak - przyznała z głębokim westchnieniem Lucy. - Lekarz każe mi leżeć do jutra rana, do tego czasu nie zobaczę Stuarta. Ale ty idź do niego, idź, jeśli, oczywiście, masz jeszcze czas. Powiedz Natanowi, żeby mnie odwiedził.

Przed drzwiami pokoju, w którym leżał Stuart, czekała na Ashley niespodzianka.

- Len?! Ty?

Len uśmiechnął się, wstał z krzesła i cmoknął Ashley w policzek.

- Słyszałem, jak Marty rozpuszcza wici, a. że skończyłem na dzisiaj służbę, więc się zgłosiłem. Ashley... - Len zniżył głos - słyszałem też, że zamierzasz zapłacić za ochronę. Jeśli chodzi o mnie, posiedzę tu parę godzin, powiedzmy, dla wyższych celów.

- Jesteś kochany, Len. Me...

Nie dokończyła, w drzwiach ukazał się bowiem Natan. Włosy w nieładzie, ubranie pomięte, na wymęczonej, poszarzałej twarzy ani cienia uśmiechu.

- Natan, co ze Stuartem? - spytała Ashley nieśmiało, niepewna jego reakcji.

- Nie lepiej, ale i nie gorzej. Ashley, byłem dla ciebie niemiły. Nie gniewaj się, ale lekarze uważają, że ktoś z odwiedzających zahaczył nogą o sznur i wyłączył aparaturę. Na szczęście organizm Stuarta się nie poddał, nic przestał walczyć.

- I to jest dobry znak! Byłam właśnie u twojej żony, prosi, żebyś koniecznie do niej przyszedł. Tymczasem... Pozwolisz mi wejść do Stuarta?

- Naturalnie, dziecko. Ja pójdę na chwilę do Lucy.

Ashley ze ściśniętym sercem odprowadziła wzrokiem chudą, przygarbioną postać.

- Wchodzę do Stuarta, Len.

- Wchodź. Ja tu siedzę, nie ruszam się na krok.

Ashley nastawiła komórkę na wibracje, żeby nie zakłócać ciszy w pokoju chorego, i weszła do środka. Usiadła przy łóżku, przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w szum maszyn. Potem, jak to miała już we zwyczaju, wzięła Stuarta za rękę i opowiedziała mu wszystko, co działo się tego dnia, również o swojej sprawie z Dawidem Whartonem.

Drzwi zostawiła otwarte. Widziała wysoką postać Lena. Stał, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Obserwował pokój, obserwował ją, siedzącą przy Stuarcie. No, cóż na tym polega jego zadanie...

Len przechwycił wzrok Ashley, uśmiechnął się. Potem bardzo groźnie zmarszczył brwi, łypnął w lewo, łypnął w prawo. Len Green zawsze czujny. Ashley uśmiechnęła się i podniosła kciuk do góry. OK, Len!

Natan nie wracał dość długo. Powód zwłoki był oczywisty, ponieważ pan Fresia ukazał się odświeżony i przebrany. Zatrzymał się przed drzwiami i kiwnął na Ashley, żeby podeszła.

- Przepraszam, nie było mnie długo, ale żona nalegała, żebym wpadł do domu. Twierdziła, że na pewno nie będziesz miała nic przeciwko temu.

- Natan, jeśli zajdzie potrzeba, mogę tu siedzieć całą noc.

- Dziękuję, kochanie - powiedział wzruszony, całując ją w czoło. - I jeszcze raz przepraszam, że byłem dla ciebie szorstki. A teraz zmykaj już do domu.

Skinął głową Lenowi i wszedł do syna, zamykając za sobą cicho drzwi.

- Myślisz, że twój przyjaciel wyjdzie z tego?
- spytał półgłosem Len.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości!

- Jasne. Trzeba mieć nadzieję. Aha, Ash, przy okazji gratulacje. Słyszałem o twoim pierwszym sukcesie, chodzi o ten portret w gazecie. Mamy jeszcze jeden powód do jutrzejszego oblewania.

- Jutro? Zupełnie zapomniałam. Len, ty wczoraj odwoziłeś Karen, prawda? Czy z nią wszystko było w porządku?

Może się myliła, ale wzrok Lena wydał jej się nagle bardzo czujny.

- O co chodzi?

- Karen dzwoniła dziś rano do szkoły, powiedziała, że jest chora i nie przyjdzie.

- Może nagle ogarnęło ją lenistwo.

Len uśmiechnął się, ten uśmiech wydał się jednak Ashley nieco wymuszony. Instynkt podpowiadał jej, że wczorajszy wieczór była dla Lena i Karen wyjątkowo długi i męczący.

- No, może i tak. Każdy musi czasami poleniuchować. Długo tu będziesz? Jutro od rana na pewno masz służbę.

- Bez obaw, niedługo mnie zmienią.

- Świetnie. A więc do jutra, Len. I dzięki za wszystko.

Cmoknęła go w policzek, po kilku minutach maszerowała już przez garaż, wyciągając po drodze komórkę. Wiadomość była jedna, od Dawida Whartona, pozostawiona jakieś pięć minut temu.

- Ashley, do diabła, czemu nie odbierasz?! Udało mi się sprawdzić, właścicielem tamtej posiadłości jest Kaleb Harrison. Ale nie uwierzysz, kto mu tę posiadłość sprzedał. Nie uwierzysz! Posłuchaj...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ashley, usłyszawszy nazwisko, osłupiała. Stała nieruchomo, wpatrzona w komórkę, usiłując w jakiś sposób pogodzić się z nieoczekiwaną informacją.

Do diabła, co znowu? Czyjeś kroki, odbijające się szerokim echem w betonowym wnętrzu. Ten ktoś idzie za nią, na pewno. Czuła, że na ramionach ma gęsią skórkę, serce bilo szybko, jak na alarm.

Odwróciła się powolutku. Garaż zastawiony samochodami, każdy samochód rzuca cień. Wielkie, złowrogie plamy ciemności... Coś trzasnęło, z drugiej strony. Odwróciła się, tym razem bardzo szybko. Jakaś pielęgniarzka właśnie wysiadła z samochodu. Uśmiechnęła się do Ashley. I poszła sobie.

Ależ jestem głupia, pomyślała Ashley, i ruszyła w stronę swego samochodu. A niech to... Znowu słyszy kroki, nie tylko swoje. Jej są głośne, odbijają się echem, a tamte jakby skradające się...

Jeden błyskawiczny ruch do torby. Pistolet już w ręku. Obrót. Celuj.

I opuść broń, natychmiast.

- Len! Ale mnie przestraszyłeś!

- Ja ciebie? Przecież to ty do mnie mierzysz! Ashley, czy ty przypadkiem nie powinnaś zwrócić tej broni? Jesteś teraz pracownikiem cywilnym.

- Tak, wiem. Dlaczego nie pilnujesz Stuarta?

- Moja zmienniczka przyszła trochę wcześniej. Miałem nadzieję, że cię dogonię. Nie mam czym wracać, podrzucili mnie tu wozem patrolowym. Ashley, masz zupełnie zszargane nerwy.

- Intuicja mi podpowiada, że za tym wypadkiem Stuarta kryje się coś niedobrego. Ktoś bardzo nie chce, żebym doszła, o co w tym chodzi.

- A mnie się wydaje, że przede wszystkim powinnaś schować broń. Jedziesz do domu?

- Tak, chętnie cię zabiorę.

- Pojadę z tobą. Wpadnę do baru, należy mi się chwila oddechu.

W barze za kontuarem królowała Katie, która poinformowała Ashley, że Nick i Sharon dokądś pojechali. Ashley podała piwo Lenowi, usadowionemu już między Sandym a Curtisem, a potem poszła do swego pokoju.

Na środku salonu nagle znieruchomiła.

Sharon.

To Sharon Dupre sprzedała posiadłość jej obecnemu właścicielowi. Sharon powinna jak najszybciej odpowiedzieć na kilka pytań, niestety, właśnie teraz

zdecydowała się spędzić romantyczny wieczór z Nickiem. A niech to...

Wolnym krokiem weszła do pokoju. Zamknęła drzwi i znów znieruchomiała. Co jest... Poduszka na łóżku leży inaczej, szuflada w komodzie niedomknięta...

Tylko spokojnie... Przysiadła na krześle, wyciągnęła komórkę i wystukała numer Dawida Whartona. Niestety, Dawid się nie odzywał. Ashley, zła, rozłączyła się, nie zostawiając żadnej wiadomości. Wybrała następny numer, do Karen. Znów włączyła się tylko poczta głosowa. Ashley rozłączyła się, prawie w tym samym momencie zadzwoniła Jan.

- Jan! Dobrze, że dzwonisz. Posłuchaj...

Ashley opowiedziała o nieszczęsnej wtyczce i o tym, że teraz policjanci pilnują Stuarta. Jan, przerażona tym, co się stało, nic kryła oburzenia.

- Chwała Bogu! Niech pilnują! Powinni go pilnować od pierwszego dnia. Wypadki zdarzają się bez przerwy, aleja nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby facet w samych bokserkach spacerował sobie po drodze międzystanowej. Teraz mają dowód.

- Niestety, Jan, personel szpitala jest przekonany, że to my jesteśmy winne. A policja... Najważniejsze, że Stuart ma teraz ochronę.

- ' Tak, to najważniejsze. Karen będzie wściekła, jak się o wszystkim dowie. Dzwoniłam do niej, ale ona się nie odzywa. Podobno jest chora, nie rozumiem więc, dlaczego nie siedzi w domu? - Jan zachichotała. - Ashley? A może ona dorwała się w końcu do tego gliniarza, tego twojego znajomego?

- Raczej nie... To znaczy, dziś na pewno nie. Ten gliniarz od rana był na służbie, potem przez kilka godzin pilnował Stuarta, teraz pije piwo w barze Nicka. Ja też nagrałam się Karen jakiś czas temu, a ona się nie odzywa. Nie podoba mi się to. Chyba do niej wpadnę.

- Dobry pomysł. Pojechałabym z tobą, niestety, dziś wieczorem pracuję. Ashley, myślisz, że coś jej się stało?

- Nie, ale uważam, że dla świętego spokoju trzeba sprawdzić. W razie czego mam klucz od jej domu i znam kod alarmu.

- Niedobrze, że jedziesz sama.

- Nie panikuj, Jan. Na pewno nic się nie dzieje, a poza tym nie zapominaj, że przeszłam szkolenie w Akademii.

- Niby tak...

- Odezwę się do ciebie.

Ashley rozłączyła się, jej wzrok przemknął po pokoju. Nie, na pewno niczego nie brakuje, ale ktoś grzebał w jej rzeczach.

Obsesja, normalna obsesja. Spokojnie, dziewczyno. Ty nigdy tych drzwi nie zamykasz na klucz. Może zaglądał tu Nick albo Sharon...

Sharon. To ona zajmowała się sprzedażą posiadłości, której adres Stuart zanotował na kartce. Stuart, który leży teraz w szpitalu i walczy o życie.

A Karen... znikła.

Ashley chwyciła za torbę i wypadła z pokoju.

Do domu Jesse'ego, ukrytego wśród drzew, dojeżdżało się prywatną, nie oznakowaną drogą. Jesse

najpierw nakarmił gościa, potem obaj zasiedli nad mapą południowych rejonów stanu.

- Jake? Czyli po tej wizycie u Bordona doszedłeś do wniosku, że cała ta sekta była tylko parawanem, zasłoną dymną?

- Zastanawiam się nad tym. I zaczynam wątpić, czy to Bordon zlecał te morderstwa, chociaż na pewno w jakiś sposób był w nie zamieszany. Nasza ostatnia denatka pracowała w nieruchomościach. Posiadłości, którymi się zajmowała, znajdują się na odludziu. Wszystkie ciągną się wzdłuż drogi wodnej, którą można przepłynąć przez całe Everglades. Nie sądzę, żeby to był przypadek. Dobrze wiemy, że Everglades to świetny azyl dla przemytników, morderców, złodziei i innych mętów, nie ma przecież sposobu, żeby ten teren systematycznie patrolować. Jednym słowem, coraz bardziej jestem pewien, że sekta to parawan, a tak naprawdę chodziło o coś innego.

- Narkotyki?

- Chyba tak. Heroina albo kokaina. Małe paczuszki przewieziesz byle łódką, a sam wiesz, ile taka jedna paczuszka jest warta.

- Będziemy mieć to na oku, Jake. I gdyby co, zawsze możesz na nas liczyć.

- Dzięki.

Jake, kiedy usiadł już za kierownicą swego wozu, przede wszystkim sprawdził komórkę. Cisza. No, tak... Na tych cholernych mokradłach nie ma przecież zasięgu. Ciekawe, kiedy komórka ożyje...

Dobre pół godziny jazdy, dopiero wtedy mógł

odstłuchać pocztę. Nagrał się i Franklin, i Marty, żaden z nich nie przekazał niczego istotnego. Dopiero trzecia wiadomość... Jakiś nieznamy głos, zdenerwowany, prawie wyszeptał:

- Dzwonię z polecenia Petera Bordona. On chce z tobą porozmawiać. Ale po cichu, rozumiesz. Przyjedziesz z obstawą, to z rozmowy nici. On chce gadać tylko z tobą.

Len nadal siedział w barze, wciśnięty między Sandy'ego i Curtisa. Ashley, po obdarzeniu każdego z panów uśmiechem, przystąpiła do rzeczy.

- Len, czy Karen do ciebie dzwoniła?

- Do mnie? A niby dlaczego miała do mnie dzwonić? Widziałem się z nią wczoraj wieczorem i to wszystko.

- Ale dziś nie ma jej w pracy. Nagrałam się, a ona nic oddzwania. Czy ona nie wspominała ci o swoich planach na dzisiaj?

- Nie.

- Trudno. Sprawdzę sama, co tam się dzieje.

Dom Karen i całe otoczenie wyglądało tak jak zwykle. Starannie przystrzyżony żywopłot z wiśniowych drzewek, na środku trawnika piękne drzewko rodem z Madagaskaru. Po obu stronach dróżki egzotyczne kwiaty. Na podjeździe stała znajoma toyota.

W domu paliło się światło, ale przytłumione. Wszystkie światła na zewnątrz były pogaszone. Ashley, klnąc w duchu lekkomyślność przyjaciółki, podeszła do drzwi, nacisnęła na dzwonek, walnęła kołatką i dodatkowo krzyknęła. Brak odpowiedzi. Wyciągnęła

więc zapasowy klucz, otworzyła drzwi i zawołała jeszcze raz. Niestety. Cisza jak makiem zasiał.

Wyłączyła alarm, weszła do środka i zamknęła drzwi. Te czynności wcale nie dodały jej pewności, przeciwnie, czuła się co najmniej nieswojo.

- Karen!

Wolnym krokiem przeszła przez wytworny salon. Czysto i schludnie, wszystko leży na swoim miejscu. Na półeczce rząd fotografii w ramkach. Karen z rodzicami i rodzeństwem. Karen z wielkim psem, Otterem, ulubieńcem całej rodziny. I jeszcze jedno zdjęcie, bardzo wesołe, zdjęcie sprzed kilku lat. Karen, Jan i Ashley, roześmiane, obwiązane bungee podczas festynu dla młodzieży hrabstwa Miami-Dade.

- Karen!

Zajrzała do kuchni. Tu też wzorowy porządek. W zlewie pusto.

Zerknęła do łazienki, potem do pokoju gościnnego, w którym Karen trzymała komputer. Do sprawdzenia został jeszcze jeden pokój. Sypialnia.

- Karen?!

Położyła dłoń na gałce klamki, nie zdążyła jednak przekręcić. Ktoś pukał do drzwi wejściowych. Nie pukał, a łomotał.

Cofnęła się, przedtem ręka odruchowo przekręciła jednak klamkę. Drzwi skrzypiały cichutko, otwierając się zachęcająco.

W pokoju ciemno....

Ten ktoś na dole nadal dobijał się do drzwi.

Niech się dobija... Ashley wymacała ręką przełącznik.

Zachody słońca w Everglades bywają niezmiernie piękne. Niebo, pożegnawszy błękit, przykrywa się płaszczem w jasnych pastelowych barwach, przetykanym złotem ostatnich promieni słońca. Ciemność nadchodzi nagle.

Świat rozplątał się w ciemny niebyt. Dookoła Jake'a czarno, tylko od czasu do czasu błyskają złociście reflektory przejeżdżających samochodów. Z daleka widać już jednak feerię różnobarwnych świateł. Miasto. Na samym jego skraju rzęsiście oświetlone kasyno Miccosukee. Za kasynem ulica, którą kiedyś upodobały sobie prostytutki. Kilka z nich brutalnie zamordowano. Mordercę ujęto, ale prostytutki przeniosły się gdzie indziej. Potem ulica zmienia swój charakter. Zaczyna się Calle Ocho, zwane małą Hawaną. Domy w stylu art deco, mnóstwo kiosków, gdzie można kupić oryginalne cygara, mnóstwo kubańskich restauracji.

A im bliżej centrum miasta, tym więcej zbrodni. Morderstwa w afekcie albo związane z podejrzanymi interesami.

Zbrodnia doskonała nie istnieje, choć mimo wysiłków policjantów i nowoczesnej kryminalistyki niektórych przestępstw nie udaje się udowodnić. Jednak tym razem będzie inaczej. Tak samo jak uda się wyjaśnić tamte zabójstwa z przeszłości. Na pewno, Jake czuł, że kiedyś ułoży tę przekłętą układankę w spójną całość. A teraz ten anonimowy telefon... Głupi żart? No, nie wiadomo... Ustalono, że ten ktoś dzwonił z więzienia federalnego.

Bordon... On zawsze tak pewnie odpowiadał na wszystkie pytania. A podczas ostatniej rozmowy wy-

dawał się przygaszony, może nawet przestraszony. Boi się? Kogo? Kogoś z zewnątrz?

Z drugiej strony Bordon zawsze był mistrzem w manipulowaniu ludźmi. Może postanowił pobawić się z Jakiem w kotka i myszkę, to byłoby w jego stylu.

Dlatego Jake postanowił pojechać do więzienia federalnego dopiero jutro rano. Teraz zaś zamierzał złożyć komuś niezapowiedzianą wizytę.

Hare Kriszna zajmowali bardzo ładny, odsunięty nieco od ulicy dom w pobliżu rozległego parku. Drzewa i krzewy rosły tu po swojemu, nikt ich nie męczył i nie strzygł kunsztownie. Ulice wokół parku tętniły życiem, pełne sklepów, restauracji i klubów. Wyznawcy Hare Kriszna często pojawiali się tam, by zbierać datki.

Dom wydawał się opustoszały, jednak ktoś otworzył drzwi. Młody człowiek z ogoloną głową. Miał uduchowioną twarz, był uprzejmy, chętny do pomocy, jeszcze zanim Jake pokazał mu swoją odznakę. Odwalił się na chwilę, wrócił z Mary, która na widok Jake'a wcale nie okazała zdziwienia.

Rozmowa, jak i poprzednim razem, odbyła się w małym ogrodzie na tyłach domu.

- Mary, powiem od razu, o co mi chodzi. Mówiłaś, że Bordon każdą noc spędzał z inną z was, ale nie był o was zazdrosny. Każdej z was wolno było spać również z innym mężczyzną?

- Tak, Jake, ale i tak każda z nas chciała tylko Petera. W sekcie byli oczywiście jeszcze inni mężczyźni, na przykład John Mast...

Mary westchnęła, opuściła głowę, jej palce bez-

więdnie zaczęły wygładzać jedną z fałd pomarańczowej szaty.

- On nie żyje... Ale...

Podniosła głowę. Jej słowa, dotychczas ciche, wyważone, zabrzmiały teraz niemal gwałtownie.

- Jake! Powiedz szczerze. Chcesz, żebym się zastanowiła, czy to przypadkiem nie John zabijał z zawiści o Petera? To niemożliwe. John był dobrym i uczciwym człowiekiem. Wierzył głęboko, że ludzi powinna łączyć tylko miłość, a wszystkie dobra doczesne, dane nam od Boga, są wspólne. I był mądry. On czuł, że ze sprawami finansowymi nie wszystko jest w porządku, słyszałam, jak kiedyś dyskutował o tym z Peterem. Ale Peter w ogóle nie chciał go słuchać. Zresztą, kiedy w domu starannie zamykano wszystkie drzwi, John też nie miał tam wstępu. Mnie było bardzo szkoda Johna. Nie powiedział ani słowa w swojej obronie, poszedł potulnie siedzieć. A teraz... teraz nie żyje.

- Ja też nad tym boleję. I wcale nie jestem przekonany, że to któryś z członków sekty okazał się draniem. Nie, Mary, ja zastanawiam się nad czymś innym. Powiedz mi, czy tym kanałem za posiadłością często przepływały łodzie?

- Och tak! Codziennie. Co w tym dziwnego? Ludzie przecież po to osiedlają się nad wodą, żeby sobie popływać, prawda?

- Oczywiście. A czy któraś z tych łodzi nie podpływała do posiadłości i nie przywoziła czegoś Peterowi?

- Może i tak. Nikt nigdy jednak nas nie prosił, żeby pomóc przy rozładunku. I na pewno nie były to wodoloty, one są takie głośne, słyszać z daleka.

Zamyśliła się na chwilę.

- Czasami, późno w nocy, kiedy siedziałyśmy razem we wspólnym pokoju, słyszać było jakieś głosy, hałasy. Ale nam pod żadnym pozorem nie wolno było wtedy wychodzić na zewnątrz. Każdy znał swoje miejsce, taka była zasada.

- Może nie wszyscy przestrzegali tej zasady, Mary, i dlatego stracili życie.

- Och, Jake...

- Powiedz mi jeszcze, czy mieliście swobodny dostęp do narkotyków?

- Tak. Narkotyki zawsze były pod ręką. Ale ja nigdy nie brałam, jestem czysta, Jake. Tak jak wszyscy tutaj.

- Maryja szukam zabójcy, a do wyznawców Hare Kriszny naprawdę nic nie mam. Dziękuję, nie będę ci więcej zwracał głowy. Gdybyś sobie coś przypomniała...

- Zadzwoń na pewno. Detektywie, chcę jeszcze coś powiedzieć, a właściwie powtórzyć. Ja nie wierzę, żeby Peter był w stanie... poderżnąć kobiecie gardło.

- Ja też w to nie wierzę, Mary. On sam nie zabijał. Ale zna mordercę, a ja zmuszę go do mówienia.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Lampka nad wezłowiem łóżka rzucała łagodne światło na starannie wygładzoną kołdrę i poduszki. W sypialni Karen, jak i w całym domu, było czysto, porządnie i pusto.

Walenie do drzwi nagle ucichło. Ashley ostrożnie wyjrzała przez wizjer. Nikogo... Nie, wcale nie. Za drzwiami owszem, pusto, ale żwir na ścieżce cichutko chrzęści, a więc ktoś obchodzi dom dookoła.

Chwila ciszy i znów łomot. Tym razem do okna w salonie.

A niech go...

Ashley, z bronią w ręku, ostrożnie wysunęła się za próg. W tym samym momencie zza węgła wynurzyła się wysoka postać.

- Stać! Nie ruszać się!
- Ashley?!

Ashley bardzo głośno wypuściła powietrze. Broń opadła.

- Len! Do diabła! Zakradasz się jak jakiś włamywacz! Co ty wyprawiasz!

- Ja się zakradam? Walę do drzwi, a ty nie raczysz otworzyć. I koniecznie chcesz mnie dzisiaj postrzelić!

- Sprawdziałam dom. Wygląda na to, że wszystko w porządku, ale Karen nie ma. A ty skąd tu się wzięłeś?

- Sandy mnie podrzucił.

- No, pięknie. Przecież on też pił piwo, sama widziałam.

- Bezalkoholowe. Przysięgam.

- A po co w ogóle tu przyjechałeś?

- Nie podobało mi się, że pojechałaś sama. A policjanci, wiadomo, muszą się osłaniać nawzajem. To standard w naszej robocie. Dlatego przyjechałem, chociaż, między Bogiem a prawdą, to ty już nie jesteś policjantką, tylko pracownikiem cywilnym.

- Nie wymądrzaj się. Wracamy do środka. Moim zdaniem trzeba wszystko jeszcze raz sprawdzić.

Poszła pierwsza, Len ruszył w ślad za nią. Sprawdzili pokój z komputerem, sypialnię. Ashley weszła do łazienki, odsunęła zasłonkę i zajrzała pod prysznic. Kafelki lśniły. Zasunęła zasłonkę, popatrzyła na wannę. Bielusiańka, tylko tutaj... Przykłękła. Trzy plamki, malutkie, wyglądają jak rdza.

Rdza albo krew... Spokojnie, to tylko trzy czerwone cętki. Przecież Karen mogła się zaciąć podczas golenia nóg.

Tym niemniej...

Poszła do kuchni, poszperała w szafce i znalazła plastikowe torebki do pakowania kanapek. Z szuflady wyjęła plastikowy nóż. Wróciła do łazienki, przykłęła przed wanną i ostrożnie zeskrobała nożem jedną z plamek. Nóż wsunęła do plastikowej torebki, plastikową torebkę do torby.

Len stał w drzwiach, śledząc każdy jej ruch.

- Ashley? Czy ty przypadkiem nie przesadzasz? W końcu nawet twoja najlepsza przyjaciółka ma prawo do sekretów. Może wyjść sobie, dokąd chce, kiedy chce i z kim...

- Naturalnie. Ale wiem, co robię. Chodź, Len, podrzucę cię do domu.

- Dzięki. Jedziemy prosto do ciebie. Curtis czeka na mnie w barze, zabiorę się potem z nim.

Komórka odezwała się dokładnie w chwili, gdy Ashley siadała za kierownicą.

- Ashley! I co?! - spytała zdenerwowanym głosem Jan.

- Nie ma jej. W domu wszystko w idealnym porządku. Samochód stoi na podjeździe.

W porządku? A te plamki w wannie... Nie, to najpierw trzeba sprawdzić, teraz nie ma sensu denerwować Jan. Jutro rano Ashley opowie wszystko Mandy. Mandy sprawia wrażenie osoby, która jej nie wyśmieje. Przeciwnie, wysłucha uważnie i zaoferuje pomoc. A w ostateczności, jest przecież Jake.

- Jestem wściekła, że musiałaś tam jechać sama, Ashley.

- Nie byłam sama. Teraz też nie jestem sama. Jest ze mną Len Green.

, - O, świetnie! Przecież to gliniarz. No, a co my teraz zrobimy?

- Jeśli Karen jutro się nie odezwie, zgłosimy jej zaginięcie. I dzwoń do niej, ja też będę dzwonić, może złapiemy ją jeszcze dziś wieczorem.

- Jasne.

Wysiadając z samochodu przed restauracją, Ashley upewniła się jeszcze raz:

- Len? Curtis na pewno odwiezie cię do domu?

- Na pewno. Obiecał, że będzie czekał do oporu.

- Dobrze. W takim razie dobranoc. Idę prosto do siebie, jestem wykończona. Dzięki za wsparcie.

Uśmiechnął się i zasalutował.

- Zawsze czujny, zwarty i gotowy! A poza tym...ja też ją lubię, tę twoją przyjaciółkę. Dobranoc, Ashley.

Jake nie zdążył dojść do samochodu, kiedy odezwała się komórka.

- Cześć, Jake. Tu Carnegie. Chciałem ci podziękować. Świetnie, że zorganizowałeś ochronę dla Stuarta Fresii.

- Coś się stało?

- W szpitalu wszystko w porządku. Ale postanowiłem pogadać sobie jeszcze raz z tym dziennikarzem, który przyjaźnił się ze Stuartem. Wyobraź sobie, kiedy zadzwoniłem pod numer, który nam podał, okazało się, że to jakaś pizzeria. Poszedłem więc do tej redakcji, pogadałem z personalnym, dał mi numer jego

ubezpieczenia. Sprawdziłem ten numer, okazało się, że należy do gościa, który zginął podczas drugiej wojny światowej. Pojechałem więc do szpitala, przecież ten dziennikarz warował tam jak pies. No i niespodzianka. Koleś raptem zniknął. Nie wiem dokładnie, co się za tym kryje, w każdym razie mam już zezwolenie na ochronę Fresii przez całą dobę. Koniec z amatorszczyzną, robimy to drogą służbową.

- Świetnie, Carnegie. Jutro wyjeżdżam z miasta, gdyby coś się działo, dzwoni na komórkę. Aha, dalej pozwalasz mi trochę powęszyc?

- Jasne, będę tylko wdzięczny.

Rozłączyli się. Jake pomyślał, że dobrze byłoby zadzwonić do Martina i uprzedzić o swoim wyjeździe. Z drugiej strony po co zawracać mu głowę, chłopak ma na pewno jakieś prywatne życie.

Zadzwonił jednak do kapitana Blake'a, powiedział, co zamierza. Kapitan zażądał szczegółowego raportu i wyraził przypuszczenie, że anonimowy telefon w sprawie Bordona mógł być tylko głupim żartem, jednak w końcu zgodził się na wyprawę Jake'a.

Po rozmowie z kapitanem Jake od razu zadzwonił do więzienia i umówił się na spotkanie.

Nareszcie Bordon postanowił mówić, Bordon, który ma klucz do rozwiązania wszystkich zagadek. Tego Jake był pewien. Czuł, jak jego dłonie, oparte o kierownicę, wilgotnieją. Jak to będzie z tymi rękami? Czy potrafi nad nimi zapanować, jeśli Bordon przyzna się do współudziału w zabójstwie tamtych trzech kobiet?

I Nancy Lassiter...

Ashley była wykończona. Teoretycznie powinna od razu zasnąć jak kamień, niestety stało się inaczej, jej umysł pracował na najwyższych obrotach. A skoro nie śpi, równie dobrze może wstać. Do diabła! Kiedy raz się zdarzyło, że koniecznie musi zapytać o coś Sharon, ta znika gdzieś z Nickiem, prawdopodobnie na całą noc. A Karen nadal nie daje znaku życia.

Wyszła przed drzwi prowadzące na nadbrzeże. Wzrok przemknął po łodziach i spoczął na „Gwendolyn”. Zawahała się, ale tylko krótką chwilę. Przeszła przez wąski pas piachu, potem trawy.

Drzwi kajuty były uchylone.

- Jake?

Drzwi otworzyły się do końca i wcale nie ukazał się w nich właściciel łodzi. Tym niemniej mężczyzna znajomy, tak samo jego duża, kwadratowa walizka. Ashley poznała go wczoraj, podczas szybkiej rundy po zakładzie kryminalistyki. Skip Conrad, ekspert od odcisków palców, teraz nieco zaskoczony widokiem Ashley, ale również uprzejmie uśmiechnięty.

- Witaj! Mieszkasz tu?

- Tak. Nick to mój wuj. Nick Montague. Późno już, a ty jeszcze pracujesz? Szukałeś tu odcisków palców? Jake podejrzewa, że ktoś zakradł się na „Gwendolyn”. Ja to wiem, Skip. Jake jest moim przyjacielem.

- Moim też - pochwalił się skwapliwie Skip. - Jake nigdy nikomu nie odmawia pomocy, więc ja też staram się mu pomóc, na ile potrafię. Niestety, jeśli

faktycznie był tu jakiś nieproszony gość, nie zostawił żadnych śladów. Znalazłem zaledwie kilka odcisków i idę o zakład, że należą do Jake'a.

- Ale i tak miło z twojej strony, że się tym zająłeś.

- Skoro tu mieszkasz, może oddałabyś Jake'owi klucz?

- Żaden problem.

- Zamkniesz porządnie?

- Jasne.

- Dzięki. Aha, i gratulacje. Słyszałem, że rysujesz niczym Rembrandt.

- Z Rembrandtem to przesada, ale dzięki, Skip. I dobranoc.

Skip odszedł, Ashley odruchowo zajrzała do kajuty i aż jęknęła, chociaż tego właśnie należało się spodziewać. Co za bałagan. Ciekawe, czy detektyw Dilessio poczuje się urażony, jeśli pewna dobra wróżka trochę u niego posprząta...

Bez kłopotu znalazła gąbkę i butelkę z odpowiednim płynem i zabrała się ostro do roboty. Jedna kajuta, druga, trzecia. Po chwili wszystko aż lśniło. Zadowolona, wróciła do kuchni i sięgnęła do lodówki po butelkę z sokiem pomarańczowym.

Tuż obok lodówki blat, na nim telefon, przy telefonie duży notatnik i ołówek. Ołówek natychmiast znalazł się w ręku Ashley. Pierwsza strona - portret Karen. Druga strona - Len. Znów przewróciła kartkę i zaczęła szkicować to, co ciągle miała przed oczami. Wypadek na 1-95. Rysowała zawzięcie, starając się przenieść na papier każdy szczegół zachowany w pa-

mięci. Potem przez chwilę z wielką uwagą studiowała swoje dzieło. Tak, tak to właśnie wyglądało...

Ostatni rysunek. Studium postaci Dawida Whartona.

Odłożyła notatnik, ołówek i jeszcze raz rozejrzała się dookoła. Wszystko w porządku, oprócz dywanu. Gdzie Jake chowa odkurzac? Na pewno w jakimś schowku. O, tutaj. Wyciągnęła odkurzac, włączyła do kontaktu. Odkurzac ryknął, po chwili dywan był czysty. Ashley wyłączyła odkurzac, raptem zrobiło się bardzo cicho. Nie, niezupełnie, bo jednak coś usłyszała. Jakby ktoś ostrożnie postawił nogę na deskach pokładu.

- Jake?

Żadnej odpowiedzi. Pewnie znowu coś sobie ubzdurała. Schowała odkurzac do schowka i wyszła na pokład. Zamknęła starannie drzwi na klucz, spojrzała w stronę jasno oświetlonego baru. Grająca szafa wydzieriała się w najlepsze, jakiś miłośnik muzyki country nie szczędził pieniędzy. Łodzie, większe i mniejsze, grzecznie kołysały się na wodzie.

Gdzie ten Jake?

Coś chlupnęło, chyba tak. Nie zdążyła się odwrócić. Nagle poczuła, że unosi się w górę, jakaś siła każe jej przefrunąć ponad lewą burtą i opaść w czerń pomarszczonej wody, na której księżyc namalował srebrne paski.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wspólny posiłek dobiega końca, zbliża się pora, kiedy wszystkich więźniów zamyka się w celach. Wszystko odbywa się rutynowo, skąd więc ten strach, paniczny strach, który nagle unieruchomił rękę Petera Bordona. Widelec zawisł w powietrzu, czujny wzrok przemknął po wielkiej stołówce. Harmider, jak zwykle, krzesła szurają, więźniowie wstają od stołów, zaraz tłum mężczyzn zapełni więzienne korytarze. Carson i Byers, na lewo od Bordona, jeszcze siedzą, gadają o papierosach. Z prawej strony Sanders, główny księgowy wielkiej korporacji, opowiada o ostatniej rozgrywce w kosza.

Odłożył widelec. Przez gardło nie przejdzie nawet najmniejszy kawałeczek mięsa. Całe ciało jakby dotknięte paraliżem. Ręce, nogi bezwładne, płuca z wielkim trudem wciągają powietrze. Serce zamiera.

Nigdy, nigdy jeszcze w życiu nie czuł tak obez-

władniającego strachu. Cóż, ten strach musiał w nim istnieć od dawna. Siedział głęboko, przyczał się na wiele lat, pozwalając uwierzyć, że Peter Bordon jest człowiekiem nieustraszoną. Peter Bordon, zawsze niepokonany, pełen charyzmy, manipulujący po mistrzowsku umysłami innych. On niczego się nie boi, to jego należy się bać.

Iluzja. Wszystko iluzja.

Z warunkowym zwolnieniem sprawa już przesądzona, to kwestia kilku dni. Peter wyjdzie na upragnioną wolność. Upragnioną... Nagle przyszłość, co do której miał tyle planów, nie tylko przestała nęcić, ale zaczęła przerażać.

- Panie Bordon? - zagadnął Sanders, odrywając się od rozmowy o koszykówce. - Źle pan się czuje?

- Dzięki, nic mi nie jest - mruknął. - Coś mi stanęło w gardle, to jedzenie jest obrzydliwe.

Czujny wzrok jeszcze raz przemknął po twarzach więźniów, twarzach teraz dziwnie groźnych. Każdy z nich wygląda jak bezwzględny zabójca. Sanders ma uśmiech szaleńca, Carson też się uśmiecha, jak wilkołak wietrzący krew ofiary.

Opanować się. Koniecznie. Przecież policja do niczego nie doszła, niczego nie udowodniono, nie znaleziono żadnych śladów. Peter Bordon zawsze był nadzwyczaj ostrożny...

Chryste, przecież nie to wzbudza w nim ten paraliżujący strach...

Nogi Ashley pracowały zawzięcie. Odpłynąć, bo

w tej hebanowej wodzie nie jest sama, kawałek dalej coś majaczy, jakiś złowrogi kształt. Odpłynąć i wynurzyć się na powierzchnię. W płucach ogień, płuca muszą koniecznie dostać łyk powietrza.

Przesunęła się pod dnem łodzi, wychyliła głowę od strony prawej burty. Powietrze wciągnęła tylko raz, nagle jakieś dwa imadła zacisnęły się wokół jej nóg i ciągną w dół, choć ona rzuca się i wije, walczy o wolność.

Nagle ten ktoś puścił. Nogi Ashley błyskawicznie ożyły, głowa wynurzyła się z wody dokładnie w momencie, gdy kawałeczek dalej coś zabulgotało, zaraz potem ukazała się głowa. Męska.

- Ashley?
- Jake?
- Niech cię wszyscy diabli!
- Jeszcze na mnie wrzeszczysz? Znow mnie

kowaleś!

- A dlaczego znow skradasz się po pokład
- To nie ja.
- Mnie się wydaje, że jednak ty.

Chciała go kopnąć, niestety, był za daleko, no dzie raczej kopnąć się nie da. Poza tym oddalał się. Przepłynął kilka metrów, chwycił się drabinki. Wszedł pierwszy, ona za nim. Stanęła na pokładzie, ociekając wodą, tak samo jak on. Spojrzała mu prosto w twarz, gotowa do konfrontacji.

- Jake! Ktoś zepchnął mnie do wody.
- Niemożliwe. Oprócz nas nikogo tu nie ma. Kiedy wszedłem na pokład, ty byłaś już pod wodą. Jestem pewien, że oprócz ciebie nikt tu nie wchodził.

- Owszem, wchodził - mruknęła Ashley, zajęta wyciąganiem z włosów wodorostów. — Zajrzałam na „Gwendolyn”, chciałam się dowiedzieć, czy nie masz dla mnie jakichś wiadomości. A z kajuty wychodził właśnie twój przyjaciel od odcisków palców.

- Skip.

- Tak, Skip Conrad. On poszedł, a ja, idiotka, zaczęłam sprzątać. Kiedy wyłączyłam odkurzacz, здавало mi się, że usłyszałam czyjeś kroki. Wyszłam na pokład, żeby sprawdzić, no i poleciałam do wody.

- Ashley, rozejrzyj się, przecież dookoła ani żywej duszy.

- Doskonale widzę, że nabrzeże jest puste. Czyli jedynym logicznym rozwiązaniem byłoby obarczenie winą ciebie.

- To nie ja wrzuciłem cię do wody.

- Podejrzewasz, że twoją łódź odwiedzają nieproszeni goście, nie bez powodu ściągnąłeś tu Skipa. Dlaczego więc teraz nie chcesz uwierzyć w moją wersję wydarzeń?

- Cholera...

Jake odwrócił się, spojrzał w wodę, prawie jednocześnie przeskakując na nabrzeże, lekkim, zwinnym ruchem, jak najlepiej wyszkolony komandos. Pobiegł przed siebie, cały czas spoglądając w wodę. W pewnym momencie skoczył. Wynurzył się, nabrał powietrza i zanurkował. Zrobił to kilkakrotnie, wreszcie podpłynął do łodzi i wspiął się na pokład.

- Jake? Co jest?

- Jeśli ktoś tu był, to wiadomo, jak uciekł. Odpłynął.

- A więc wierzysz, że ktoś mnie zrzucił z pokładu?
- Trudno mi sobie wyobrazić, żebyś skakała do tej wody dla przyjemności. Tak... Jeśli ktoś tu był, to po prostu odpłynął.

Pomyślał chwilę, spojrzał na łodzie i ruszył ku drzwiom kajuty.

- Będiesz stała tak całą noc, póki nie wyschniesz? Masz szansę pierwsza wziąć prysznic. Chodź!

Otworzył drzwi, puścił Ashley przodem. Weszli do środka, Jake szybko ściągnął przemoczoną marynarkę, zrzucił buty i zaczął rozpinąć koszulę.

- Najlepszy prysznic na tej łodzi jest obok mojej sypialni.

- Dziękuję, ale chyba wrócę do siebie. Nic mam przecież żadnego ubrania na zmianę.

- Ale ja mam suszarkę do ubrań.

- O! To brzmi zachęcająco.

- Mogę zaoferować wiele innych atrakcji...

Koszula opadła na podłogę. Jake podszedł do Ashley i ściągnął jej przez głowę mokry T-shirt.

- Aha, mój podkoszulek przypadł ci do gustu - stwierdziła zmienionym głosem, czując na szyi gorące wargi Jake'a.

- A żebyś wiedziała.

- Prawdopodobnie tak samo kuszą mokre dżinsy, a najbardziej wodorosty na twoich skarpetkach. Ale mnie można zdobyć w jeden tylko sposób. Dowiedziałaś się czegoś, Jake?

- No, dobrze. Uwiodę cię moją elokwencją. Już zaczynam. Carnegie załatwił ochronę dla twego przy-

jaciela drogą oficjalną. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Naprawdę? To cudownie.

- I jeszcze jedna sprawa. O świcie wyjeżdżam, gdzieś koło czwartej. Ktoś zadzwonił w imieniu Bordona. Sprawdziliśmy, telefonowano z więzienia federalnego. Podejrzewam, że Bordon czegoś się boi, dlatego chce ze mną pogadać. Może będzie wciskał kit, ale ja i tak muszę tam jechać. Wrócę wieczorem, może nawet bardzo późno. I potem zajmę się trochę sprawą Stuarta Frcsii. Carnegie przekazał mi pewne informacje.

- Jake, może na coś się przydam. Stuart jest moim przyjacielem...

- Ty trzymaj się od całej sprawy z daleka.

Krew natychmiast zawrzała w żyłach Ashley.

- Bez przesady! Nie jestem idiotką, a podczas szkolenia w Akademii byłam jedną z najlepszych.

- Nikt nie wątpi w twoją inteligencję ani sprawność fizyczną. Ale nie powinnaś zajmować się rzeczami, których nie potrafisz jeszcze ugryźć.

- Mówisz tak, bo jestem kobietą.

- Mówię tak, bo brak ci doświadczenia i odpowiedniego treningu. A ja chcę się zająć sprawą Frcsii nie tylko po to, żeby zrobić ci grzeczność. To mogła być próba zabójstwa, sama dobrze wiesz. Daj mi kilka dni, Ashley. Jutro jadę do więzienia, mam nadzieję, że ta rozmowa pomoże mi znaleźć odpowiedź na kilka pytań związanych z morderstwem Cassie Sewell.

- I... twojej partnerki?

- Tak. Nancy. Muszę dojść prawdy. Nancy zasłużyła sobie na to. Ona przede wszystkim.

Ogromne zielone oczy Ashley przez dłuższą chwilę utkwione były w twarzy Jake'a.

- Ashley?

Wsunał dłoń pod jej głowę. Pocałował. W miłym chłodzie, panującym w kajucie, ciepło jego warg podziałało elektryzująco. I w ogóle zrobiło się nagle gorąco.

- Wiesz, Ashley, jesteś śliczna, zawsze, w granatowym mundurze kadeta, w dżinsach, nawet w wodorostach wyglądasz nieziemsko. Ale założę się, że najlepiej wyglądasz cała pokryta pianą mydlaną...

Po ustach Ashley przemknął uśmiech.

- Przypuszczam, że na tej łodzi kabina prysznic jest niewielka.

- To zaleta.

- Trudno będzie się... poruszać.

- Im ciaśniej, tym lepiej. Poza tym wstrzymaj się z oceną sytuacji, dopóki nie przeprowadzisz dokładnego śledztwa.

- Racja. A pan jest sławny ze znakomitych technik w tym zakresie.

- Dziękuję pani za uznanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Przemknęła pod jego ramieniem. Zdjęła dżinsy, pozbyła się biustonosza i koronkowych stringów.

- Detektywie Dileccio, udaję się pod prysznic.

Kabina wcale nie była mikroskopijna. Było ciasno, owszem, ale starczyło miejsca dla dwojga.

Jake postanowił namydlić Ashley osobiście. Silne, brązowe palce wyjęły mydło z jej rąk i najpierw zajęły się szyją.

- My, detektywi, zabieramy się do sprawy powoli i starannie.

- Uważaj, detektywie, bo sprawa wymknie się spod kontroli.

- Spokojnie, panuję nad wszystkim.

Mokra, śliska kostka mydła w zręcznych palcach przesuwawała się po piersiach Ashley. Potem biodra, brzuch, nogi aż do samych stóp. Ashley wstrzymywała oddech, troszkę się śmiała, w kabinie było coraz więcej pały, robiło się coraz bardziej duszno.

Nagle mydło wyleciało Jake'owi z rąk. Ashley roześmiała się głośno, Jake chwycił ją w ramiona, jednym kopnięciem otworzył drzwi kabiny.

Dzika i niepohamowana namiętność. Zapamiętanie się do granicy szaleństwa i eksplozja rozkoszy, największej, obezwładniającej. Dlatego Ashley była zdumiona, kiedy zaraz po tym szaleństwie, kiedy Jake jeszcze nie wypuścił jej ze swych objęć, usłyszała lekko zadyszane słowa:

- Ashley, pamiętaj. Do mojego powrotu nie wolno ci się do niczego mieszać.

Dopiero wtedy odsunął się i ułożył na boku. Ashley skrzywiła się i choć palce pieszczotliwie musnęły śniady policzek Jake'a, słowa były dość ostre:

- Mam to w nosie. Jesteś zwykłym męskim szo-

winistą, a boisz się o mnie tylko dlatego, że nie uporałeś się ze śmiercią Nancy.

- To nie ma nic wspólnego z Nancy.

- Jake, ja poszłam do Akademii Policyjnej nie tylko dlatego, że brakowało mi pieniędzy na renomowaną i cholernie drogą Akademię Sztuk Pięknych. Ja naprawdę chcę zostać gliniarzem.

- Jak twój ojciec.

- Nie tylko z powodu ojca. Wierzę w prawo i porządek. Teraz chwilowo nie jestem policjantką, ale pracuję dla policji, niedawno zetknęłam się z czymś przerażającym. Wiesz, co mam na myśli. Moje nerwy to wytrzymały. Nadaję się do tego zawodu, jestem pewna.

- Zakładając, że potrafisz zachować zdrowy rozsądek. W co wątpię. Bo teraz zachowujesz się jak piesek, który trzyma coś w zębach i ucieka, choć jak to połknie, może mii zaszkodzić. Stwarzasz sobie teorie, kierując się uczuciami, a nie na podstawie tego, co widzisz. Nie na podstawie mocnych dowodów.

- Rozumiem. A ty jesteś prawdziwym asem wśród detektywów.

- Nie, ja po prostu miałem świetnych nauczycieli. I powoli doszedłem do wszystkiego. A ty dostałaś od losu wielki talent, wykorzystaj go i niczym więcej się nie zajmuj. Jesteś jeszcze wielkim dzieciakiem, zbyt naiwnym...

- No tak.

Ashley zdecydowanym ruchem zaczęła podnosić się z łóżka.

- Uciec najłatwiej - burknął Jake, chwytając ją za rękę.

- Bez przerwy mnie strofujesz.

- Nic podobnego. Chcę z tobą pogadać i nie puszcę cię, dopóki mnie nie wysłuchasz.

- Najchętniej kopnęłabym cię w najbardziej czułe miejsce, żebyś jęczał i kwiczał przez następne tysiąc lat.

Niestety, nie była w stanie spełnić straszliwej groźby, ponieważ natychmiast została przygnieciona ciężarem męskiego ciała. Przygnieciona bardzo skutecznie, bo nie mogła ruszyć nawet kolanem.

- No i co teraz?

- Złaż ze mnie, chcę wracać do domu. Nie będziesz mi rozkazywać. Nie będę cicha i potulna tylko dlatego, że kiedyś kochałeś się w policjantce. Spałeś /. nią czy nie, nieważne, ale kochałeś ją, sam mi to powiedziałeś. Przez te pięć lat pracowałeś jak wariat, starając się skoncentrować na bieżących sprawach. Jednak nadal żyjesz przeszłością, wspomnienia wcale nie zblakły. Niestety, taka sytuacja fatalnie wpływa na terażniejszość i przyszłość.

Jake wstał z łóżka.

- Wrzucę twoje ubranie do suszarki. Pójdę pierwszy pod prysznic. Muszę już jechać.

Wcale nie musiał, mówił przecież, że wyrusza o czwartej. Jednak wstał, już szedł pod prysznic, do tej małej kabiny. Umyć się, tym razem bez towarzystwa.

Drzwi kabiny zamknęły się, Ashley usłyszała szum wody. Wskoczyła z łóżka, wciągnęła przemoczone ubrania. Pobiegła do blatu, gdzie obok telefonu leżał

duży notatnik. Szybko przerzuciła kartki pokryte rysunkami i zaczęła pisać:

„Drogi Jake...”

Nic więcej nie przychodziło jej do głowy, a przecież nic miała zbyt dużo czasu.

„To się nie uda.”

Niezbyt zręcznie. Właściwie co tak naprawdę zamierzała mu przekazać?

„Niestety, będę wtykać nos w sprawy, które są dla mnie ważne.”

Nie, trzeba zacząć inaczej:

„Jake, rozumiem twoje uczucia. Może nie do końca, ale wiem przecież wystarczająco dużo o twojej przeszłości. Bardzo boleję nad tym, co przydarzyło się Nancy, jestem jednak pewna, że ona, cokolwiek zrobiła, była przekonana o słuszności i wadze swych działań. Nie jestem cieplarnianym kwiatuszkiem, ty natomiast nie musisz bawić się w mojego ochroniarza, nawet jeśli ci na mnie w pewien sposób zależy.”

Uff... Czy to aby trochę nie na wyrost? Może coś sobie ubzdurała, a to był tylko seks, owszem, gorący, ale... Nie, to coś więcej, czuła to. Może powinna napisać, że stawał się jej coraz droższy i bliższy?

Nie. Tego nie napisała. Zadowoliliła się jednym krótkim zdaniem.

„Nie mogę się z tobą spotykać.”

Szum wody ucichł. Ashley rzuciła notatnik na blat i umknęła z „Gwendolyn”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wszystko zaczęło się od bitwy na jedzenie. Rozgorzała przy drugim końcu stołu, dlatego nie od razu zwróciła uwagę Petera Bordona.

W tej części więzienia bunt czy gwałtowne starcia zdarzały się niezmiernie rzadko. Więziono tu głównie „białe kołnierzyki”, każdy chciał jak najszybciej wyjść na wolność, wrócić do rodziny. Wielu marzyło o tym, żeby zacząć nowe, uczciwe życie.

Najpierw nad stołami zaczęły fruwać jajka, w chwilę później zrobił się ogólny zamęt. Bordon dalej nie zwracał na nic uwagi. Było mu wszystko jedno, czy dostanie jajkiem, czy nie.

Nagle poczuł, że ktoś chwyta go za kołnierzyk koszuli i przeciąga przez stół. Po chwili leżał na podłodze, a na nim co najmniej tuzin mężczyzn. Słyszał krzyki i gwizdki strażników, usiłujących opanować sytuację, on jednak skupił się bardziej na innym

fakcie. Ktoś rąbnął go łokciem w twarz, głowa uderzyła o podłogę. Przydusili go, na całe ciało spadł grad ciosów.

Bronił się. Krzyczał, i mimo tej góry ludzkich ciał próbował walczyć.

W pierwszej chwili nawet się nie zorientował, że w jego ciało wślizguje się ostrze...

Zaraz potem zrozumiał. Wszystko.

Głupie rzucanie jedzeniem miało swój cel. To tylko przedstawienie, zorganizowane z powodu jednego człowieka. Petera Bordona. Ktoś dowiedział się o telefonie do detektywa Dilcssia. Każdy mógł go zdradzić, przecież za tym stoją duże pieniądze. Zawsze znajdzie się chętny do zgarnięcia kasy.

Ostrze noża zatopione w jego ciele obróciło się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Krzyknął. Nic, nie krzyknął, jego płucom brakło już sił. Zdażył jeszcze tylko zobaczyć strażników, odrywających od niego prawie tuzin mężczyzn. I odszedł w ciemność.

- Kawa gotowa... Ashley, czy ty się przypadkiem nie spóźnisz? - zagadnął Nick do bratanicy.

- Nie. Mam zameldować się o ósmej.

- W porządku. Chociaż nie. Bo ty, dziecko, wyglądasz... oczywiście, jesteś młoda i piękna, ale wyglądasz... no, nie wyglądasz na wypoczętą.

- Jesteś bardzo miły.

- Posłuchaj, nie zamierzam ci rozkazywać, ale chyba mogę coś zasugerować. Zwolnij trochę tempo, jeśli chodzi o detektywa Dilcssia.

- W porządku...

Wuj na pewno ucieszyłby się z jej zerwania z Jakiem. W sumie to było niezłe rozwiązanie. Żałowała, że napisała ten liścik, bo pozostał bez odzewu. Jake nie zapukał do jej drzwi, nie wyznał jej miłości. Był teraz w drodze do więzienia federalnego, by rozwiązać zagadkę sprzed lat. Daj Boże, żeby tak się stało.

Tamta kobieta z przeszłości okazała się dla niego ważniejsza niż Ashley Montague.

- Nick? Jak bawiliście się z Sharon?

- Wspaniale. Zjedliśmy kraby w South Beach, obejrzeliliśmy film przy Lincoln Road, a potem... spacerowaliśmy po plaży.

- Bardzo romantycznie.

- Tak - rzucił Nick tonem niby obojętnym, nawet wzruszając ramionami. Jak chłopak, przyłapany na wysyłaniu bardzo frywolnej walentynki. - Znalazłaś te swoje uprane rzeczy?

- Jakie rzeczy?

- Sharon omyłkowo wrzuciła je do naszego prania. Mówiła, że zaniósła wszystko do twojego pokoju.

- Tak zrobiła? No proszę... - mruknęła Ashley.
- Ona już się obudziła?

- Dziś finalizuje jakąś umowę, ale dopiero o dwunastej. Kiedy wychodziłem z pokoju, mówiła, że jeszcze pośpi.

- Zapukam do niej.

Drzwi pokoju były uchylone, Sharon prawdopodobnie nie chciało podnosić się z łóżka, żeby je zamknąć. Ashley zapukała grzecznie.

- Nick?

W głosie Sharon słyhać było zaskoczenie, nic dziwnego, niby z jakiego powodu Nick miałby pukać do drzwi własnego pokoju?

- Sharon, to ja. Możemy chwilę porozmawiać?

- Naturalnie. Poczekaj sekundę.

Minęła minuta, może dwie, drzwi otworzyły się do końca. Na progu stała Sharon w atłasowym szlafroku. Włosy w nieładzie, na twarzy ani ślady makijażu, ale tak śliczną twarz o klasycznych rysach można zawsze śmiało pokazywać światu. Nic dziwnego, że Nick uważał się za szczęściarza.

Jednak Ashley nie rozczułała się zbyt, tylko od razu przystąpiła do ataku.

- Mam do ciebie dwie sprawy. Po pierwsze co ty tak naprawdę robiłaś w moim pokoju? Nick mówi o jakimś praniu, ale ja wcale nie zauważyłam żadnych upranych ciuchów.

Jasnoróżowe policzki Sharon zmieniły barwę na szkarłatną.

- Ja... ja skłamałam. Przepraszam.

- W takim razie...

- Ja po prostu chciałam pobyc w twoim pokoju, chciałam poznać cię bliżej.

- A nie lepiej wybrać się razem na zakupy albo na lunch?

- Ashley, posłuchaj. W sobotę rano mam pewne... spotkanie, do tego czasu, proszę, wytrzymaj. Później wszystko ci dokładnie wytłumaczę, na pewno zrozumiesz.

- Jesteś bardzo tajemnicza, Sharon.

- Nie jestem tajemnicza, tylko ja jeszcze... proszę cię o trochę cierpliwości. A jaka jest ta druga sprawa?

- Chciałabym, żebyś powiedziała mi coś na temat pewnej posiadłości, którą ostatnio sprzedawałaś.

- Której posiadłości?

- Na południowym zachodzie, prawie już na terenie Everglades.

- Sprzedawałam bardzo dużo posiadłości w tamtych stronach. O którą ci chodzi?

Ashley podała adres, jednak Sharon nadal patrzyła na nią pustym wzrokiem.

- Duży dom, wielki kawał ziemi, kilka dodatkowych zabudowań - odpowiedziała Ashley.

- Niestety, Ashley, tak wygląda większość posiadłości. Musiałabym zajrzeć do moich plików, stąd do nich nic wejść. Wpadnę do firmy, tylko powiedz, o jakiego typu informacje ci chodzi?

- O wszystko. Wszystko, co wiesz na temat tej posiadłości.

- W porządku.

- Dzięki. Wracam dziś bardzo późno, wybieram się gdzieś ze znajomymi. Możesz zostawić mi te informacje w pokoju, rzuć po prostu na łóżko.

Kiedy Ashley przemierzała salon, zza drzwi jej pokoju dobiegł dzwonek komórki. Dzwoniła Jan.

- Jan? Wiesz już coś?

- Tak. Chyba niepotrzebnie szalejemy z niepokoju, choć szczerze mówiąc, Karen zachowuje się bardzo

dziwnie. Dziś znów dzwoniła do pracy. Podobno nadal choruje.

- To dlaczego nie ma jej w domu?! Wczoraj jej też nie było, chociaż samochód stał na podjeździe.

- Prawdopodobnie sama nam to wyjaśni, kiedy dó nas zadzwoni.

- Wpadnę dziś do niej.

- To nie ma sensu. Dziś przecież oblewamy twoją nową posadę, Karen na pewno zjawi się w klubie. Jeśli się nie zjawi... no, to wtedy rzeczywiście trzeba bić na alarm.

- Masz rację. Poczekajmy do wieczora.

Jak przyjechał o wiele za wcześniej, na szczęście tuż obok więzienia natrafił na małą restauracyjkę otwartą przez całą dobę. Prawie godzinę przesiedział nad kawą i jajkami, robiąc bez przerwy notatki.

Fakty...

Zabito trzy kobiety należące do sekty. Większość członków sekty uznała, że nieświadomie w tym uczestniczyli. Byli poniżani, okradziono ich, teraz najchętniej w ogóle nie wracaliby do tamtych czasów.

Teraz znów zamordowano kobietę, w taki sam sposób.

Nancy Lassiter, partnerka Jake'a, zginęła podczas śledztwa, choć nigdy nic była w posiadłości należącej do sekty. Jeśli była, to Jake o tym nic wiedział.

Jake jako ostatni widział Nancy żywą, kiedy opuszczała jego łódź. Jej ciało odnaleziono na dnie kanału po wielu tygodniach. W kanale, niedaleko posiadłości będącej siedzibą sekty.

Fakty...

Jake zawsze czuł, że jedynym członkiem sekty, który miałby naprawdę coś do powiedzenia, był John Mast. John gwałtownie zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek o morderstwach. Przyznawał jednak, że prowadząc księgowość, natknął się na wiele nieprawidłowości. Mast na pewno coś wiedział.

Mast nie żyje. Zginął w katastrofie lotniczej. Czy naprawdę?

Jake, zamyślony, przez chwilę bębnił palcami w stół. Potem chwycił za komórkę. Wybrał numer posterunku. Marty na pewno jeszcze śpi, ale któryś z funkcjonariuszy będzie przecież na miejscu.

Połączono go z Belkiem, Belk zapewnił, że natychmiast zajmie się tą katastrofą lotniczą i sprawdzi, czy wszystkie ofiary zostały zidentyfikowane.

Jake przewrócił kartki w notatniku, odnalazł list od Ashley i przeczytał go po raz kolejny. Dziewczyna ma rację, powinni dać sobie spokój. Jemu nie podoba się, że ona chce zostać policjantką, a ona na pewno kiedyś wróci do Akademii Policyjnej. Nie znał dokładnych statystyk, ale gdzieś przeczytał, że w Stanach Zjednoczonych przeciętnie co pięćdziesiąt osiem godzin ginie policjant. Ryzyko zawodowe.

Znów zaczął powoli przerzucać kartki notatnika. Trzecia strona. Pospieszny szkic, ale naprawdę świetny. Scena wypadku, który Ashley widziała na drodze międzystanowej. Ofiara, Stuart Fresia, leży teraz w śpiączce. Tak. Rysunek doskonały, tyle szczegółów. A tam, na poboczu, ktoś stoi. Patrzy na samochody,

patrzy na bezwładne ciało na drodze... Ktoś ubrany na czarno.

Na czarno. Tak ubierali się Ludzie Zasad...

Zadzwoiła komórka. Ku zdumieniu Jake'a to był sam naczelnik więzienia. Szybko, zdenerwowanym głosem przekazał wiadomość. Twarz Jake'a poszarzała, głos na chwilę odmówił posłuszeństwa.

- Czy on... żyje? - spytał z trudem.

- Żyje, ale tak naprawdę, to chyba już niedługo. Właśnie wiozą go na salę operacyjną. Ja wiem, jak wiele nadziei wiązał pan z tą rozmową. Lekarze nie dają mu prawie żadnych szans. Proszę przyjść tu natychmiast. Jest nieprzytomny, nie wiadomo, czy w ogóle się ocknie. Ale kiedy operacja się skończy, pozwolę panu przy nim posiedzieć.

- Dziękuję. Zaraz tam będę.

Wyłączył telefon, drżącą ręką podał kelnerowi pieniądze. Wybiegł, próbując zapanować nad narastającym gniewem i poczuciem bolesnego zawodu.

Dla Ashley ten ranek nie zaczął się przyjemnie. Trzeba było oddać odznakę i broń, czyli klamka zapadła. Czuła się dość podle, szybko jednak porwała ją nowa rzeczywistość. Podpisała kilka dokumentów, odbyła rozmowę z szefem kadr, po czym, w ramach szkolenia, polecono jej przyglądać się uważnie komputerowemu porównywaniu wyłobień na płaszczy pocisku, jakie powstają, gdy pocisk przechodzi przez lufę. Ashley znalazła jednak chwilę, żeby dopaść Mandy i bez żadnych wstępów wyjaśnić jej od razu,

w czym rzecz. Mandy przede wszystkim zabroniła wpadać w panikę, chociażby dlatego, że Karen po raz drugi dzwoniła do swojej szkoły, a to powinno napawać otuchą. Tym niemniej zgodziła się dyskretnie sprawdzić ślady z wanny Karen. Owszem, to krew, poinformowała Ashley podczas przerwy na lunch. Nie ma jednak sensu wpadać w panikę. Karen mogła się zaciąć podczas golenia nóg. Skoro jednak Ashley nadal szaleje z niepokoju, niech już teraz wypełni formularz o zaginięciu.

- Dwie doby jeszcze nie minęły, ale dla ciebie zrobią wyjątek — powiedziała Mandy. — Skontaktują się z rodziną, miejscem pracy, będą sprawdzać, kto widział ją jako ostatni. Jesteś pewna, że tego chcesz, Ashley?

- Bo ja wiem... Może rzeczywiście lepiej poczekać do wieczora.

- Też tak uważam.

Kilka chwil później zadzwoniła Jan.

- Ashley? Karen odezwała się do ciebie?

- Nie.

- Do mnie też nie. Wstąpię do niej po drodze, kiedy będę jechała do restauracji. Jeśli będzie w domu, stłukę ją na kwaśne jabłko, wrzucę do samochodu i przywiozę ze sobą. Zgoda?

- Świetny pomysł. Ale jeśli jej nie będzie i nie zjawi się w restauracji...

- Wtedy niczego nie będziemy oblewać, to jasne.

Komórka Ashley pisnęła, dając znać, że ktoś dzwoni. Ashley pożegnała się z Jan, w komórce usłyszała teraz głos Dawida Whartona.

- Dawid! Dlaczego, do diabła, nie odzywałeś się tak długo?

- Byłem zajęty. Spytałaś Sharon Dupre o tę posiadłość? Co powiedziała?

- Obiecała, że zajrzy do dokumentów i przekaże mi dokładne informacje.

- Świetnie. To zobaczymy się wieczorem.

- Niestety, nie. Dziś wieczorem umówiłam się ze znajomymi. Oblewamy moją nową posadę.

- Ale ja muszę z tobą pogadać. Może zaprosisz mnie na to oblewanie?

- Nie wiem, czy nic odwołam imprezy. Jedna z moich przyjaciółek zaginęła.

- Jedna z tych, które były w szpitalu u Stuarta? Karen czy Jan?

W pierwszej chwili była zdumiona, że zna imiona jej przyjaciółek. Z drugiej jednak strony Dawid spędzał w szpitalu wiele czasu i był spostrzegawczy, jak na dziennikarza przystało.

- Nie chcę teraz o tym mówić.

- W porządku, nie nalegam. Proszę tylko, żebyś dała mi szansę i pozwoliła dołączyć do was dziś wieczorem. Muszę z tobą pogadać.

Ashley, westchnąwszy głęboko, podała mu nazwę restauracji. Niestety, jej zaufanie do Dawida Whartona było znikome. Ale skoro się uparł, niech przyjdzie. W końcu będzie miała świetną obstawę. Arne, Gwyn i cała reszta, także Len, żaden kadet, tylko regularny policjant, który w razie potrzeby może zaarrestować Dawida.

W rezultacie cała przerwa na lunch minęła na rozmowach. Po przerwie Mandy pokazała Ashley, jak sfotografować ciało denata pod różnymi kątami, po czym wręczyła jej aparat i kazała ćwiczyć. Następną godzinę Ashley spędziła na pstrykaniu zdjęć.

- Ashley, telefon do ciebie - zawołała Mandy, uchylając drzwi.

Ashley pobiegła jak strzała, z nadzieją, że usłyszy Karen. Tym razem jednak dzwonił Natan Fresia, by przekazać wspaniałą wiadomość. Stuart co prawda nie odzyskał jeszcze przytomności, ale skaner monitorujący jego mózg zarejestrował wreszcie jakieś impulsy. Lekarze mają nadzieję, że Stuart obudzi się w ciągu najbliższych kilku dni.

Ashley dała głośny wyraz swej radości, po czym głos jej spoważniał:

- Natan, czy wszyscy już o tym wiedzą?

- Wie personel szpitala i policjant, który pilnuje teraz Stuarta.

- Na policjantów można liczyć, oni nikomu nic; nie powiedzą, ale personel... Natan, pamiętaj, im mniej osób o tym wie, tym lepiej.

- Racja, Ashley. Dopilnuję, żeby tego nie rozpowiadano. A poza tym nie odstępuję Stuarta ani na krok.

- Jutro będę w szpitalu - obiecała Ashley. Pożegnała się z Natanem i wróciła do pracy. Dokładnie o piątej do niewielkiego pokoju, który przydzielono Ashley, wkroczył Len Green, tym razem nie w mundurze, lecz w eleganckich spodniach koloru khaki i brązowej trykotowej koszuli.

- Gotowa?
- Len, mam tu .mój wóz.
- Wiem. Teraz pojedziemy do ciebie, każdy swoim wozem. A do restauracji jedziemy moim, potem cię odwiezę. Wszyscy wiedzą, że kiedy pijesz, nie siadasz za kółkiem. A dzisiaj mamy zamiar wlać w ciebie kilka drinków.
- Nie będę w siebie niczego wlewać, dopóki nie odnajdzie się Karen.
- Nie dzwoniła do ciebie? Ashley, nie panikuj, na pewno się pojawi.
- Cieszę się, że przynajmniej ty jesteś dobrej myśli. Będziesz musiał na mnie poczekać, bo zamierzam przed wyjściem wziąć prysznic. Posiedzisz w barze, dobrze?
- Nie ma sprawy, tylko chodźmy już.

Piątek wieczór. Peter Bordon nadal nieprzytomny.

Chirurg wyliczył drobiazgowo, jakich urazów doznał więzień. Uszkodzona wątroba, trzustka, żołądek i jelita. Bordon stracił nieprawdopodobną ilość krwi, krwotoku wewnętrznego nie udało się zatamować. Zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, ale pacjent i tak ma niewielkie szanse na przeżycie najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Przytomność może odzyskać w każdej chwili, chociaż, równie dobrze, może to w ogóle nie nastąpić.

Jake trwał przy łóżku Bordona.

Przez cały dzień przesłuchiowano więźniów, każdy z nich gorąco zapewniał, że nigdy w życiu nie skrzywdziłby Bordona. Zrewidowano wszystkich, bardzo do-

kładnie przeszukano więzienną stołówkę, narzędzia zbrodni jednak nie znaleziono.

Podczas długich godzin czuwania Jake tylko raz wyszedł na korytarz, żeby skontaktować się z policją Miami-Dade. Nocna zmiana poszła do domu, ale na posterunku był Martin.

- Czyli Bordona praktycznie nadziali na szpikulec, a on i tak żyje! Twarda sztuka... - powiedział Martin, a Jake doskonale mógł sobie wyobrazić, jak jego partner kręci teraz głową nad marnością tego świata.

Martin przekazał Jake'owi, że Skip zdążył już zbadać odciski palców znalezione na „Gwendolyn”. Znalazł odciski Jake'a, Martina, Nicka, Ashley i jeszcze kilku innych osób, których obecność na łodzi była absolutnie usprawiedliwiona. Skip zwrócił jednak uwagę, że w niektórych miejscach nie znalazł żadnych odcisków, i właśnie to wydało mu się dziwne. Albo ktoś bardzo starannie zatarł ślady, albo był w rękawiczkach.

Jake poprosił, by Martin dowiedział się, czy Belk wie już coś o katastrofie lotniczej koło Haiti. Martin oddzwonił po dwudziestu minutach, bardzo podekscytowany. Na pokładzie samolotu znajdowało się osiemdziesięciu ośmiu pasażerów. Z oceanu, oprócz ciał załogi, wydobyto ciała osiemdziesięciu pasażerów. Ciało Johna Masta nie zidentyfikowano. Uznano jednak, że to niemożliwe, aby ktokolwiek przeżył katastrofę.

- A ja czuję, że on przeżył - powiedział Jake.

- Możliwe. Jake, zostaniesz tam, dopóki Bordon nie umrze?

- Tak.

Jake rozłączył się, prawie natychmiast uzmysławiając sobie, że nie uczulił Martina, aby informacje dotyczące Johna Masta przekazał dalej. Zadzwoił więc sam, najpierw do kapitana Blake'a, potem do Ethana Franklina z FBI. Franklin obiecał, że natychmiast zajmie się tą sprawą.

W pokoju Bordona Jake zastał księdza pogrążonego w modlitwie. Ksiądz powiedział Jake'owi, że Bordon regularnie uczestniczył w nabożeństwach.

- Niech pan się za niego pomodli, detektywie. On w ciągu ostatnich miesięcy odnalazł w sobie miłość do Boga.

Jake w milczeniu skinął głową. Modlił się nieustannie, ale nie o zbawienie duszy Petera Bordona. Modlił się, żeby ten człowiek zdążył jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań.

Dochodziła siódma, ani Jan, ani Karen nie dołączyły jeszcze do rozbawionego towarzystwa. Ashley czuła, że dłużej nie wytrzyma. Przeprosiła wszystkich, wstała od stolika i wyszła na dwór. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, zapatrzona przed siebie, w jasno oświetloną ulicę.

Nagle drgnęła. Ktoś podchodził z tyłu, stanowczo zbyt cicho. Odwróciła się szybko i spojrzała prosto w miłą, uśmiechniętą twarz Lena Greena.

Nagle ją olśniło.

- Len! Ty wiesz, gdzie jest Karen! Na pewno! Przedwczoraj odwoziłeś ją do domu, a wczoraj przyjechałeś tam za mną. Szpiegowałeś mnie, bo bałeś się, że coś odkryję!

Prawie krzyczała. Kilka osób, zmierzających do restauracji, zaczęło zerkać na nią z ciekawością. Ktoś nawet przystanął. Ściszyła więc głos prawie do szeptu.

- A w domu Karen dotykałeś wszystkiego jak leci. Teraz rozumiem dlaczego. Jeśli podczas przeszukania znajdą tam twoje odciski, nie wzbudzi to żadnych podejrzeń. Powiedz mi, u diabła, gdzie ona jest?! Słyszysz? A jeśli zrobiłeś jej coś złego, jesteś gnojem, parszywym gnojem!

Znów poczuła za plecami czyjąś obecność. Ktoś dotknął jej ramienia.

- Ashley, to ja, Karen.

Dochodziła dziewiąta; Bordon nadal nie odzyskał przytomności. Do pokoju wszedł cicho doktor Matthews, sprawdził kroplówkę, zapisał coś w karcie. Potem zajrzał naczelnik więzienia Thompson.

- Detektywie, może pan pójdzie do hotelu i prześpi się chociaż parę godzin. Gdyby coś się działo, natychmiast zadzwonimy.

- Nie. Zanim tu wrócę, może być już za późno.

Trwał na tym twardym krześle, choć to była męka. Na próżno usiłował usadowić się w miarę wygodnie. Jake Dileccio miał za sobą nie jedną nieprzespaną noc, ta jednak wydawała mu się wyjątkowo długa i przykra. Bo wczorajszej nocy...

Zanim o świcie wyruszył w drogę, spał we własnym łóżku, a obok leżała Ashley. Jej rude włosy łaskotały go w policzek.

Ashley, rudowłosa Ashley, która nagle wznieciła ogień w jego życiu. Zbyt wiele zaczęła dla niego znaczyć, dlatego się o nią martwił. Niepotrzebnie, bo przecież postanowiła go rzucić.

Wstał, przeciągnął się, skinał głową strażnikowi i wyszedł na korytarz. Już późno, ale Carnegie, stary gliniarz, na pewno natychmiast odbierze telefon.

- No i jak tam? Siedzisz nad robotą? - spytał Jake.

- Ja? Słyszałem, że to ty przez cały dzień warujesz przy tym Bordonie. Żyje jeszcze?

- Jeszcze oddycha.

- Może marnujesz czas.

- Może.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Lekarze mówią, że Fresia chyba dojdzie do siebie.

- Wspaniale. Czy Ashley Montague już o tym wie?

- Natan Fresia dzwonił do niej. Niestety, parę innych osób też zdążyło się o tym dowiedzieć. W każdym razie pilnujemy chłopaka dzień i noc. Aha, i mam nakaz aresztowania tego niby Dawida Whartona.

- Ja też coś dla ciebie mam, Carnegie. Szkoda, że nie mogę ci tego teraz tego pokazać. To szkic przedstawiający wypadek Fresii. Na rysunku widać dokładnie jakiegoś człowieka, który stoi na poboczu drogi. Ubrany w czarny płaszcz z kapturem.

- Jak mówisz? Czarny płaszcz z kapturem? Jake, przecież wiem, tak ubierali się członkowie sekty Bordona, ci zwariowani Ludzie Zasad!

- Zgadza się. I wiesz, co myślę, Carnegie? Że jeden z członków sekty, rzekomo martwy, spa-

ceruje sobie po ulicach Miami. Ten człowiek nazywa się John Mast. Przypuszczano, że zginął w katastrofie lotniczej, jego ciała jednak nie odnaleziono. Według mnie on teraz nazywa się... Dawid Wharton.

- Czyli co? Myślisz, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane? Ale jak? Tamte denatki miały poderżnięte gardła, Fresię potracił samochód.

- Nie wiem, jak to połączyć, ale myślę, że przecucie mnie nie myli. Może Bordon odzyska przytomność i powie coś ważnego. Kiedy wrócę, poruszę niebo i ziemię, żeby odnaleźć Johna Masta, żywego albo martwego.

Jake wrócił do pokoju, usiadł na krześle i dalej patrzył, jak umiera Bordon. Kiedyś myślał, że patrząc na powolne umieranie tego człowieka, odczuje triumf. A teraz... teraz się modlił, by Bordon przeżył.

Niezależnie od faktu, że Ashley czuła się jak idiotka, cała impreza okazała się bardzo udana. Zjawili się wszyscy kadeci z jej kursu, każdy wznosił toast na jej cześć. Wszyscy gratulowali jej talentu i życzyli wielu sukcesów w nowym miejscu pracy.

Naturalnie, zamierzała usiąść jak najdalej od Lena, on, niestety, opadł na krzesło obok Karen, usadowionej z kolei obok Ashley. Jan zajęła miejsce naprzeciwko, wołając przez stół, że przeprasza ogromnie, ale były korki, w ogóle kłopot z dojazdem i dlatego nie przekazała wcześniej radosnej wieści, że z Karen wszystko w porządku.

W rezultacie sprawę wyjaśniono sobie przy stole.

Ashley wystąpiła z kategorycznym żądaniem:

- Może w końcu łaskawie powiesz, Karen, gdzie ukrywałaś się przez dwa dni?!

- Ciszej - syknęła Karen. - Czemu tak krzyczysz? Nie musi o tym wiedzieć cała restauracja.

- Co takiego? Czy zdajesz sobie sprawę, że ja zeszkrobałam plamki z twojej wanny i dałam do zbadania? I okazało się, że to twoja krew?!

- Jezu! - jęknął Len. - Teraz do mnie dotarło. Przecież ja o mały włos nie spędziłem nocy w pudle!

- Nie, Len - oświadczyła Karen. - Powiedziałybyś wtedy prawdę. Przecież ty wiedziałaś, co się dzieje.

- Wiedział! Ł nie powiedział! - wrzeszczała Ashley. — To gdzie ty w końcu byłaś?

- Odessali mi... tłuszc.

- Co?!

- Mój tyłek nigdy mi się nie podobał, dobrze o tym wiesz. Nie powiedziałam żadnej z was, zaraz palnęłybyście mi kazanie, że chirurgia plastyczna to idiotyzm i jest niebezpieczna, a ja przesadzam.

- Dobrze, dobrze... Ale to robi się ambulatoryjnie. Dlaczego wczoraj wieczorem nie było cię w domu?

- Wróciłam do domu, ale bardzo późno. Do nikogo nie dzwoniłam, byłam ogłupiała od tabletek przeciwbólowych. Nafaszerowałam się nimi porządnie, nie powiem, żebym po tym wszystkim czuła się komfortowo.

- Ja jednak nadal nie rozumiem, dlaczego zwierzyłaś się właśnie Lenowi!

- Jemu też nie miałam zamiaru o tym mówić, ale...
- Karen spojrzała na Lena, uśmiechnęła się czule.
- Jakoś tak samo wyszło. Nie spodziewałam się, że z tego wyniknie taka afera, następnym razem dam ogłoszenie do gazety. Ale poważnie mówiąc, jestem wzruszona, dziewczyny, że niepokoiłyście się o mnie.

- Przestań się podlizywać, ty odtłuszczony potworze - zawołała wesoło Jan. - A teraz, uwaga! Temat wyczerpany. Bawimy się!

Ashley nie żałowała sobie drinków. A co tam! Świat jest piękny. Stuart dochodzi do siebie, Karen się znalazła, wszystko jest cudownie...

Nie, nie wszystko. Wśród rozbawionego towarzystwa Ashley czuła się samotna, piekielnie samotna. Może dlatego, że nigdy przedtem nie przekonała się, czym może być udany, pełen namiętności związek. Dopóki nie poznała Jake'a Dilessia...

Mówił, że wróci dziś wieczorem. Nie wrócił. Wiedziała dlaczego, kadeci przekazali jej nowinę. W więzieniu federalnym wybuchły zamieszki, Bordona pchnięto nożem. Umierał, a Jake siedział przy nim już kilka godzin.

Sączyła swego drinka, zerkając na Karen i Lena. Śmiali się, wesoło paplali. A kiedy spoglądali na siebie, oczy obojga lśniły jak gwiazdy. Z powodu zabiegu Karen prawdopodobnie na jakiś czas będzie musiała ograniczyć swoje życie intymne, ale wygląda na to, że tej nocy, kiedy Len odwiózł Karen do domu, nie zmarnowała ani minuty. Teraz jego ramię spoczywało na oparciu krzesła Karen, i był to wielce wymowny gest.

Czas mijał szybko, wesoły wieczór dobiegał końca. Ashley, szczęśliwa, że widzi Karen całą i zdrową, dopiero teraz przypomniała sobie o Dawidzie Whartonie. Choć bardzo nalegał na spotkanie, nie pojawił się w restauracji. Trudno, widać nie miał nic ważnego do przekazania. Wszyscy zaczęli powoli wstawać od stołu. Ashley zamierzała zabrać się z Jan, bo była pewna, że Len opuści restaurację w towarzystwie Karen. Tak też się stało. Chwyił ją za rękę bardzo zaborczym gestem i poprowadził do drzwi.

- Porażające - mruknęła Jan i ziewnęła szeroko.
- Ashley, zbieramy się.

Pomachały tym, którzy jeszcze zdecydowali się zostać, wzięły się pod rękę i wymaszerowały na dwór. Prosto w objęcia Dawida Whartona.

- Cześć! Co to, już po przyjęciu? Przepraszam, spóźniłem się.

Ashley przedstawiła go Jan, która, jak się zdawało, spojrzała na niego z wielką aprobatą, potem jeszcze kilku znajomym wychodzącym z restauracji.

- Ashley? A co z twoją przyjaciółką, odnalazła się? - spytał Dawid.

- Tak. Wszystko w porządku.

- Co się z nią działo?

- O, to długa historia. Ona... - zaczęła Ashley, mając zamiar wyjaśnić wszystko oględnie, ale Jan nie dała jej dokończyć i wypaliła bez ogródek:

- Odsysanie tłuszczu, ha, ha!

- Ashley, odwiozę cię - zaproponował półgłosem Dawid. - Pogadamy po drodze.

W oczach Ashley widać było wyraźnie wahanie.

- Bez obaw. Nawet gdybym miał wobec ciebie złe zamiary, za dużo tu świadków, co najmniej pół tuzina przysięgłych gliniarzy.

- Faktycznie. Jan! Masz mnie z głowy, jadę z Dawidem.

- Trudno! No to bywaj!

Jan objęła przyjaciółkę, pomachała wszystkim, a Dawid poprowadził Ashley do swego wozu.

- Co się dzieje? - spytała, kiedy tylko wsiedli do środka.

- Dużo się dzieje. O tym, że stan Stuarta się poprawia, już wiesz?

- Tak. A ty jak się dowiedziałeś?

- Mam swoje źródło informacji. A o tym, że Bordona poharatali nożem podczas zadymy w więzieniu, też już słyszałaś?

- Też. Tylko co to ma wspólnego ze Stuartem?

Dawid milczał, wpatrzony w drogę, konkretnie w samochód, który wpychał mu się dosłownie przed maskę.

- Debil... Ashley, pogadamy spokojnie, jak dojedziemy na miejsce. Masz już te informacje o posiadłości Kaleba?

- Niestety, jeszcze nie. Kiedy wpadłam do domu po pracy, Sharon jeszcze nie było. Ale rano obiecała, że kopie dokumentów będą czekały w moim pokoju.

- Dobrze. Rzucę na nie okiem, a potem ci wyjaśnię, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dawid, twoja tajemniczość zaczyna działać mi na nerwy.

- Cierpliwości.

Dojeżdżali już przed restauracją, jak zwykle w piątek wypełnioną po brzegi.

- Lepiej, żeby nikt mnie widział - mruknął Dawid.

- Dobrze, wejdziemy bocznym wejściem, wtedy ewentualnie natkniemy się tylko na Nicka albo Sharon. A czego się obawiasz?

- Wszyscy wiedzą, że przychodzi tu mnóstwo gliniarzy. A ja jestem u nich spalony.

Na łóżku w pokoju Ashley, zgodnie z obietnicą Sharon, leżała teczka z dokumentami. Dawid pierwszy sięgnął po teczkę, jego uwadze umknął fakt, że pod nią leżała jeszcze jedna teczka, którą sekundę potem chwyciła Ashley.

- No proszę... - mruknął, jakby zdumiony. — Czyli kupującym był faktycznie Kaleb Harrison.

W tym czasie Ashley studiowała zawartość drugiej teczki. I musiała wyczytać coś ważnego, bo nagle drgnęła, uniosła głowę i utkwiała spojrzenie w Dawidzie.

- Cos się stało, Ashley?

- Tu sukinsynu! Przecież ty masz posiadłość zaraz obok!

Dawid spojrział jakoś dziwnie. Ashley zerwała się z łóżka, do drzwi jednak nic zdążyła dopaść. Ręce Dawida osadziły ją w miejscu, jedna z dłoni zasłoniła usta już otwarte do krzyku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Północ. Jake drzemał, budził się i znów zapadał w drzemkę. Za każdym razem, kiedy się budził, zmieniał pozycję. Niestety, mięśnie były już tak zeszywniałe, że nic nie pomagało.

Bordon nadal kurczowo trzymał się życia.

Wpół do pierwszej. Jake na chwileczkę wyszedł na korytarz rozprostować kości. Za każdym razem, kiedy to robił, ogarniał go strach. Bordon może ocknąć się w każdej chwili, tylko na kilka sekund, i to właśnie wtedy, kiedy Jake'a nie będzie przy jego łóżku. Jake podczas tych długich godzin czuwania, rozmyślając i spekulując, nabierał coraz większego przekonania, że zdarzenia, z pozoru nie mające ze sobą nic wspólnego, stanowią klucz do rozwiązania wszystkich dręczących go zagadek.

Wyciągnął komórkę i zadzwonił do restauracji „U Nicka”. Był bardzo zadowolony, że telefon odebrał sam Nick.

- Nick, to ja. Jake Dileccio.
- Tak? - Króciutkie słowo wypowiedziane zostało niezwykle czujnie. Fakt, Ashley miała dwadzieścia pięć lat, ale Nick zachowywał się jak nadopiekuńczy tatuś. - Chcesz rozmawiać z Ashley, Jake? Możesz zadzwonić do niej na komórkę, na pewno masz numer.
- Nie o to chodzi, Nick. Chciałem się tylko upewnić, czy ona jest w domu.
- Jest w domu. Wróciła jakieś dwadzieścia minut temu, oblewała ze znajomymi nową posadę. Słyszałem, jak wchodziła. Wystarczy?
- Nick, wysłuchaj mnie spokojnie. Jstcm teraz w głębi stanu...
- Słyszałem. O tym Bordonie trąbią w wiadomościach przez cały dzień. Mówią, że jego stan jest krytyczny.
- On umiera. Siedzę przy nim, bo mam nadzieję, że zdąży mi jeszcze coś powiedzieć.
- Rozumiem. A co z tą kobietą, której ciało znaleźliście ostatnio? Myślisz, że to zabójstwo naprawdę zlecił Bordon?
- Tak mi się wydawało, ale teraz nic wiem. Jedno jest pewne. Tę zadymę w stołówce więziennej wywołano specjalnie, żeby zabić Bordona. Poza tym jest jeszcze coś. Znalazłem szkic Ashley. Narysowała tamten wypadek, po którym Stuart Fresia wylądował w szpitalu. Na rysunku widać postać człowieka stojącego na poboczu, człowieka ubranego w czarną pelerynę z kapturem, a takie peleryny nosili ludzie z sekty Bordona. Mam pewne podejrzenia co do losów jed-

nego z członków sekty Bordona. Zakładano, że zginął w katastrofie lotniczej, ale chyba jednak przeżył, tylko postarał się o fałszywe papiery. Tymczasem w szpitalu, gdzie leży Stuart Fresia, bez przerwy kręcił się pewien dziennikarz. Carnegie, który prowadzi dochodzenie w sprawie Fresii, sprawdził tego dziennikarza. Okazuje się, że facet podszywa się pod kogoś innego. To może być ten sam, który jakoby zginął w katastrofie lotniczej. Ashley często jeździ do tego szpitala, a poza tym... Wolałem się upewnić, czy ona jest w domu i czy wszystko w porządku.

- Jest w domu, Jake. Jutro rano z nią pogadam. Mam jej to wszystko powtórzyć?

- Tak. I miej na nią oko. A gdyby coś się działo... Podaję ci bezpośredni numer do Carnegiego. Poza tym wiesz, jak skontaktować się z Martinem. Gdybyś nie mógł go złapać... czekaj, podam ci jeszcze kilka nazwisk...

- Moment... Cholera, gdzie jest ten długopis... Sharon! No nie... O, Sandy, masz coś do pisania? Nie... Curtis, a ty? Dzięki. Jake, już piszę.

Nick zanotował nazwiska i numery telefonów, Jake wrócił do izolatki, gdzie leżał Bordon. Chwilę później do pokoju wszedł lekarz. Pochylił się nad Bordonem, uniósł mu powieki, sprawdził puls.

- Jak to wygląda? - spytał Jake.

- Sam pan widzi - mruknął lekarz. - Daję mu jeszcze jakieś dziesięć godzin, nie więcej.

Następny ruch, jaki wykonała Ashley, to nie było

coś, czego nauczyła się w Akademii Policyjnej. Tę wiedzę posiadała, uczęszczając na kursy samoobrony dla kobiet.

Kop do tyłu, z całej siły. Trafiła bez pudła. Dawid puścił ją natychmiast, runął na ziemię i zwinął się w kłębek.

- Oszalałaś?!
- Chwileczkę! To ty zaatakowałeś pierwszy!
- Wcale nie zaatakowałem. Chciałem tylko, żebyś mnie wysłuchała!
- No to mów.
- Teraz nie mogę. Ja umieram.
- Wcale nie umierasz, zaraz przejdzie.
- Nie zniosę tego bólu.
- Nie przesadzaj, ból minie. I radzę po dobroci, jeśli masz coś do powiedzenia, gadaj. Bo inaczej dzwonię zaraz po policję.
- Ty jesteś przecież policjantką!
- Niestety, nie mogę cię wsadzić do pudła. Ale zadzwonię pod 911, na pewno zaraz kogoś przyślą.
- Ashley, proszę!
- Mów!
- Spróbuję. A więc dobrze, ja jestem właścicielem posiadłości sąsiadującej z komuną Kaleba. Tę ziemię kupiliśmy razem ze Stuartem.
- Co?!
- On wpadł na pewien trop i nie chciał, żeby jego nazwisko pojawiło się w jakichkolwiek dokumentach. Dlatego kupiliśmy na moje nazwisko, a Stuart wyłożył pieniądze.

- A po co mu ziemia?

- Chciał śledzić tę komunę.

- Nie mówiłeś mi o tym.

- No nie.

- Jeśli macie coś na tych ludzi, to dlaczego nie zawiadomiliście policji?

Dawid, pojękując cicho, podciągnął się do góry i oparł plecami o łóżko.

- Jeśli policja tam wkroczy i tak niczego nie znajdzie. Tam dzieją się różne rzeczy, ale tylko czasami. Zawsze w nocy.

- Ale co? Powiedz dokładniej.

- Sam nie wiem. Myślę, że Stuart się dowiedział, dlatego nafaszerowali go narkotykami i wypchnęli na tę drogę.

Ashley oparła się o drzwi, rękę skrzyżowała na piersiach. Zastanowiła się chwilę. Głos Dawida brzmiał bardzo pewnie, właściwie trudno mu było nie uwierzyć. Ale...

- Ciekawe. Uważam, że powinieneś zgłosić to policji. Oni przecież mogą zjawić się tam po cichu, zęby nikogo nie spłoszyć...

- Nie. Ashley, ja nie mogę pójść z tym na policję.

- Przez dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem westchnął. - Bo w tym macza palce co najmniej jeden gliniarz.

W piątki tłumek nocnych gości zwykle zaczynał przerzedzać się o wpół do drugiej, o drugiej Nick dawał ostateczny sygnał do odwrotu, ale i tak, zanim

ostatni gość opuścił bar, trwało to jeszcze co najmniej godzinę.

Tej nocy było inaczej. Wpół do drugiej, a nic nie zaczyna się przerzedzać.

Ashley już wróciła, Nick słyszał, jak szła przez dom. Potem dzwonił Jake, a wkrótce potem Sharon oświadczyła, że idzie się położyć. Jest ledwie żywa. Ostatnio często skarżyła się na zmęczenie.

Powinien czuć się bezpiecznie. W okolicy zdarzają się przestępstwa, owszem, ale tu jest spokojnie. Właściciele łodzi nawzajem pilnują swego dobytku, a większość ludzi bywających w barze, to stali klienci.

A jednak rozmowa z Jakiem zaniepokoiła Nicka nie na żarty. Dlatego, dla świętego spokoju, otworzył ukryty za barem sejf, żeby sprawdzić, czy na pewno spoczywa tam służbowy pistolet. Spoczywał.

W barze siedział jeszcze Curtis, razem z Sandym. Z obsługi nikogo, Katie poszła do domu wcześniej.

- Ej, chłopaki, popilnujcie przez chwilę gospodarstwa, dobra?

Najpierw zajrzał do swego pokoju. Sharon w łóżku i wyglądało na to, że słodko spała. Potem zapukał do drzwi Ashley. Zapukał ostrożnie, a drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

- O, Nick! Coś się stało?

- Chciałem tylko się upewnić, że z tobą wszystko w porządku.

- Jasne. Jestem tylko trochę... zmęczona.

Ashley ziewnęła, zielone oczy błyszczały jednak podejrzenie.

- Ile drinków zaliczyłaś?

- Trzy. - Żeby nie było wątpliwości, podetkała mu pod nos trzy palce i roześmiała się. — Trzy, a teraz idę spać.

- Ashley, rano pogadamy.

- Oczywiście.

Ucałował ją w czoło. Ona objęła go i cmoknęła w policzek.

- Dobranoc, moje dziecko. I... karaluchy pod poduchy, a...

- ...szczypawki dla zabawki. Dobranoc, wujku Nicku!

To było bardzo miłe, od lat nie mówili sobie dobranoc w taki właśnie sposób. Ashleyjeszcze raz cmoknęła wuja w policzek i zamknęła drzwi. Wuj nadstawił ucha. Klucz wyraźnie przekreślił się w zamku. Dziwne... Ashley nigdy nie zamykała tych drzwi na klucz.

Dawid dalej siedział na podłodze, ale jego policzki zaczynały już odzyskiwać normalną barwę.

- Dawid, chyba oszalałeś - powiedziała Ashley chłodno. - Dopilnuję osobiście, żeby cię wsadzili do paki.

- Dziewczyno! Czy ty niczego nie kumasz? Oni chcą zabić Stuarta!

- Jak bym nie wiedziała! A ty mi lepiej powiedz, skąd ten pomysł, że w to wszystko wplątany jest jakiś policjant?

- Ja... ja kiedyś przypadkiem podsłuchałem pewną rozmowę. Ale wiem, że i tak nikt mi nie uwierzy.

- Ja też ci nie wierzę,

- Ale dlaczego, Ashley? Posłuchaj, ja wiem, jak bardzo szanujesz zawód policjanta, wiem też, że twój ojciec był policjantem. Owszem, dziewięćdziesiąt procent gliniarzy jest w porządku. Ale, do diabła, to tylko ludzie! A poza tym, czy może być lepszy kamuflaż niż mundur policjanta?

- Niestety, Dawid, nadal nie mam solidnych podstaw, żeby ci uwierzyć.

- No, dobrze, więc powiem więcej. Stuart nie tylko wzięty pod lupę wielki biznes, ale i różne dziwaczne sekty. Chciał się przekonać, czym tak naprawdę zajmują się ci ludzie z farmy.

- Kaleb Harrison mówił mi, że oni nie mają nic wspólnego z żadną religią.

- Z religią może i nie... Ale...

- Przestań kręcić, mów prosto z mostu!

- A więc było tak. Stuart namierzył tę wspólnotę i próbował nawiązać z nią bliższy kontakt. Ktoś go zarekomendował jako faceta, który lubi proste życie i marzy o powrocie do natury. Jeździł do nich, pogadywali sobie i po pewnym czasie Stuart się zorientował, że Kaleb kupił tę posiadłość wcale nie za swoje pieniądze. I nie ma zielonego pojęcia, co tam się dzieje nocą. Dlatego Stuart kupił ziemię obok, na moje nazwisko. Żeby ich obserwować.

- A co tam się dzieje?

- A to, że nocą podpływają jakieś łodzie. Zjawiają się tam niby przypadkiem, nie ma w tym żadnej regularności.

- No i co z tego? Każdy może pływać łódką po kanale. To nie jest niezgodne z prawem.

- Oczywiście. O ile nie wykorzystujesz tej łódki do czegoś, co już jest niezgodne z prawem.

- Konkretnie?

- Dokładnie nie wiem. Marihuana nie. Te paczuski są bardzo małe, a więc raczej heroina. Jestem pewien, że to przemyt na większą skalę, bardzo dobrze zorganizowany. Przywożą towar z Ameryki Południowej, małymi samolotami, takimi, których nie namierzy radar. Dokonują zrzutu nad Everglades. Ktoś odbiera towar i potem go rozprowadza.

- O tym koniecznie trzeba zawiadomić policję.

- I co? Kaleb pokaże policjantom swoje nadzwyczajne pomidory, członkowie wspólnoty opowiedzą, jak miło upływa im życie na wsi i na tym sprawa się zakończy. Niczego nie znajdą, między innymi dlatego, że Harrison sam o niczym nie wie i na pewno nie zadaje swemu dobroczyńcy żadnych pytań, bo i po co? Jemu jest dobrze, nic więcej go nie obchodzi.

- Ale policja...

- Nie wolno wzywać tam policji! Przecież mówiłem ci, że w to na bank wmieszany jest jakiś gliniarz!

- To jak chcesz to rozegrać? Zamierzasz sam wyłapać tych przemytników? Jak?

- Wyłapanie przemytników nic nie da. To tylko płotki, trzeba dorwać tego, który to wszystko zorganizował. Bo to on schwytał Stuarta, nafaszerował go heroiną i wyrzucił na środku drogi międzystanowej.

- A czego konkretnie oczekujesz ode mnie?

- Chcę, żebyśmy razem pomyśleli, jak wydobyć Stuarta ze szpitala, zanim oni go zabiją.

- Zabijają? Przecież pilnują go policjanci, dzień i noc. Poza tym bez przerwy siedzą przy nim rodzice.

- Pilnują go policjanci...

- Dawid, na litość boską, komuś przecież trzeba wierzyć!

- Na to jeszcze za wcześnie. Powtarzam: w to zamieszany jest jakiś gliniarz. Nawet jeśli powiadomisz o tym swoich przełożonych, zawsze może być przeciek. Jak na razie, trzeba działać na własną rękę. Koniecznie dorwać tego, który pociąga za sznurki. Czy ty nie rozumiesz? On nic zrezygnuje, a jeśli ma swojego człowieka w policji, to dni Stuarta są policzone... Ej, co tam...

Dawid wstał z podłogi i na palcach podszedł do drzwi prowadzących na nabrzeże.

- Tam ktoś jest - szepnął.

- Dawid, to jest bar i restauracja, z piątku na sobotę kręci się tu mnóstwo ludzi.

- Ktoś podsłuchiwał.

- Dobrze. Wychodzimy, trzeba to sprawdzić. W końcu w barze na pewno siedzi jeszcze paru gliniarzy.

- Żadnych gliniarzy.

- W porządku. W takim razie idę po mojego wuja Nicka.

Ashley zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom prowadzącym w głąb domu.

- Nic - syknął Dawid, łapiąc ją za ramię. - Po-

czekaj, Ashley. Ja spadam. Ty i wuj sami wszystko sprawdzicie. Ale pamiętaj, zanim pójdziesz spać, zamknij drzwi.

- Dawid, spokojnie. Poczekaaj, najpierw upewnij się, że nikt tu się nie czai. Nick potrafi strzelać, służył w armii. Weźmie swój służbowy pistolet i razem obejdziemy teren.

- Dobrze, Ashley. Tylko błagam, pamiętaj, nikomu ani słowa! Zrozum, tu chodzi o życie Stuarta. Umówmy się tak. Ja spróbuję jeszcze czegoś się dowiedzieć, daj mi jeden dzień. Jeśli mi się nie uda, trudno, idź z tym wtedy do kogoś, do kogo masz zaufanie.

- W porządku, Dawid. Siedz tutaj, ja idę po Nicka.

Wyszła do salonu, zastanawiając się w duchu, czy postąpiła słusznie, godząc się na dzień zwłoki, o który prosił Dawid. Trudno, chyba nie popełniła błędu. W głębi duszy była przekonana, że Dawid nie kłamał. Na pewno wierzył święcie w swoją wersję. A ten skorumpowany policjant... Cóż, to się niestety zdarza.

W barze siedziało jeszcze kilka osób, dopijając swoje drinki.

- Ashley? To ty jeszcze nie śpisz? - spytał zdumiony wuj.

- Nick, możemy się przejść dookoła domu? Zdawało mi się, że słyszałam jakiś hałas.

- Czy ty przypadkiem nie przesadzasz?

- Proszę, Nick.

Otworzył sejf i wyjął pistolet. Rękę z bronią przycisnął do boku, żeby nie wzbudzać sensacji, i wyszedł razem z Ashley na taras. Ramię w ramię

obeszli cały teren, stwierdzając zgodnie, że wszystko jest w porządku.

- Co dokładnie słyszałaś?

- Coś tak dziwnie zaszeleściło... Przepraszam, Nick, że zawracałam ci głowę.

- Ty mi nigdy nie zawracasz głowy, dziecko.

Doszli do drzwi Ashley. Nick przekręcił gałkę klamki, drzwi same się otworzyły, I Ashley już wiedziała. Dawid umknął, w sumie nic dziwnego, tego właśnie powinna się była spodziewać.

- Ashley? To jak to w końcu jest? Bałaś się, że ktoś tu się kręci, a zostawiłaś otwarte drzwi?

Ostrożnie wszedł do środka, dał znak ręką, żeby Ashley pozostała z tyłu. Sprawdził pokój, łazienkę, garderobę. Zajrzał nawet pod łóżko.

- Nikogo. Tylko kłęby kurzu - oświadczył.

Ashley skrzywiła się zabawnie.

- Dobrze, dobrze, odkurzę.

- Obejdę cały dom.

- Idę z tobą.

- Nie trzeba. Mam broń, poza tym W barze siedzi jeszcze ze czterech policjantów. Zostań tutaj, tylko pozamykaj wszystko porządnie.

- Nie. Ja i tak nie zasnę, dopóki razem z tobą nie sprawdzę całego domu.

Nick westchnął.

- No dobrze. Chodź.

Powoli obeszli cały dom, sprawdzając każdą szafę, każdy zakamarek. Nick zajrzał nawet pod własne łóżko, budząc przy okazji Sharon.

- Coś się stało? - spytała, spoglądając nieprzytomnym wzrokiem.

- Nic, nic. Śpij, skarbie, śpij.

Sharon posłała mu coś w rodzaju półuśmiechu, pełnego jednak czułości, i natychmiast zamknęła oczy.

- Ashley, sama widzisz, wszystko w porządku.

- Dzięki.

Uściskała go i prawie biegiem wróciła do swego pokoju. A w głowie aż kłębiło się od niespokojnych myśli. Dawid przekazał jej ważne informacje, więc powinna natychmiast, tak jak uczono ją w akademii, zawiadomić zwierzchników.

A jednak... Instynkt podpowiadał, że lepiej będzie z tym poczekać. A teraz, choć był już środek nocy, powinna do kogoś zadzwonić.

Wybrała numer Natana. Poinformował ją, że Lucy ma się dobrze i za kilka godzin będzie mogła odwiedzić Stuarta.

- Natan, może to dziwnie zabrzmie, ale proszę, nie zostawiajcie Stuarta ani na sekundę, zawsze musi być przy nim któreś z was. Niezależnie od tego, że pilnują go policjanci.

- Co się dzieje, Ashley?

- A to, że... nie wszyscy kochają Stuarta jak ty i Lucy.

- W porządku, masz to jak w banku.

- Chwała Bogu. Przyjadę jutro.

- Cieszę się. Może jutro Stuart odzyska przytomność? Wierzę, że wszystko idzie ku dobremu. Modłę się przez cały czas...

- Ja też, Natan. Dobranoc, jutro się zobaczymy.

Mary Simmons uwielbiała piec rano chleb. Wyrabiała ciasto, a przy okazji mogła porozmyślać o całym bożym świecie i o spokoju duszy, który, miała nadzieję, kiedyś odnajdzie. A tutaj, wśród ludzi w pomarańczowych szatach, wiodła dobre życie. No i naprawdę spokojne. I zawsze, kiedy pracowała, modliła się gorąco.

- Mary?

Do kuchni zajrzał Ross, jeden z młodszych członków zgromadzenia Hare Kriszna.

- Masz gościa, Mary. Mówi, że to bardzo pilne.
- Policjant?
- Nie....

Zza pleców Rossa wyjrzała twarz niezapowiedzianego gościa. Mary spojrzała w tę twarz i poczuła, że cała krew spływa jej do nóg.

- Mary?

- Nic, nic... Wszystko w porządku, Ross.

- Mary? Czy mógłbym zamienić z tobą kilka słów na osobności? - spytał przybysz.

- Tak, naturalnie. Ross, przepraszam...

Ross skinął głową, spojrzał jeszcze raz czujnie i wyszedł z kuchni.

- John! To ty...

Rzucił się do niej, przykląkł, ujął w ręce jej dłoń.

- Mary, moja kochana Mary. Wybacz, że zakłócam ci spokój. Bo ty znalazłaś tu ukojenie, prawda?

- Myślę, że tak - szepnęła wzruszona, delikatnie

przesuwając palcami po jego włosach. - John, ty żyjesz, ty naprawdę żyjesz...

- Tak, Mary. Ale otarłem się o śmierć. Potem doszedłem do wniosku, że lepiej, aby świat uwierzył w moją śmierć. A teraz... Mary, przyszedłem prosić cię o pomoc.

- Mnie?

- Tak, potrzebuję cię. Zrozum, jestem już blisko, bardzo blisko. Zamierzam dopaść tych drani, którzy omal nie zrujnowali nam życia. Musisz mi pomóc, Mary. Chyba chcesz, żeby tym łajdakom wymierzono sprawiedliwość?

- Naturalnie, że chcę, ale boję się. Jeśli poprosisz o coś niezgodnego z prawem, chyba odmówię. Przeraża mnie sama myśl o więzieniu.

John wstał i spojrzał głęboko w niebieskie oczy Mary.

- Tak. To będzie niezgodne z prawem, ale to jedyne wyjście.

Mary westchnęła, przymknęła oczy. Po sekundzie otworzyła je i jednym zdecydowanym ruchem ściągnęła fartuch.

- Masz samochód?

Po twarzy Johna przemknął łobuzerski uśmiech.

- Coś o wiele lepszego niż zwykły samochód.

- Odnalazłem w moim sercu... Boga...

Jake poderwał głowę. W pierwszej chwili pomyślał, że ten słaby, ledwo słyszalny głos usłyszał we śnie. Peter Bordon leżał nieruchomo, miał zamknięte oczy, lecz sine usta poruszały się z wielkim wysiłkiem.

- Odnalazłem Boga. Odnalazłem Boga.

Jake pochylił się, by lepiej słyszeć. Oczy Bordona były szeroko otwarte, ale już nic nie widziały.

Nagle krzyknął:

- Odnalazłem Boga! Panie! Ale czy Ty odnalazłeś mnie?! Czy Ty mi przebaczysz?

Jake spojrzał na doktora, ten nieznacznie wzruszył ramionami.

- On umiera - powiedział półgłosem. - Jest nieprzytomny, majaczy. Prawdopodobnie niczego pan nie osiągnie. Ale niech pan próbuje...

Jakc pochylił się nisko nad umierającym.

- Peter, to ja, Jake Dileccio. Chciałeś ze mną mówić.

Sine usta drgnęły.

- Jakc...

Poruszył głową, próbując spojrzeć Jake'owi w twarz. Ale nawet na to brakowało mu już sił.

- Boli... - szepnął. - Nie mogę myśleć. Bóg... Mówią, że Bóg wybacza wszystkim.

- Peter, musisz mi pomóc.

- Ja... ja nie zabijałem, Jake, nigdy, ale wiedziałem...

- A kto zabijał? Trzeba go powstrzymać. Peter, w imię tego Boga, którego odnalazłeś, powiedz nam, pomóż.

- Jak boli. Kiedy wreszcie ten ból się skończy... O, Panie, weź mnie, weź mnie już do siebie...

- Peter, Peter! Pomóż nam...

Bordon z wielkim wysiłkiem przełknął ślinę. Znów

próbował spojrzeć na Jake'a, tym *razem* prawie mu się to udało. W wyblakłych, pełnych cierpienia oczach Jake dojrzał łzy.

- Twój partner, Jake... twoja partnerka, Nancy, przyszła do mnie. Ja jej nie znałem. Była ze mną... ale ja jej nie zabiłem, nie, choć wiedziałem o tym...

- Peter, wierzę w twoją skruchę. Pomóż mi, potrzebuję nazwisk. A więc Nancy przyjechała do ciebie, nie poznałeś jej, bo ona nigdy przedtem nie była ze mną w twojej posiadłości. Ktoś jednak zorientował się, kim ona jest i ten ktoś... Peter, kto to był? Peter, błagam...

Usta Bordona poruszyły się, wymamrotał coś niewyraźnie.

- Co? Peter, na litość boską, co?

- Była piękna... Twoja partnerka. Taka piękna, powiedziałem jej, że jest mi bardzo przykro.

- Peter, ja wiem, że ty teraz wszystkiego żałujesz. Dlatego pomóż mi złapać mordercę. Tego, który zabił i Nancy, i ciebie.

Umierający jakby drgnął. Nagle znów krzyknął;

- Policjanci!

- Peter, błagam, nazwisko! Pomóż, żeby inni ludzie nie musieli umierać.

- Jake, ja naprawdę nie chciałem, żeby twoja partnerka... a on mi ciągle mówił, że mnie zabije, jeśli... I zabił...

Usta Bordona poruszały się jeszcze, ale nie wydobywał się z nich już żaden dźwięk.

Po chwili usta znieruchomiały.

Doktor Matthews podszedł do łóżka, nachylił się i zamknął Bordonowi oczy.

- Przykro mi, detektywie Dileasio, niczego pan już z niego nie wydobędzie. Ludzka sprawiedliwość go nie dosięgnie. Umarł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zaraz po otwarciu restauracji Katie wezwała Nicka do telefonu. Dzwoniła Sharon. Nick chwycił za słuchawkę, usłyszał najpierw cichutkie i trochę żałosne westchnienie.

- Och, Nick...
- Witaj, skarbie! Coś się stało?
- Nick, musisz natychmiast tu przyjechać. Chcę z tobą porozmawiać.
- Sharon, przed chwilą otworzyliśmy. Jest pełno ludzi, dziś sobota....
- Ale ja bardzo proszę.
- Powiedz, stało się coś niedobrego?
- Nie, nie... ale to rozmowa nie na telefon.

Sharon zachowywała się ostatnio trochę dziwnie, fakt. Może dlatego ten telefon nie zaskoczył zbytnio Nicka. Nick rozejrzył się. No cóż.... Ludzi już pełno, choć dopiero przed chwilą otworzyli. Ale jest cały

personel, Ashley odsypia wczorajszy wieczór, w razie czego Katie na pewno ją obudzi.

- Nick, proszę - dobiegał błagalny głos ze słuchawki. - Boję się tej rozmowy z tobą, ale muszę to z siebie wyrzucić, po prostu muszę. Niezależnie od tego, co potem się stanie.

- Dobrze, Sharon, dobrze, skoro tak bardzo ci na tym zależy. Zaraz tam będę. Powiedz tylko, dokąd mam jechać.

Gdy Sharon podała adres, Nick jeszcze zapytał:

- A co to za miejsce, skarbie?
- Zobaczysz. Tylko przyjedź jak najprędzej.

- Jesteś szalony, po prostu szalony - mówiła zdenerwowanym głosem Mary, zerkając trwożliwie na boki. - Szpital jest pełen ludzi, teraz muszą być tu setki odwiedzających.

-I bardzo dobrze. Nam potrzebne są te tłumy.

John Mast poprawił maskę ochronną, którą ukradł ze szpitalnego magazynku i spojrzał uważnie na Mary, utykającą włosy pod czepkiem pielęgniarki. Bardzo dobrze. Nic nie powinno zwracać uwagi. Czepek, fartuch, nad maską piękne, błękitne oczy, ich spojrzenie, mimo zdenerwowania Mary, bezosobowe, enigmatyczne.

Jego również nikt nie rozpozna. Oczy Johna dzięki szkłom kontaktowym zmieniły barwę. Gęste, szpakowate brwi było bardzo łatwo przykleić, a dodawały co najmniej dwadzieścia lat.

- Jesteś szalony.

- Nie, Mary. Jestem zdesperowany. Idziemy, czas zacząć przedstawienie.

Około drugiej Jake był już w drodze do domu. Wykończony. Po przejechaniu pierwszej setki wstąpił na kawę do przydrożnego barku. Chwilę posiedział nad filiżanką, przetrawiając informacje, które udało mu się wydobyć z Bordona. Widział, co dzieje się wokół. Patrzył na niekończący się sznur samochodów, ale myślał tylko o ostatnich słowach Bordona.

Przed wjazdem na autostradę zjechał na parking, poszedł kupić kanapkę i jeszcze jedną kawę i natychmiast wrócił do samochodu. Chciał być w domu jak najszybciej. Coś go gnało, nie pozwalało odprężyć się. Był rozczarowany, przybity. Bordon nie poda! żadnych nazwisk, tylko przyznał, że wiedział o morderstwach. Czyli w sumie jego wyznanie nie było niespodzianką. Mało tego, Jake dotychczas wierzył, że Bordon zlecał morderstwa, teraz miał co do tego spore wątpliwości.

Bordona zamordowano. Służby więzienne na pewno ustalą, kto rozpoczął awanturę w stołówce, ale to wymaga czasu. A Jake nie mógł dłużej czekać.

Peter Bordon był z Nancy Lassiter, to z nim Nancy poszła do łóżka tamtej ostatniej nocy. Wpadła na jakiś trop, chciała go sprawdzić, dlatego poszła na całość, żeby się nie zdekonspirować. Jake domyślał się, co przedtem musiało dziać się w jej duszy. Dylemat moralny... Ale cóż, Nancy Lassiter była świetną policjantką.

Nie zdawała sobie sprawy, że idzie na śmierć.

Wsiadł do samochodu, wsadził kubek z kawą do uchwytu i sięgnął po notatnik leżący na fotelu obok. Przerzucił kilka kartek. Notatki, notatki, rysunek Ashley przedstawiający wypadek. Ten rysunek, który utwierdził Jake'a w przekonaniu, że powinien przyrzec się sprawie Stuarta Fresii.

Dwie kartki zlepiły się. Rozdzielił je ostrożnie. Znowu rysunek. Męska twarz.

Serce Jake'a zabiło jak szalone. Dawid Wharton, a wszystko wskazuje, że tak naprawdę to John Mast. John Mast przeżył. Czatował w szpitalu, tuż pod pokojem Stuarta i kilkakrotnie podsuwał policji fałszywy trop.

Jake czuł na czole krople zimnego potu. Szybko wyciągnął komórkę. Najpierw zadzwonił do Ashley. Nie odebrała, więc nagrał wiadomość: „Ashley, gdziekolwiek jesteś, trzymaj się z daleka od Dawida Whartona. Rozumiesz? Podejrzewam, że ten człowiek zamieszany jest w morderstwa czterech kobiet i prawdopodobnie zagraża twemu przyjacielowi. Ja jestem już w drodze do domu”.

Teraz zadzwonił do baru. Do telefonu podeszła Katie. Nicka nie ma, Katie nie ma pojęcia, dokąd pojechał. Natomiast Ashley jakąś godzinę temu pojechała do szpitala.

Próbował połączyć się ze szpitalem. Automat kazał wybierać kolejne numery, trwało to całą wieczność. Jake zaklął siarczyście, rozłączył się i wybrał numer Carrtegiego.

- Carnegie, jestem pewien, że Dawid Wharton to

John Mast, dawny członek sekty. Niby zginął, ale on żyje. 1 posłuchaj, Ashley ostatnio coś często rozmawiała z tym Whartonem. Proszę, jedź do szpitala, ostrzeż ją. Koniecznie. Tego gościa trzeba jak najszybciej dopaść.

Nie przejechał nawet trzydziestu kilometrów, gdy zadzwonił telefon. Carnegie mówił gorączkowo:

- Jake, jestem w szpitalu. Wyobraź sobie, lekarze są przekonani, że Frisia wyjdzie z tej śpiączki. Niestety, nadal jest nieprzytomny. Dlatego teraz zabrali go na jakieś badania, chyba tomografię komputerową. W każdym razie uważają, że już tej nocy będzie można z nim się porozumieć.

- Gdzie jest Ashley Montague?

- Była tu, jeszcze kilka minut temu. Teraz wyszła, powiedziała, że chce posiedzieć razem z rodzicami Fresii, kiedy będzie robione to badanie.

- Powiedziałaś jej to, o co prosiłem?

- Oczywiście. Obiecała, że zostanie w szpitalu, dopóki ty się tu nie zjawisz.

- Pilnuj jej, Carnegie. Jej nie wolno ruszyć się ze szpitala nawet na krok.

Rozłączył się, na ekranie komórki zamigotało. Jakaś wiadomość, ktoś nagrał się, kiedy on rozmawiał z Carnegiem.

Ashley. Chłodny głos, ale to nic dziwnego, nie rozstali się w przyjaznej atmosferze.

- Carnegie przekazał mi wiadomość od ciebie, odsłuchiwałam też wiadomości od ciebie. Z Dawidem Whartonem rozmawiałam kilka razy. Podobno uważasz,

że to John Mast. Może i tak, ale wszystko, co mi powiedział, brzmiało dziwnie prawdziwie. Dobrze, Jake, niech ci będzie, na pewno znów pomyślisz, że jestem idiotką bez żadnego doświadczenia, ale powiem ci... On jest przekonany, że w tę sprawę jest zamieszany jakiś gliniarz. Jeden, a może nawet więcej. Już nie wiem, komu ufać. Teraz jestem w szpitalu. Gdybyśmy nie mieli się zobaczyć... Jake, zostawiłam ci coś w tamtym miejscu, gdzie... gdzie było tak mało miejsca. A teraz czekam tutaj.

Jezu... Samochodem zarzuciło. O mały włos nie zjechał na pobocze.

Przecież zapamiętał każde słowo Bordona. Peter krzyczał w malignie coś o policjantach.

Czuł, jak napinają mu się mięśnie. Nie, to niemożliwe, ten Mast wcisnął Ashley kit, ma w tym jakiś cel... A jednak...

Spojrzał na szybkościomierz i jeszcze mocniej docisnął pedał gazu.

John Mast znał szpital lepiej niż własną kieszeń. Bezbłędnie dotarł na odpowiednie piętro i statecznym krokiem, z kartą Stuarta w ręku, podszedł do dyżurki pielęgniarek. Podał im skierowanie z mistrzowsko podrobionym podpisem doktora Ontkeana, potem pewnie podszedł do drzwi, pod którymi warował policjant. Państwo Fresia i Ashley czuwali przy Stuarcie. John uprzejmie przywitał się z policjantem i zasugerował, że powinien towarzyszyć pacjentowi w drodze na badania. Ostrożności nigdy za wiele. Państwo Fresia

mogliby nieco odetchnąć i zejść do kawiarenki na kawę.

Państwo Fresia poszli na kawę, John i Mary pchali łożko ze Stuartem, policjant ubezpieczał, Ashley szła z boku. Wszystko zgodnie z planem, dopóki Ashley w pewnym momencie nie zaczęła zwalniać kroku.

- Chwileczkę - powiedziała. - Do tomografu idzie się inaczej, widziałam na tabliczce. Tomograf jest niedaleko izby przyjęć.

- To jak to jest? - spytał czujnie policjant. - Ona ma rację?

John spojrzał na Mary. Teraz kolej na jej ruch. Pomodlił się w duchu, żeby tylko się nie zająknęła. Nie musiał się modlić, głos Mary był równy i spokojny.

- Państwo rozumieją, w przypadku tego pacjenta należy zachować szczególne środki ostrożności.

- Teraz tędy - powiedział John i spojrzał na policjanta. - Czy mógłby pan tu podejść? Łatwiej będzie manewrować łożkiem.

Policjant podszedł, oparł rękę na poręczu łożka. John spojrzał na Mary. Sięgnęła do kieszeni, po strzykawkę. Jeden błyskawiczny ruch, igła wbiła się w ciało policjanta. Policjant prawie natychmiast osunął się na podłogę. Ashley nic nie zauważyła, bo właśnie odwracała się z posępną miną do Johna.

- Przepraszam, ale wydaje mi się...

Nie dokończyła. Mary sięgnęła do kieszeni po drugą strzykawkę. Znowś szybki, prawie niezauważalny ruch i Ashley osunęła się na podłogę.

- Dobra robota, Mary - powiedział John. - Jesteśmy

już w połowie drogi. Szybko, ładujemy ją na łóżko, twarze trzeba zasłonić prześcieradłem.

~ Dlaczego zasłonić?

- Bo najlepiej wyjść stąd przez kostnicę.

Najpierw pograżyła się we mgle, a umysł z wysiłkiem odtwarzał wszystko, co się zdarzyło, zanim świat nie stał się całkiem czarny. Cały dzień, minuta po minucie. Najpierw obudziła się, wyjątkowo późno. Pod prysznicem była krótko, potem pobiegła poszukać Nicka, żeby zamienić z nim słowo. Nick gdzieś przepadł, a Katie już ledwo trzymała się na nogach. W rezultacie Ashley musiała pomóc Katie, dopóki tłum gości nieco się nie przerzedził. Wtedy pojechała do szpitala. Porozmawiała z rodzicami Stuarta, byli pełni nadziei, szczęśliwi, że stan ich syna ulega poprawie. W szpitalu zjawił się detektyw Carnegie, ostrzegł Ashley przed Dawidem Whartonem. Próbowała dodzwonić się do Jake'a, niestety, mogła tylko zostawić mu wiadomość. Pod drzwiami Stuarta czuwał policjant. Ashley spoglądała na niego podejrzliwie, trudno, nic na to nie mogła poradzić.

Potem przyszło dwóch techników, żeby zabrać Stuarta na tomografię. Bardzo uprzejmi, głosami przytłumionymi przez maski ochronne odpowiadali wyczerpująco na każde pytanie. Sami poprosili, żeby pacjentowi towarzyszył policjant.

A potem nagle zorientowała się, co jest grane. Powinna była wcześniej rozpoznać Whartona, zwłaszcza że Carnegie ją ostrzegął. Rozpoznała, owszem, ale

za późno. Za późno dostrzegła szkła kontaktowe i sztuczne brwi.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest już zupełnie przytomna. Jednak lęk nie pozwalał jej otworzyć oczu. Uniosła powieki dopiero po kilku minutach, bardzo powoli, bardzo ostrożnie.

- Ashley?

Głos dobiegał jakby z bardzo daleka. Głos dobrze znany. Otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Stuart?!

- Tak. To ja.

Kiedy Camegie zadzwonił, Jake'a od szpitala dzieliło mniej niż pięć kilometrów. Słuchał i nie wierząc własnym uszom, wyrzucił z siebie kilka pytań tonem sierżanta prowadzącego musztrę. Nieważne, później za to przeprosi, teraz jak najszybciej chciał dowiedzieć się, co się stało. Dokładnie, od samego początku. A więc przyszli technicy, mieli kartę Stuarta i skierowanie na badanie, podpisane przez właściwą osobę. Pielęgniarki wpuściły ich na oddział, a oni poprosili policjanta, żeby im towarzyszył.

Policjanta znaleziono w starym pokoju zabiegowym. Po silnym środku znieczulającym, jaki mu zaaplikowano, nie doszedł jeszcze całkiem do siebie. Ani Stuarta, ani Ashley Montague nie odnaleziono. W całym szpitalu pełno jest teraz policji, przeszukują wszystkie zakamarki. Jak dotychczas bezskutecznie.

- Jake, jeśli ona jest gdzieś tutaj... jeśli oni tu gdzieś są, na pewno ich znajdziemy.

- Ale ich na pewno już tam nie ma. Carnegie, informuj mnie na bieżąco, co się dzieje.

- Jasne. Porywaczy było dwóch. Jakiś mocno starszy mężczyzna i kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, do czterdziestki. Tak opisała ich pani Fresia, pielęgniarki to potwierdzają. A więc to nie mógł być John Mast.

Jake wcale nie był tego taki pewny, teraz jednak milczał, bo musiał spokojnie pomyśleć, ułożyć plan działania.

- Przyjedziesz tutaj? - spytał Carnegie.

- Nie.

- To znaczy...

- Mam zamiar ich znaleźć.

- Jake, w takim razie to ty. informuj mnie na bieżąco, słyszysz?!

Ashley, nieufna, pełna podejrzeń, szarpnęła się do tyłu. Uderzyła głową o materac. A więc leży na łóżku. A obok... Obok leży Stuart, blady jak ściana. Stu wygląda jak uciekinier z obozu jenieckiego, wycieńczony do granic możliwości. Mimo to uśmiecha się krzywo i pyta elegancko:

- Jak się czujesz?

Ashley, nie odwracając zdumionego wzroku, potrząsnęła tylko głową i spróbowała się podnieść. Jednak gwałtowny zawrót głowy zmusił ją do ponownego przyjęcia pozycji leżącej. W nogach łóżka zauważyła dwoje ludzi. Dawid Wharton, czy raczej John Mast, już bez siwych brwi i szkieł kontaktowych.

Nieznajoma kobieta, bardzo szczupła. Brązowe włosy i wielkie, uduchowione błękitne oczy.

- Co, u diabła, tu się dzieje?

Mimo osłabienia Ashley udało się wydobyć z siebie silny i stanowczy głos.

- Widzicie? Zachowuje się jak prawdziwy gliniarz - odezwał się Stuart szeptem. - Chce nam, zatwardziałym kryminalistom, napędzić stracha.

- Ashley, nie gniewaj się - powiedział John Mast, a nieznajoma kobieta uśmiechnęła się ciepło i przedstawiła: - Witaj! Jestem Mary.

Ashley nie miała teraz głowy do takich wyszukanych uprzejmości.

- Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę z tego, co zrobiliście? Będziecie odpowiadać za porwanie! A ty, ty jesteś John Mast, żaden Dawid Wharton! Podejrzewam, że Wharton w ogóle nigdy nie istniał!

- Ashley, uspokój się - prosił Stuart. - Ja, co prawda, ledwo żyję, ale postaram ci się wszystko wytłumaczyć. My...

- Stuart, lepiej oszczędzaj siły - przerwał mu John. - Ja wszystko wytłumaczę, bo ona, choć ledwo żywa, gotowa rozszarpać mnie na strzępki. Zgadza się, jestem John Mast. Poszedłem do więzienia razem z Bordonem, oskarżono mnie o złe prowadzenie ksiąg. Ja nie uczestniczyłem w tych brudach, ale trzymałem język za zębami. Bordon ostrzegł mnie, powiedział, że lepiej dać się grzecznie zamknąć, odsiedzieć wyrok i milczeć aż po grób. Tylko wtedy uratujemy nasze tyłki. Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja naprawdę nie

wiem, kto zabił te kobiety. **Jednym** z zabójców jest policjant, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Byłem w domu Petera tamtej **nocy**, kiedy przysłała do niego Nancy Lassiter. Widziałem ją przez moment. Byłem pewien, że to jakaś babka, którą poderwał na ulicy. Nie interesowało mnie, co tam się dzieje, siedziałem w moim pokoju. Ale potem, już późno w nocy, słyszałem, jak ktoś jeszcze przyszedł, jakiś mężczyzna, i wrzeszczał na Petera. Wyzywał go od idiotów, bo Peter przywiózł sobie do domu policjantkę. I ten mężczyzna obiecał wszystko załatwić, wszystkiego dopilnować. Powiedział: „Ta kobieta żywa stąd nie wyjdzie, bo tak się składa, że oni pracują razem”. Wtedy do mnie dotarło. Facet, który wrzeszczał na Petera, to gliniarz.

- Czyli co? Chcesz mi powiedzieć, że to gliniarz zamordował Nancy Lassiter?

- Obawiam się, że tak. Choć potem usłyszałem jeszcze jeden męski głos. Czyli przyszedł ktoś trzeci. Siedziałem w pokoju jak mysz pod miotłą. Nie ukrywam, byłem przerażony. Ale, jak mówię, słyszałem, że pojawił się trzeci mężczyzna i pomyślałem, że to musi być ten facet, którego Peter nazywał ojcem chrzestnym sekty. Ja wiedziałem, że tam czasami dzieją się dziwne rzeczy i ten ojciec chrzestny ma z tym coś wspólnego. To działało się zawsze nocą, nieregularnie. Wtedy szybko zamykałem się w pokoju, zresztą wszystkie dziewczęta robiły to samo. Policja przedtem już nas nachodziła, w związku z zabójstwem trzech kobiet. Ale ani Peter, ani ja nie mieliśmy z tymi zabójstwami nic wspólnego. Jednak...

John westchnął.

- Peter wiedział o tych zabójstwach, znał motyw, ale milczał. Wiedział też, że zabijano je w taki sposób, aby wyglądało to na mord rytualny. Taki fałszywy trop. A ja... Wszyscy sądzili, że po wyjściu z więzienia zginąłem w katastrofie lotniczej. Pomyślałem sobie, niech tak zostanie, wtedy będę bezpieczniejszy. Wróciłem między ludzi jako ktoś inny. Prawdziwy Wharton był starszy ode mnie o ładnych parę lat, ale to nieistotne, znalazłem gościa, który świetnie podrobił mi dokumenty.

Narkoza ustępowała. Ashley udało się usiąść.

- Nic gniewaj się - powiedziała Mary ze słodkim uśmiechem. - Musieliśmy to zrobić, żeby wsadzić cię do karetki.

- Pięknie - mruknęła Ashley, zerkając z niepokojem na Stuarta. Ciekawe, czy on o tym wszystkim wiedział? Teraz leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Jakby znów zapadł w śpiączkę.

- Stuart?

Natychmiast otworzył oczy.

- Przepraszam, trochę odpoczywam. Ja już prawie całą dobę jestem przytomny. Musiałem się bardzo starać, żeby nikt się nie zorientował.

- John, a ty oczywiście, wiedziałeś? - spytała Ashley ostrym głosem.

- Ja przede wszystkim wiedziałem, że muszę go wydobyć z tego cholernego szpitala, zanim go zabiją!

- Dobrze już, dobrze. Mary, kim ty właściwie jesteś?

- Należałam do sekty. Te kobiety, które zamordowano, były moimi przyjaciółkami.

- Bardzo ci współczuję, Mary. Powiedzcie mi jeszcze, dlaczego mnie porwaliście?

- Sama się prosiłaś - wyjaśnił John uprzejmie.

- Kto się upierał, że koniecznie musi towarzyszyć Stuartowi w drodze na badania?

- A gdzie my właściwie teraz jesteśmy?

- W posiadłości Stuarta, obok komuny Kaleba.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli ktoś będzie cię szukał, to właśnie tutaj?

- Możliwe. Mam jednak nadzieję, że przedtem uda nam się znaleźć dowody. Dziś w nocy będzie się tu coś działo.

- Skąd wiesz?

- Mam swoje sposoby i umiem zdobywać informacje. Dziś wieczorem nasi sąsiedzi zbiorą się przed domem, żeby wspólnie pośpiewać. Ashley, czy ty nie rozumiesz? Ta wspólnota jest wykorzystywana w taki sam sposób, jak sekta Bordona. Ten sam ojciec chrzestny kupił Kalebowi ziemię, w zamian za to Kaleb ma obowiązek po prostu co pewien czas zająć czymś swoich ludzi. Nikt nie ma prawa wiedzieć, co w tym czasie dzieje się nad kanałem.

- Rozumiem. Jeszcze jedno. Da... John, a gdzie ty właściwie poznałeś Stuarta?

- Jak to? Obaj jesteśmy dziennikarzami. To ja napisałem ten artykuł o dwugłowych istotach z obcej planety.

- Dobrze, wszystko jasne. Nadał twierdzę, że

potrzebujemy wsparcia. Przecież mamy do czynienia z ludźmi, którzy zabijają bez zmruczenia oka. Koniecznie trzeba wezwać policję.

- Ashley, ile razy mam ci powtarzać, że w to wmieszany jest gliniarz!

- A ja ci powtarzam, że nie wszyscy policjanci mają brudne ręce. Znam jednego, któremu naprawdę wierzę. Detektyw Jake Dileccio. Masz jakieś zastrzeżenia?

- Do niego? O, nie... Ten gość nie dawał mi spokoju, szczególnie po śmierci swojej partnerki. I to on władował mnie do pudła.

- John, a dlaczego mu nie powiedziałaś, że widziałaś jego partnerkę w domu Bordona?

- Bałem się - wyznał szczerze Mast. - Miałem dopiero dwadzieścia jeden lat, a Bordon ciągle straszyl, że mnie zabiją.

- A teraz raptem bawisz się w anioła zemsty?

- Bo przeżyłem katastrofę lotniczą, Ashley. Śmierć zajrzała mi w oczy. I kiedy wyczołgałem się z wody na plażę, postanowiłem dopaść drani, którzy igrają z ludzkim życiem.

- W taki razie dzwońmy do Dilessia.

- Ja już wcześniej próbowałem złapać z nim kontakt. Zostawiłem mu wiadomość na sekretarce, anonimowo, podałem wskazówki, zakamuflowane, ale on powinien zrozumieć. I nic.

- Sekretarka... - mruknęła Ashley. Fakt. Jake kiedyś wspominał o skasowanych wiadomościach.

- Wiem, że wiadomość od ciebie po prostu do

niego nie dotarła. A Jake jest w porządku, na pewno. Potrzebna nam jest pomoc, uwierz mi.

- Ashley! No nie... Jak możesz być taka naiwna? Jeśli zadzwonimy do Dilessia, on natychmiast zawiadomi zwierzchników. Nie rozumiesz, co to oznacza? Narazimy się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Według mnie jeden z tych podejrzanych gliniarzy bywa w waszym barze. Wczoraj na pewno podsłuchiwał. Kto wie, czy to nawet nie jeden z tych koleś, którzy mieszkają na łodziach...

Ashley zastanowiła się przez chwilę. Fakt. W pobliżu restauracji „U Nicka” dzieją się ostatnio różne dziwne rzeczy. Ktoś zakradł się na łódź Jake'go? Sprawdzał pliki w komputerze, skasował wiadomość na sekretarce. Ashley ktoś zepchnął z pokładu d wody. I ktoś myszkował w jej pokoju...

Sharon.

- Słuchajcie, koniecznie trzeba zadzwonić do Jake'a. On...

- Ciii... - syknął John. Wszyscy zamienili się w słuch. Coś szeleściło cicho za ścianą.

- Może policja już tu jest - szepnęła Ashley.

- Nie wiadomo - mruknął John. - Mary, pilnuj Stuarta. Ja wychodzę. Mam broń. Kradzioną, ale trudno.

Ashley podniosła się z łóżka.

- Mary, ja też wychodzę, a ty zastaw drzwi szafą, natychmiast. A tę komodę z nadstawką przesun pod okno. Rozumiesz?

- Oczywiście.

Ashley, z nadzieją w sercu, że Mary jest silniejsza, niż na to wygląda, przekroczyła próg. Prawie natychmiast usłyszała odgłos przesuwanego mebla. Chwała Bogu, Mary daje sobie radę.

Odwróciła się, szukając wzrokiem Johna. Stał parę metrów dalej. Dom był stary, nieduży. Oprócz pokoju, w którym została Mary ze Stuartem, był tylko jeszcze jeden duży pokój, rodzaj salonu połączonego z jadalnią oraz kuchnia. Dwa wejścia, drzwi od frontu i z boku, którymi wychodziło się z kuchni.

Światło zapalone, a przez okno widać, że na dworze już ciemno.

- John, zgaś światło - rzuciła szybko Ashley.

- Przecież każdy nas tu zaraz zauważy.

John skinął głową i szybko podszedł do kontaktu. Pokój pograżył się w ciemności, w pierwszej chwili, zdawałoby się, nieprzeniknionej. Po chwili jednak oko Ashley wyłowiło z mroku wysoką postać Johna, z bronią w rękę. Stała jeszcze sekundę, po czym, wstrzymując oddech, przemknęła przez pokój i wsunęła się ostrożnie za ścianę oddzielającą kuchnię od części jadalnej.

Wysunęła powoli głowę. Nastawiła uszu.

Nagle drzwi huknęły. Ktoś kopnął w nie z całej siły, aby od razu stanęły otworem. W ciemnościach błysnęło, pistolet Johna wystrzelił. Błysnęło i od drzwi. Ktoś bez chwili wahania odpowiedział na ogień.

Jake, gdyby mógł, wjechałby samochodem na pokład „Gwendolyn”. Gnał nabrzeżem, z piskiem

opon zatrzymał się tuż przed burzą. Jednym susem dopadł drzwi. Otworzył i natychmiast pognał tam, gdzie kazała Ashley. Wiadomo, do kabiny prysznicowa. Znalazł od razu. Dwa foldery, o dwóch posiadłościach. Spisał adresy, w pierwszym odruchu chciał już jechać. Coś jednak kazało mu się jeszcze na chwilę zatrzymać. Włączył komputer, otworzył stare pliki. Zajrzał do raportów, do zeskanowanych artykułów prasowych...

I olśnienie. Tak, to musi być odpowiedź. A przynajmniej główny element tej układanki. Teraz trzeba działać. Jak najostrożniej.

Wyciągnął komórkę i odbył krótką rozmowę z osobą, której bezgranicznie ufał i która będzie umiała zorganizować wszystko tak, jak zakładał błyskawiczny plan detektywa Dilessia.

Kiedy podchodził do samochodu, zauważył Nicka Montague'a wybiegającego z baru. Poczekał więc, niezbyt zadowolony, obawiając się, że Nick będzie chciał włączyć się do akcji.

Niestety, przecucie go nie myliło. Nick podbiegł, otworzył drzwi z drugiej strony i prawie wskoczył do środka.

- Jadę z tobą, Jake.

- Nick, to nie jest...

- Jake, walczyłem w Wietnamie. Mam służbowy pistolet, dobrze strzelam. Nie wiem dokładnie, co się dzieje, ale wiem, że oni mają moją bratanicę. I wiem, dokąd pojechali. Sharon podała mi te adresy, o które prosiła Ashley. A ty skąd je masz?

- Ashley zostawiła mi je na łodzi. Nie pojedziemy tam, Nick, nie możemy atakować otwarcie.

- W porządku. Ale przekazałeś już te adresy komu trzeba?

- Nie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Jake? Ktoś z policji jest umoczony w sprawę?
- spytał cicho Nick. - Kto?

- Chyba wiem, ale nie mam jeszcze całkowitej pewności. Poza tym podejrzewam, że to nie tylko jeden gliniarz. W tym bierze jeszcze udział ktoś stąd, ktoś, kto się tu kręci i często składa niezapowiedziane wizyty.

- Rozumiem. A więc co robimy, Jake?

Znów huk wystrzału. Ciemna sylwetka Johna pochyliła się.

- Nie! John!

John znieruchomiał, na sekundę. I osunął się na podłogę, dziwnie miękko, jakby nie był człowiekiem, tylko szmacianą lalką.

John jest ranny, a ona krzyknęła, zdradziła swoją kryjówkę. Trzeba uciekać, natychmiast. Tymi bocznymi drzwiami, którymi wychodzi się z kuchni.

Już była za drzwiami. Spojrzała w mrok. Dokąd biec? Z prawej strony płot, wszędzie drzewa, a dalej Everglades. Mokradła i woda.

Nie ma co się zastanawiać. Trzeba biec, właśnie tam. Po prostu biec. Ten ktoś, kto strzelał do Johna, był sam, na pewno. Może dostrzeże biegnącą Ashley

i ruszy w pogoń, a o to właśnie chodzi. Dzięki temu Mary i Stuart zyskają trochę czasu.

On już biegnie za nią. Słysząc kroki. Zagajnik się skończył, wokół coraz wyższa trawa. Boże, żeby tylko nie natrafić na tę o ząbkowanych liściach, ostrych jak piła. Ta trawa potrafi człowieka pociąć na paseczki...

Nagle usłyszała jakieś głosy, chyba przed sobą. Biegła jednak dalej, teraz po łagodnym zboczku, w stronę kanału. Nad kanałem kilku mężczyzn i dwie łódki wyciągnięte na błotnisty brzeg. Mężczyźni, rozmawiając ze sobą cicho, wyjmują z łódek plastikowe pudła.

Wszyscy ubrani na czarno, czerń ich ubrań zlewa się z mrokiem nocy.

Ashley zwolniła, ale wciąż biegła. Przed nią mężczyźni ubrani na czarno, za nią mężczyzna z bronią w ręku.

Nagle jeden z mężczyzn coś krzyknął. Wyciągnęła szyję, żeby dojrzeć dokładniej, co się stało. I w tym momencie stanęła w miejscu. Nogi się zatrzymały, reszta ciała poleciała w przód, ponad potrójnym drutem, przeciągniętym między drzewami.

Upadła na błotnistą ziemię. Nie krzyknęła, ręce natychmiast zajęły się uwalnianiem oplatanego drutem stopy.

Nie zdążyła. Dookoła ciemność, ale ona i tak czuła, że pochyła się nad nią jakiś cień. Jej prześladowca. Powoli podniosła głowę, w pełni świadoma, że nie może być bardziej bezbronna.

- Witaj, Ashley.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Życie z niego wyciekało. Dosłownie. John to czuł, choć jednocześnie był pewien, że jeszcze nie umarł. Jeszcze nie, ale jeśli nic nie zrobi, to wkrótce będzie martwy.

Kula rozerwała mięśnie. Bolało jak diabli, zmusił się jednak do milczenia, pomodlił się tylko w duchu, krótko, ale dwa razy. Po pierwsze, żeby ta kula nie namszyła czegoś ważnego w środku, a po drugie, by Bóg dał mu jeszcze trochę siły i pozwolił odnaleźć broń, która wypadła z dłoni.

Pistolet leży na podłodze, dalej niż na wyciągnięcie ręki. Trzeba się doczołgać. Zaciskając zęby z bólu, posuwać się centymetr po centymetrze, zostawiając za sobą mokry, krwawy ślad. Jak jakiś robal.

Musi dosięgnąć tej broni. Tamten człowiek wróci. Ale najpierw dopadnie Ashley.

Zatrzymał się na sekundę, ciężko dysząc. Męka. Ból

rozrywa ciało, inny ból i strach szarpie duszę na myśl o tym, co może stać się z tą dziewczyną. Jeśli ona umrze, będzie to tylko jego wina. Wina Johna Masta.

Jeśli nie da rady sięgnąć po broń, Stuart i Mary też umrą. Cały wysiłek pójdzie na marne. Ci dranie zapewne wiedzą, jak spreparować dowody. Wszystko będzie wskazywać niezbicie, że to Ashley napadła na nich, pozabijała ich wszystkich troje, ale jedna z kul niefortunnie dosięgła i jej. Prawdopodobnie wyjaśni się też sprawa zabójstwa Cassie Sewell. Wszystko jasne, zabił ją John Mast.

Broń... Jeszcze dwa centymetry, już tylko jeden...

- Cześć, Marty! - odparła równie miło Ashley, podejmując błyskawiczną decyzję o improwizacji.

- Chwała Bogu, że cię widzę. Czy Jake jest z tobą?

- Ma pani liczne talenty, panno Montague. Gdyby nie uparła się pani zostać gliniarzem, mogłaby pani popróbować swoich sił na deskach teatralnych.

Ashley w milczeniu skinęła głową. Kto wie, może i powinna...

- Jeśli chcesz mnie zastrzelić, wydaje mi się, że to pora jak najbardziej odpowiednia.

- Możliwe. Ale przedtem chciałbym, żebyś pomogła mi dostać się do pokoju, w którym jest Stuart Fresia. Mogłbym postrzelać sobie przez drzwi, ale oni chyba zabarykadowali się od wewnątrz?

- Owszem.

Była zdumiona, że jej głos brzmi tak spokojnie, choć serce wali jak młot. On może strzelić w każdej

chwili. Ashley widziała kiedyś kulę tkwiącą w ludzkim ciele. Teraz dowie się, co człowiek czuje, kiedy kula rozrywa tkanki.

- Wstawaj, Ashley.

Chwycił ją mocno pod ramię. Zacisnęła zęby. Ten człowiek był bardzo silny, o wiele silniejszy, niż można było sądzić po niespiesznych, jakby niedbałych ruchach.

- Drut, Marty. Nie mogę iść.

Pochylił się nad jej stopą. To była jedyna szansa. Ashley nie miała zamiaru jej zmarnować.

On ma broń. Ona tylko swoją desperację.

Poderwała kolano błyskawicznie. W cios w pachwinę włożyła wszystkie swoje siły. Warto było. Martin zacharczał i upadł na twarz.

A ona dalej wykorzystywała swoją szansę. Cud sprawił, że jednym szarpnięciem wyzwoлиła stopę. I pobiegła.

Pierwsza kula przeleciała kilka centymetrów obok jej głowy. Słyszała świst, potem kula wryła się w drzewo. Tego drania bolało na pewno strasznie, ale wstał i strzelał. Coraz więcej kul frunie między drzewami. On nie tylko wstał, on idzie. A ona zupełnie nie wie, dokąd biegnie. Biegnie po prostu w ciemność.

Drzewa zaczęły się przeredzać, ziemia stawała się coraz bardziej miękka i błotnista. Z każdym krokiem stopy grzęzły coraz głębiej. Błogosławiła fakt, że ma na sobie džinsy i adidas. Tu na pewno natrafi na trawę o ząbkowanych liściach, a kiedy woda stanie się coraz głębsza, pojawią się w niej

jej mieszkańcy, niespotykani już w okolicach miast, wyparci przez beton i cywilizację. Wodne mokasyny⁹, aligatory...

I ciemność, wszędzie aksamitna ciemność.

Potknęła się, natrafiając nagle na twardey grunt. Małe wzniesienie wśród mokradeł, jednocześnie jakby malutki półwysep wrzynający się w kanał.

Znów świsnęła kula, dowód, że on jest blisko, zbyt blisko...

Nagle z ciemności wynurza się jakiś cień, chce jej dosięgnąć. Strach ściska gardło, ale usta składają się do krzyku.

- Cicho...

Mokra dłoń zasłoniła jej usta, silne ramię objęło mocno. Ostrożnie uniosła głowę, spojrzała na człowieka równie mokrego i ubrudzonego błotem, jak ona.

Odsunął dłoń, teraz mogła wyszeptać:

- Jake...

- Ukryj się. Między drzewami.

- To jest... to jest Marty.

- Wiem.

Cofała się, a Jake ruszył do przodu, Zrobił kilka kroków, przystanął.

- Marty!

- Jake?

W ciemności, czarnej jak smoła, zamajaczyła postać. Marty nie miał już na sobie czarnej peleryny. Był

⁹⁾ Jadowite węże z rodziny grzechotników.

w garniturze, zwyczajnym, porządnym garniturze, jakby szedł do pracy.

- Jake, bardzo mi przykro, wiem, że to bratanica Nicka. Musiała się naćpać. Wyobraź sobie, brała udział w porwaniu Fresii. Wywieźli go ze szpitala, ona tkwi w tym po uszy...

- Wystarczy, Marty - przerwał Jake. Nie, wcale nie ostro. Powiedział to po prostu spokojnie. - Właściwie to powinienem strzelić ci w łeb i byłoby po kłopotcie. Nie, na to jeszcze za wcześnie. Nie wiem, z kim współpracujesz. Masz kumpli, prawda? Bo to nie ty zakradłeś się na „Gwendolyn”, a ja bardzo bym chciał wiedzieć, kto to był.

- A może nie dowiesz się tego nigdy, wielki detektywie. Tak, tak, wszyscy cię szanują i podziwiają, chwalą twój instynkt! Podobno wyczuwasz bryłkę złota nawet w stercie śmieci. Miałem niezłą zabawę, kiedy patrzyłem, jak się miotasz, jak rozpaczasz po śmierci Nancy. Niewiele wskórałeś w tej sprawie, prawda?

- Owszem, trochę za późno odkryłem prawdę. Dam ci jeszcze odrobinę satysfakcji. Wyznam, że czuję się jak idiota. Bordon już wcześniej, prawie nic nie mówiąc, powiedział mi wszystko. Dym i lustra. Sekta po prostu była kamuflażem. A potem, kiedy umierał, powiedział „twój partner”. Nie partnerka. Poszedłem do domu, zajrzałem do starych akt. W starym artykule o tym, jak wyciągali z kanału samochód Nancy, znalazłem informację. Ty pierwszy zjawiłeś się na miejscu przestępstwa, a pracowałeś wtedy

w sekcji narkotyków. Dlaczego więc akurat ty? To dało mi do myślenia... Martin, to ty zabijałeś tamte kobiety? Czy twój wspólnik?

Martin uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nadal nie masz pojęcia, kto to jest?

- Podejrzewam kogoś.

- Ale nie wiesz.

- Czy to ty zabijałeś te kobiety, Marty?

- Tak, Jake. Ja je zabiłem. Głupie, wścibskie baby. Same były sobie winne. Nie powinny węszyć.

- A ostatnia ofiara... Pojawiła się w sąsiedztwie wspólnoty i zobaczyła coś, czego nie powinna widzieć? Czy tak?

- Jake, jesteś genialny.

- I Nancy... też zabiłeś?

- Szkoda, że nie widziałeś wyrazu jej twarzy, kiedy zobaczyła mnie w tamtym domu. Przytknęła ją, dosłownie zaniemówiła. Niestety, ona od razu we wszystkim się połapała. Musiałem ją zabić. Teraz wykończę ciebie, potem zajmę się tym twoim rudzielcem. Ta dziewczyna od początku stwarzała problemy. A tejej rysunki... Ona musi umrzeć, przykro mi, Jake, twój portret narysuje już ktoś inny. A Cassie Sewell narysowała aż za dobrze, niepokojąco dobrze. I kto by pomyślał, że jest bliską znajomą tego idioty dziennikarzyni, którego nafaszerowałem narkotykami i wypchnąłem na drogę?

- Przykro mi to mówić, Marty, ale za to wszystko dostaniesz karę śmierci.

- Jeszcze mnie nie złapali.

- Aresztuję cię, Marty.

- Jake, ty masz broń i ja mam broń. Może policzymy do trzech? Chociaż... Pomyśl, co ci to da, jeśli mnie zastrzelisz? Będziesz musiał szukać dalej, nie znasz jeszcze przecież mojego współnika.

- Nie zamierzam cię zabić, Marty.

- W porządku, w takim razie ja zabiję ciebie.

- Marty, opuść broń.

- Ty opuść, Jake, bo inaczej strzelę. Spotkamy się kiedyś w piekle.

- Opuść broń.

- A cóż to, żadnego strzału ostrzegawczego?

- Opuść broń, Marty. Jesteś aresztowany. Masz prawo zachować...

Marty był szybki, Jake jeszcze szybszy. Ashley, niemal przyklejona do drzewa, liczyła sekundy, wpatrzona w dwie majaczące w mroku postacie.

Jeszcze stoją, nieruchomo. Jedna z postaci chwieje się. Pada twarzą w błoto.

Marty.

Chciała podbiec do Jake'a, ale ktoś jej na to nie pozwolił. Usłyszała szelest, czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu. Obejrzała się spłoszona, napotykać poważne spojrzenie orzechowych oczu, dziwnie jasnych w ciemnej twarzy, umazanej błotem.

- Nie, panno Montague. Niech pani da mu minutę - powiedział cicho nieznamy mężczyzna. - A teraz przywita się pani z kimś, kto będzie z tego powodu bardzo szczęśliwy.

Zaszeleściły wysokie trawy mokradeł Everglades.

Z czarnej wody, osrebrzonej światłem księżycy, zaczęły wynurzać się ciemne postacie, jedna po drugiej, wszystkie oblepione czarnym błotem. Każda z nich prostowała grzbiet, każda z nich wolnym krokiem zaczynała wspinać się po zboczu.

Jedna z postaci dziwnie znajoma.

- Nick? Wuj Nick?

- Tak, Ash.

Szczęśliwa, rzuciła mu się w ramiona. Na chwilkę, bo jej spojrzenie znów biegło ku Jake'owi. Jake przykląkł przy Martinie, przyłożył dwa palce do jego szyi.

- Nic żyje - powiedział krótko, podnosząc się z kolan.

- Jakc, ale tam, nad kanałem, byli przemytnicy! Sama widziałam...

- Wiem. Zajęliśmy się tym. Pozwól, że ci przedstawię, Ashley. To Jesse Crane i jego ludzie, policja Indian Miccosukee.

Mężczyzna o orzechowych oczach i włosach czarnych jak atrament skinął głową, bez cienia uśmiechu. Jego powaga wzbudzała zaufanie, kazała zapomnieć o emocjach i pomyśleć przytomnie.

- Trzeba wezwać ambulans - zaczęła mówić szybko. -- Dawid, to znaczy John Mast, został postrzelony. Może nie żyje. Nie wiem. A Stuart i pewna kobieta o imieniu Mary są w tym domu.

- Przekażemy informacje przez radio. Ambulans zaraz tu będzie.

Jake ruszał już przed siebie, mocnym, pewnym

krokiem, choć szedł po grubej, miękkiej warstwie liści. Ashley podążyła jego śladem, za nią Nick i policjanci Miccosukee.

Podeszli do domu od tyłu. Drzwi do kuchni były otwarte. Jake pierwszy zbliżył się do nich, Ashley wyprzedziła go w ostatniej chwili.

- John, nie strzelaj! To ja, Ashley i Jake Dileccio. I policja, oni na pewno są w porządku!.

Zakrwawione palce wyprostowały się, pistolet upadł na podłogę. John Mast resztką sił próbował podnieść się z podłogi.

- Nie ruszaj się, John - powiedział Jake, przyklękając przy nim.

- Dileccio! To ty... O, Jezu... Ashley opowie ci wszystko. Porwałem ją i Stuarta, ale przysięgam, próbowałem go ocalić...

- Nic nie mów, John. Oszczędzaj siły.

Rozerwał zakrwawioną koszulę. John jęknął.

- Co masz zamiar ze mną zrobić?

- Spróbuję zatamować krew, póki nie przyjedzie ambulans. A poza tym, co powiesz na wspólny wypad na drinka? O ile, oczywiście, przeżyjesz.

John przez chwilę patrzył na Jake'a, jakby nie dowierzał. Pobladła, ściągnięta bólem twarz rozjaśnił uśmiech.

- Na pewno przeżyję, detektywie. Chociażby ze względu na tak miłe zaproszenie.

Nagle sposepniał.

- Jesteście absolutnie pewni, że ja jeszcze żyję? Słyszę muzykę.

Ashley nadstawiła ucha.

- Nie martw się, John. To sąsiedzi śpiewają.

Ludzie z komuny, nieświadomi niczego, zebrali się przed domem na wieczorne śpiewy. Śpiew wkrótce miał ucichnąć, zagłuszony wyciem policyjnych syren.

Czwarta rano.

Od policjantów roiło się przez długie godziny. Podjechały ambulanse, za chwilę już odjeżdżały, zabierając do szpitala Johna i Stuarta. Mary Simmons, mimo że oszołomiona, spokojnie i uczciwie odpowiadała na każde pytanie. Przyznała się do porwania Stuarta, bardzo kwieciście prosząc o wybaczenie. Powiedziała, że jej wszystko jedno, czy pójdzie do więzienia, czy nie. Zrobiła, co zrobiła, jej wiara usprawiedliwia czyn, który miał na celu ocalenie Stuarta. W rezultacie Mary zwolniono, choć wiadomo było, że prokuratura okręgowa na pewno wysunie wobec niej zarzuty.

Zresztą w chwili obecnej i tak wyglądało na to, że najwięcej do powiedzenia ma Jake. Ashley co nieco usłyszała, jako że kapitan Blake kończył rozmowę z Jakiem, wsiadając do samochodu policyjnego, w którym usadowiona była już Ashley. Kapitan zarzucał Jake'owi, że nie poinformował nikogo o zamierzonej akcji. Jake tłumaczył się i odpierał zarzuty, ale był zupełnie spokojny. Wszyscy zdawali sobie przecież sprawę, że brutalnego mordercę dosięgła ręka sprawiedliwości, a poza tym przerwano jedno z ważnych ogniw przemytu narkotyków. W rezultacie kapitan

udzielił Jake'owi tylko ustnego upomnienia i wysiadł z samochodu, a Jake rozsiadł się wygodniej obok Ashley i westchnął.

- Cholera! Najbardziej to mnie mierzi ta papierkowa robota.

Byli sami, mogli więc rozmawiać bez skrępowania.

- Uratowałeś mi życie, Jake - powiedziała miękko Ashley, kładąc dłoń na jego dłoni. - Przybyłeś w samą porę.

Palce Jake'a i Ashley splotły się.

- Hm... Muszę uczciwie przyznać, że radziłaś sobie całkiem nieźle.

- I tak bym nie dała rady uciekać w nieskończoność. Poza tym on miał broń, a ja nie.

- No, tak... Ale może ty jednak powinnaś ukończyć Akademię.

Ashley uśmiechnęła się pod nosem, nie zdążyła jednak błysnąć ripostą, ponieważ do samochodu podszedł kapitan Blake. Jake znów był mu potrzebny.

Dopiero po godzinie pozwolono im odjechać. Ciało Marty'ego zabrano do kostnicy, przemytników zawieziono na posterunek. Przesłuchaniem mieli zająć się pozostali członkowie grupy operacyjnej, Jake wracał do domu. Jechał swoim wozem. Nick rozsiadł się z tyłu, Ashley wsunęła się na miejsce obok kierowcy. Kiedy dojechali pod dom, Nick wysiadł pierwszy, Jake i Ashley gramolili się z samochodu wyjątkowo powoli. Nick poczekał cierpliwie, spojrzał na nich badawczo.

- No, dobra-oświadczył.-Ja sam czuję, że moja

prośba jest nieco dziwaczna. Ale powiem krótko. Jake, śpij dziś w moim domu. Wolałbym mieć pewność, że nic wam nie grozi.

Co powiedział, to powiedział i odwróciwszy się szybko, raz dwa otworzył drzwi i zniknął w głębi domu.

Ashley czuła, jak chłodna bryza rozwiewa jej włosy. Do wschodu słońca zostało jeszcze trochę czasu.

- Jake? Co ty na to? Decydujesz się zanoćować w domu? Nie jestem histeryczką, ale z drugiej strony nie ma to jak wsparcie. Wiem coś na ten temat.

- Każdy potrzebuje wsparcia - oświadczył detektyw Dilessio miękkiem i łagodnym głosem. - Poza tym pokusa obejrzenia twojego pokoju jest zbyt wielka. Mam tylko jedno pytanie. Czy mogę pierwszy wziąć prysznic?

- Musiałabym się zastanowić... A co powiesz na propozycję, żebyśmy razem weszli pod prysznic?

W rezultacie oboje stanęli w strugach gorącej wody, demonstrując sobie nawzajem siniaki i zadraśnięcia, a także ślady po spotkaniu z wredną trawą o ząbkowanych liściach. Potem wyszli spod prysznica, nagle oboje przestali się śmiać. Przez kilka chwil stali naprzeciwko siebie, oboje milczeli.

- A więc... to jest twoje łóżko?

- Tak. To jest moje łóżko.

- Ashley...

Objął ją, bardzo mocno, ukrył twarz na jej szyi. Zmęczenie Ashley znikło w jednej chwili...

Było cudownie, również potem, kiedy leżeli blisko siebie, oddychając miarowo. Palce Jake'a delikatnie przesuwały się po rudych lokach Ashley.

- Tak, przyznaję, Ashley. Zawsze, gdy sprawa dotyczy ciebie, budzi się we mnie szowinistyczny dupek.

- Tak. Dlatego muszę reagować... Jake! Spójrz w okno! Słońce wschodzi.

- Jak codziennie.

- Ale dziś chcę to zobaczyć.

Ubranie Jake'a, pokryte błotem, było w stanie tragicznym. Jedyнным wyjściem wydawał się szlafrok Ashley. Jake skrzywił się niemiłosiernie, ale cóż...

Usiedli na nabrzeżu, Ashley oparła głowę na ramieniu Jake'a.

- Pięknie... Nigdy nie widziałam, żeby niebo miało taki kolor. Ni to czerwony, ni to złocisty...

- A ja znam ten kolor.

- Skąd?

- To kolor twoich włosów.

Uniosła twarz, spojrzała w ciemne, śmiejące się oczy.

- Panno Montague, zmuszony jestem pani coś wyznać, choć to coś mnie samego napawa wielkim lękiem... A więc... Hm...

- Śmiało, detektywie.

- Czuję, że... mianowicie... powolutku... zakochuję się w tobie, Ashley.

- Aha.

Ruda głowa Ashley znów spoczęła na ramieniu Jake'a.

- Powinien był pan liczyć się z tym od samego początku, detektywie Dilessio. Bo ja już się w pan dawno zakochałam. Myślę, że dokładnie w chwili, gdy oblałam pana kawą.

Było późne popołudnie, kiedy Ashley otworzyła oczy. Jake już nie spał. Leżał nieruchomo, wpatrzony w sufit.

- Jake, coś nie tak?

- A nic... Zastanawiam się. Wciąż myślę, kim jest ten współnik Marty'ego. Może zastosuję metodę Sherlocka Holmesa. Rozumiesz, trzeba wyeliminować wszystko, co niemożliwe. A to, co pozostanie, choćby wydawało się najbardziej nieprawdopodobne, musi stanowić odpowiedź. Okazuje się jednak, że trudno mi wyeliminować kogokolwiek. Praktycznie każdy mógł być na „Gwendolyn”. Każdy może mieć władzę i pieniądze, stać za tymi morderstwami i narkotykami...

- Może... Sharon?

- Sharon?! Chyba jeszcze śpisz, Ashley!

- Ja wiem, to brzmi bardzo nieprawdopodobnie, ale warto sprawdzić. Ona ostatnio zachowuje się bardzo dziwnie. Poza tym ma pieniądze, wystarczy spojrzeć, jak się ubiera. W jej garderobie wiszą rzeczy warte tyle, ile policjant zarabia przez rok. Poza tym to ona załatwiała sprzedaż tamtych posiadłości, ona pierwsza rozpoznała Cassie Sewell na portrecie, który wydrukowano w gazecie. No i jest jeszcze jedna sprawa, która nie daje mi spokoju. Muszę pogadać z Sharon, koniecznie.

Ashley poprosiła Nicka i Sharon na chwilę do salonu, gdzie czekał już Jake. I potem, jak to miała w zwyczaju, od razu przystąpiła do rzeczy:

- Sharon! Co się z tobą dzieje?

Sharon, o dziwo, zaczerwieniła się jak burak i zerknęła na Nicka.

- Sharon, byłaś w moim pokoju. Po co? O czym chciałaś ze mną porozmawiać? Proszę, powiedz szczerze. Musisz mi powiedzieć. I co ty miałaś dziś za ważne spotkanie?

- Och, Ashley! Byłam dziś rano u lekarza. W pierwszej chwili samej mi było trudno uwierzyć, i tak się bałam, co powie na to Nick. No i ty, Ashley. Bo ja... ja spodziewam się dziecka.

- Dzie... dziecka?

- Tak. Nick i ja będziemy mieli dziecko - przytaknęła Sharon, wpatrzona w Nicka, jakby kapała się w jego uśmiechu. - Ashley, dlatego pozwoliłam sobie wtedy wejść do twojego pokoju. Taki kapiys kobiety w... poważnym stanie. Chciałam tam pobyc chwilę, wśród twoich rzeczy, w twoim jak najbardziej prywatnym miejscu. Ashley, nie gniewasz się na mnie, prawda?

Miałyby się gniewać? A niech to! Przede wszystkim odczuła niebywałą ulgę. Zaczęła się śmiać, aż łzy napłynęły jej do oczu.

- O, Boże! Nick! Ona płacze! Ashley, kochanie, ja przecież wiem, że Nick był dla ciebie jak ojciec, ty zawsze będziesz dla niego najukochańszym dzieckiem, on...

- Nie, nie, Sharon - wykrztusiła w końcu Ashley
- Ja po prostu czuję ul...

Na szczęście, surowe spojrzenie Jake'a powstrzymało ją od zbytnej szczerości. Jeszcze tego brakowało, żeby biedna Sharon dowiedziała się, że krótko bo krótko, ale była na liście podejrzanych.

- Sharon, cieszę się i jestem bardzo wzruszona. Nic mogę się doczekać, kiedy będę miała nareszcie kuzyna albo kuzynkę.

Objęła Sharon, potem rzuciła się do wuja.

- Trochę się boję - wyznał szczerze Nick. - Kiedy mój dzieciak skończy liceum, ja będę już łysy, nafaszerowany tabletkami na artretyzm. Ale cieszę się, no pewnie, że się cieszę.

- Wszyscy się cieszymy - wygłosił Jake, wstając z fotela. - Nick, Sharon, serdeczne gratulacje. Nick, masz w swoim barze jakiegoś przyzwoitego szampana? Ja zapraszam.

Objął wpół Ashley, nadal śmiejącą się głośno, i wszyscy przeszli do baru. Sharon prosiła, żeby jej stan pozostał na razie tajemnicą. Wiadomo, żeby nie zapeszyć. Powie się wszystkim, kiedy minie szczęśliwie trzeci miesiąc ciąży. Poza tym - co dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem - Sharon i Nick zamierzają się pobrać. Zajakieś trzy tygodnie planują skromny, cichy ślub w niedzielny poranek, po prostu tutaj, na nabrzeżu.

- Jake? Co robimy? - spytała cicho Ashley.
- Idziemy na ryby.
- Sherlock Holmes też tak robił?

- Tak robi detektyw Dileccio. Kiedy wyciąga rybki z wody, w głowie dziwnie mu się rozjaśnia.

Rozjaśniło się. Jake po powrocie z całkiem udanego połowu poszedł prosto na „Gwendolyn” i zadzwonił do Ethana Franklina.

- Potrzebuję twojej pomocy, Franklin. Wyszukaj mi wszystko, co się da, o tych czterech facetach. Podaję nazwiska...

W poniedziałek rano, kiedy Ashley zjawiła się w pracy, zewsząd posypały się gratulacje, okraszone gorącymi uściskami. Radość była tym większa, że Ashley nie tylko zjawiła się cała i zdrowa, ale i spisała się bardzo dzielnie. Ashley zaprzeczała wszystkiemu skromie, bo przecież tak naprawdę nie dokonała żadnego bohaterskiego czynu. Przeciwnie. Została uśpiona i porwana ze szpitala, razem ze Stuartem Fresią. W końcu zjawił się kapitan Murray, dość ostro nakazał załodze, by przestali świętować i wzięli się do roboty. Kiedy jednak wszyscy się rozeszli, kapitan położył rękę na ramieniu Ashley i powiedział trzy słowa, tylko trzy, każde jednak było dla niej na wagę złota.

- Dobra robota, Montague.

Po południu, kiedy była w ciemni, ktoś zapukał do drzwi. Za progiem stał cały personel zakładu kryminalistyki, z tyłu Ashley dojrzała uśmiechnięte twarze kilku kadetów. Przyniesiono tort, Ashley udekorowano uroczyście odznaką, którą Gwyn wyprodukowała w swoim komputerze. Poniedziałek okazał się więc dniem pełnym wrażeń. Stuartowi pozwolono już

wstać, dzięki czemu mógł dołączyć do licznej gajpy składającej się z Ashley, Jake'a, Karen, Jan, Lena i Mary, wybierającej się w odwiedzinę do Johna Masta. Pozwolono im wejść, ale tylko na kilka minut. Pielęgniarki opiekujące się Johnem były niezwykle rygorystyczne.

- Trudno, jeszcze się na nich zemszczę —jęczał John. - Jeszcze wykopię mój topór wojenny... Ludzie, najważniejsze, że kiedy stąd wyjdę, o ile mnie, oczywiście, nie zapuszczają, to będę wolny. Naprawdę wolny, bo do tej pory żyłem jak w więzieniu.

Po króciutkiej wizycie u Johna poszli wspólnie na obiad, a potem Ashley zajęła się prywatnym życiem. Resztę dnia spędziła z Jakiem, razem wrócili na „Gwendolyn”.

We wtorek, gdzieś koło siódmej, kiedy na rzeczonej „Gwendolyn” wiedli zacięty spór, jak przyrządzić złowionego tego dnia snappera, Jake nagle zamilkł. Odczekał chwilę, podszedł bezszelestnie do drzwi i otworzył je jednym szarpnięciem.

Na progu stał Brian Lassiter, z uniesioną ręką, jakby właśnie miał zamiar zapukać.

- Ej, Jake, wyczułeś mnie?

- Usłyszałem. Wchodź.

Ashley wiedziała, że Brian to mąż Nancy Lassiter, widziała go zresztą kilka razy w barze, ale nie miała jeszcze okazji poznać osobiście.

- Cześć. Jestem Ashley, bratanica Nicka.

- A, to dlatego wydałaś mi się znajoma. Cześć, miło cię poznać. Jestem Brian Lassiter. Jake, mogę wejść?

- Jasne, włącz. Piwo?

- Nie. Woda sodowa. Prowadzę.

Ashley podeszła do lodówki i wyjęła colę dla Briana. Podziękował jej skinieniem głowy i szybkim uśmiechem, po czym zwrócił się do Jake'a.

- Przyszedłem ci podziękować.

- Nie dziękuj, bo nie ma za co, ja tylko wykonałem swoją robotę.

- Ale ja chcę ci podziękować. Wiesz, że ją kochałem. Ten drań już nigdy nikogo nie skrzywdzi, a to twoja zasługa. Przepraszam cię, Jake. Wiesz, za co... A ja, może nie uwierzysz, skończyłem z piciem. I żenię się, powtórnie. Przyjdiesz na ślub?

- Jasne. Moje gratulacje, Brian.

- Moje też — odezwała się Ashley. - Masz ochotę na snappera?

Brian zerknął niepewnie na Jake'a.

- Ja? Dziękuję, czemu nie?

W rezultacie Brian został. I choć Jake był bardzo miły i uprzejmy, wydawał się Ashley dziwnie wyciszony.

Po wyjściu Briana Ashley spytała, co się dzieje.

- Zastanawiam się - odparł Jake. - On jest bogaty.

- Jest prawnikiem.

- No, tak...

Zasiadł przed biurkiem. Ashley zajęła się brudnymi naczyniami, potem na palcach, żeby broń Boże nie przeszkadzać, próbowała przemknąć bezszelestnie do sypialni. I była zdumiona, że ramiona, które pochwyciły ją znienacka, są takie silne.

Późno w nocy zadzwonił telefon. Ashley też się obudziła, słyszała, jak Jake wstaje, wychodzi do salonu i rozmawia z kimś dobre kilka minut.

- Kto to był? - spytała sennym głosem, kiedy z powrotem wsuwał się pod kołdrę.

~ Franklin, z FBI. Prosiłem, żeby wyszukał dla mnie pewne informacje. Brian Lassiter jest czysty jak łąza. Fakt, to prawdziwy rekin finansjery, ale on nigdy niczego nie zrobił nielegalnie.

Wiadomość była pomyślna, ale Ashley wiedziała doskonale, że Jake jest bardzo niespokojny. Wielogodzinne przesłuchanie przemytników, ujętych nad kanałem, nie posunęło sprawy ani o krok. Wszyscy byli z Ameryki Południowej, skąd zresztą pochodziły narkotyki, wszyscy też stanowczo twierdzili, że nie mają pojęcia, kto zapłacił za towar i kto będzie go rozprawdzał w Stanach.

Niestety nie udało się ustalić, kto był współnikiem Martina.

Rano obudziła się pierwsza, cmoknęła Jake'a i szepnęła mu do ucha, że pędzi do siebie. Musi przyszykować się do pracy. Jake mruknął coś niezrozumiale, ona w przelocie włączyła ekspres do kawy. Już w drzwiach usłyszała, że dzwoni telefon. Jake wstał i podniósł słuchawkę. Jasne, Ashley była nieludzko ciekawa, kto dzwoni, ale musiała się spieszyć.

Pobiegła nabrzeżem, po kilku minutach wpadła do swojego pokoju. Błyskawiczny prysznic, potem mundur, brązowy, jaki nosili wszyscy pracownicy zakładu

kryminalistyki. Wyglądało na to, że w pracy zjawi się w ostatniej chwili. Byle tylko się nie spóźnić.

Powinni nastawiać budzik na wcześniejszą porę.

Oni powinni... Oni.. On i ona...

Przemknęła przez dom, zastanawiając się w duchu, czy Nick już wstał. Cisza, Nick i Sharon śpią jeszcze w najlepsze. Ashley uśmiechnęła się, prawie z rozczuleniem. Starsza pani w ciąży... O, kochani, dostanie wam się za to wylegiwanie w łóżku!

W kuchni najpierw włączyła ekspres. No tak, i teraz trzeba czekać. Dziwne, że w tym domu nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, żeby kupić ekspres, który włącza się automatycznie. Przez kilka minut Ashley, niecierpliwie bębniąc palcami o blat, wpatrywała się w ciemne krople, pracowicie opadające na dno szklanego dzbanka. Nie wytrzymała. Szybko wysunęła dzbanek i wstawiła na jego miejsce filiżankę. Kap, kap... Filiżanka zapełniła się do połowy, Ashley już trzymała ją w ręku. Kilka łyków zaledwie, trudno, musi wystarczyć.

Spojrzała w stronę drzwi. Teraz otwartych. Na tle jasnego kwadratu wysoka postać, podświetlona porannym słońcem. Dziwna postać, dziwna... Jakby wspomnienie tamtego człowieka na poboczu drogi, patrzącego na samochód najeżdżający na Stuarta Fresię...

Potrząsnęła głową, starając się pozbyć niemiłego wrażenia. Człowiek w drzwiach poruszył się, Ashley odetchnęła z ulgą. Przecież to Sandy. Dziś nie w szortach, tylko eleganckich spodniach, koszulce polo i marynarce.

- Witaj, Sandy! Nick i Sharon jeszcze śpią. Proszę,

częstuj się kawą, a jak będziesz wychodzić, zamknij starannie drzwi. Ja muszę pędzić, już jestem spóźniona.

- Miłość - powiedział Sandy z uśmiechem.

Ashley nieznacznie wzruszyła ramionami. No cóż, tak to jest, kiedy mieszka się w grajdołku, wszyscy wszystko wiedzą. Nic się nie ukryje.

- A co tam słyhać, Ashley? Nie wiesz, czy ten gość, który sprawdzał odciski palców u Jake'a, znalazł coś ciekawego?

- Nie. Tylko odciski palców osób, które miały prawo tam być. Trzeba przyznać, Sandy, że ty zawsze wiesz, co w trawie piszczy. Byłeś na łodzi Jake'a, kiedy przyszedł Skip? A może Nick dał ci klucz, żebyś go tam wpuścił?

- Nie. Widziałem faceta z mojej łodzi, zupełnie przypadkiem. Szkoda, że niczego nie znalazł. Jake musi być wściekły, dalej brakuje mu jeszcze czegoś tam do tej jego układanki.

Chwileczkę. A skąd u Sandy'ego takie wiadomości? Jake brakiem elementu w swej układance na pewno nie chwali się wszystkim dookoła. Chociaż... Może ktoś coś usłyszał, podał dalej, a Sandy, wiadomo, zawsze nadstawia ucha.

- Lecę już, Sandy. Do zobaczenia.

Ruszyła do drzwi, z których roztaczał się widok na basen portowy. Widać też łódź Sandy'ego. Łódź Jake'a stoi dalej, Sandy ze swej łodzi nie mógł dojrzeć drzwi do kajuty na „Gwendolyn”. Musiał zauważyć Skipa, gdy ten szedł nabrzeżem. Sandy'emu głupio się

teraz do tego przyznać, wyszłoby na to, że jest bardzo wścibski.

Z drugiej strony przecież nigdy tego nie ukrywał. Sam przyznaje, że lubi pociągnąć ludzi za język, zwłaszcza gliniarzy, relaksujących się w barze. „Bardzo chętnie słucham gliniarzy - tak przecież powiedział - Ubarwiam sobie moje szare życie”.

Sandy zna tu każdego. Jake, dopóki nie zamieszkał w sąsiedztwie, bardzo rzadko zaglądał do restauracji „U Nicka”. Sandy wie nawet to, że Jake jeszcze nie zakończył śledztwa, bo brakuje mu kilku elementów układanki.

Sandy... Nie, to niemożliwe. Sandy jest przecież taki... stary.

Bardzo chętnie słucham gliniarzy.

Naturalnie, że bardzo chętnie. On rozmawia z nimi bez przerwy. Sączy swoje piwo z reguły w towarzystwie jakiegoś gliniarza. Chce wiedzieć, co tam słychać w policji Miami-Dade. Ciekawe, ile razy pił w towarzystwie Marty'ego Moore'a...

Ten człowiek stał teraz tuż za nią. Powinna się odwrócić, choć całe ciało nagle dziwnie zeszywniało.

Nie, nie może się odwrócić. Pod żebrami czuje już chłód, chłód stalowej lufy.

- Daruję sobie tę kawę. Zmieniam plany, Ashley. Mam przed sobą daleką podróż, a zależy mi na twoim towarzystwie. Niestety, wygląda na to, że jesteś zbyt domyślna, a ja mam zbyt wiele do stracenia. Dorobiłem się, niestety, robi się za gorąco i trzeba zniknąć. Niedobrze, że twój przyjaciel przeżył wypadek. Źle się

stało. A Bordona trzeba było sprzątać już wcześniej. Chociaż właściwie Martin miał go w garści. Martin to był dobry współnik, bardzo dobry, nie wydał mnie. Dilessio prawdopodobnie wkrótce rozwikła tę zagadkę, ale ja już będę daleko. To znaczy, my będziemy daleko. O ile nie zrobisz jakiegoś głupstwa. Idziemy!

- Nie bądź taki pewny. Jeśli nie zjawię się w pracy, zaczną mnie szukać. A kiedy zauważą, że mój samochód tu stoi...

- Nie będzie tu stał. Bierzymy twój wóz, ty prowadzisz. Idziemy, panno Montague.

Nic protestowała. Widziała przecież, jaka zmiana zaszła w człowieku, którego niby dobrze знаła. Jego głos, sposób mówienia były zupełnie inne, nawet poruszał się inaczej. Jakby raptem ubyło mu wiele lat. I ta metamorfoza napawała ją lękiem.

- Dokąd jedziemy?

- Na pas startowy. Prowizoryczny, oczywiście.

Nabrała głęboko powietrza. Poruszyła głową, nieznacznie. Może uda się zerknąć w tył, zobaczyć, jaką ten drań ma broń...

- Glock - poinformował uprzejmie. - W mieście Miami znana zabawka, choć ty chyba nie trzymałaś jej w rękę. Policja Miami-Dade nie przepada za tym cackiem. Tą bronią trudno kogoś zranić, ona od razu zabija. Idziemy, panno Montague!

Nagle usłyszała wesoły okrzyk.

~ Hej! Hej!

Na końcu tarasu Jake, roześmiany i tylko w spodenkach kąpielowych.

- Dwie sekundy - syknął Sandy, wbijając mocniej lufę w jej żebra. - Tylko dwie, żeby się go pozbyć. Krzykniesz i oboje będziecie martwi. Glock to cholernie skuteczna broń.

- Witaj, Sandy, witaj! - wołał Jake, podchodząc coraz bliżej drzwi. - Ekspres do kawy na „Gwendolyn” odmówi! posłuszeństwa. Coś ty mu zrobiła, Ashley? Sandy, aleś ty dziś szykowny! Też przyszedłeś na kawę?”

- Kawa gotowa - powiedziała szybko Ashley.

- Świetnie. Zaraz się nią uraczę. Miłego dnia w pracy, Ashley!

Lufa jeszcze mocniej wbiła się w jej plecy. Ashley i Sandy wyszli przez drzwi. Jake nie poszedł za nimi.

- Sandy, a ty nie masz ochoty na kawę?

- Spieszę się do banku. Ashley obiecała mnie podrzucić.

- Aha. Czyli, jak mówią, masz transport z głowy. Jeszcze jeden krok, Jake znów przystanął.

- Aha, coś jeszcze... Ashley, wiesz, gadałem z Johnem Mastem. Opowiadał, że ty masz jeszcze inne talenty. O ile sobie przypominam, mnie też chciałaś je kiedyś zademonstrować.

Pojęła w lot. Uśmiechnęła się.

- Johnowi już pokazałam.

- Pokaż i Sandy'emu.

- Jake! - odezwał się niecierpliwym głosem Sandy. - Ja nie mam czasu...

- Ash! Teraz!

Pięta Ashley trafiła Sandy'ego. Nawet nie jęknął,

otworzył tylko usta i jak ryba wyrzucona na piach usiłował złapać powietrze. Jake stał już przed nim, nie, nie stał, rzucał się na niego, powalał, przygniatał całym ciężarem swojego ciała.

Upadli obaj na żwir. Sandy próbował wycelować. Pistolet wypalił. Jake chwycił Sandy'ego za nadgarstek, przygniótł mu rękę do ziemi. A glock i tak znów wypalił.

- Rzuć broń!
- Odpieprz się!
- Do cholery! Rzuć tę broń! Ashley, do domu!

Następna kula wryła się we framugę drzwi. Ale Ashley nie miała zamiaru nigdzie uciekać. Podskoczyła bliżej, zaczęła kopać nogą żwir, wściekle, żeby kamyki i piach leciały na twarz Sandy'ego.

- Rzuć broń! - ryknął jeszcze raz Jake. Rąbnął ręką Sandy'ego o żwir. Nareszcie. Palce się rozwarły, glock wysunął się z ręki.

- Wstawaj! - warknął Jake. Poderwał się pierwszy, chwycił za poły marynarki i pociągnął Sandy'ego w górę.

- Wstaję, już wstaję...

Podnosił się z ziemi, bez oporu. Nagle zgiął się w pół, zacharczał i zaczął kaszleć, dławić się. Twarz stała się purpurowa.

- Cholera! - zaklął Jake. - Jeszcze nam tu zejdzie. Ashley, dzwoń pod 911.

Ashley zanurzyła rękę w torbie, żeby wyciągnąć komórkę.

W tym momencie kaszel ucichł. Sandy jednym niemal ruchem wyszarpnął rękę i chwycił za broń.

Jake zaklął, w jego rękę natychmiast też pojawiła się broń, którą miał ukrytą za paskiem spodenek. Mały pistolet z lufą lekko zadartą do góry.

- Sandy, ty nie...

Strzał.

Sandy runął twarzą w piach.

To nie Jake strzelił. Jake i Ashley prawie jednocześnie spojrzeli na drzwi. W drzwiach stał Nick, nad lufą służbowego pistoletu unosiła się wąska smużka dymu.

- Jake, wybac. Musiałem to zrobić. On strzeliłby pierwszy, przecież wiedział, że jesteś policjantem z zasadami. Ja nie jestem gliniarzem, Jake, a ten sukinsyn w każdej chwili mógł zabić moją bratanicę, choć przez całe lata przychodził do mojego baru. Na moje oko, to on jeszcze oddycha. Sharon dzwoni właśnie pod 911. Chodźcie, kawa gotowa.

Pochylił się, wyjął glocka z bezwładnej dłoni Sandy'ego i z powrotem wszedł do domu.

Ashley spojrzała na Jake'a, w jej oczach było jedno wielkie pytanie.

- Jake, jakim sposobem... skąd wiedziałeś...

- Franklin zadzwonił. Prosiłem, żeby między innymi sprawdził dokładniej, któż to taki, ten Sandy Reilly. I Franklin, jak to Franklin, znalazł to, co było potrzebne. Aha, Franklin lubi whisky słodową. Przypomnij mi, Ashley, żebym posłał mu butelkę najlepszej. Zasłużył chłopak.

Przykucnął przy nieruchomym ciele i przyłożył palce do szyi.

- Żyje. Fakt.

Z daleka słyhać było wycie syren policyjnych.

- Już jadą. Ashley, idź szybko do domu, zdążysz jeszcze wypić kawę. Wiesz, co tu się zaraz będzie działo. A mnie, oczywiście, czeka potem kupa papierkowej roboty. Chryste, jak ja tego nienawidzę!

EPILOG

Cała uroczystość była cudowna, nazwisko „Montague”, wyczytane głośno, nigdy jeszcze w uszach Ashley nie zabrzmiało tak... szczególnie. A kiedy wracała na swoje miejsce, maszerując środkiem sali... Nie, tego uczucia nigdy nie zapomni.

Wszystkie osoby, ważne w jej życiu, stały się jak jeden mąż. Nick, Sharon i mały kuzynek Justin Montague. Karen, u jej boku nadal Len. Jan, u jej boku nadal John Mast. Jan i John spotkali się kilka razy i na pozór wcale nie przypadli sobie do gustu. Dyskusja, jaką zaczęli toczyć, była bardziej niż burzliwa, zdecydowali jednak, że dokończą podczas następnego spotkania. No i spotykali się do dziś. Stuart przyszedł z rodzicami, zjawił się także ojciec Jake'a, którego Ashley miała przyjemność już poznać i ogromnie polubić. Stawiła się również silna grupa dawnych kolegów i koleżanek, dziś już

oficerów policji, z którymi Ashley kiedyś zaczynała naukę w Akademii.

Naturalnie, był też Jake. On pierwszy zresztą złożył Ashley gratulacje, w pełni zasłużone. Rok temu bowiem Ashley, nic przerywając pracy, wznowiła naukę w Akademii i ukończyła ją celująco. Posady nie zamierzała zmieniać, w zakładzie kryminalistyki pracują przecież i pracownicy cywilni, i oficerowie policji.

Potem pstrykano zdjęcia i wydawało się, że to potrwa całą wieczność. Zdjęcie zbiorowe, jedno, drugie, potem Ashley z przyjaciółkami, Ashley z najbliższą rodziną, Ashley i Jake. Na koniec sama Ashley. Tego zdjęcia domagał się Nick, zamierzał powiesić je obok zdjęcia brata, ojca Ashley.

A potem było przyjęcie w restauracji „U Nicka” dla wszystkich świeżo wypromowanych dwudziestu ośmiu oficerów i ich rodzin. Nick bardzo na to nalegał.

A na koniec...

Na koniec nadszedł ten cudowny moment, kiedy Ashley i Nick mogli już wrócić na pokład „Gwendolyn”, z tej okazji pięknie przez Jake'a przystrojonej balonami i kwiatami.

W kajucie czekała, naturalnie, butelka szampana.

- Jake, jesteś kochany - mruzczała wzruszona Ashley, tonąc w jego objęciach.

- Nie zauważyłaś pudełeczka, tam, kolo szampana.

Teraz zauważyła. Sięgnęła po pudełeczko, ale Jake był szybszy. Wyjął ze środka pierścionek.

- Odznaka policyjna zapewne wywołała w tobie większy dreszcz emocji, mam jednak nadzieję, że ten pierścionek również przyjmiesz. Nick odradził złoto. Fakt, platyna będzie bardziej pasować do odznaki.

Ashley spojrzała na brylant, potem w ciemne oczy detektywa Dilessia.

- Tak. Na pewno będzie znakomicie pasował do odznaki.

I rzuciła się Jake'owi w ramiona. Przytuliła się, na moment, potem odsunęła i znów spojrzała w ciemne oczy detektywa.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Jake...

- Jak to? Przecież uzgodniliśmy, że najpierw skończysz Akademię, a potem...

- Tak. Ale wiesz... Znasz przecież małego Justina, mojego kuzyna?

- Naturalnie.

- No więc...

Przez chwilę patrzył na nią pustym wzrokiem. I nagle jego oblicze rozjaśnił szeroki uśmiech.

- No nie...

- Tylko tyle? - mruknęła Ashley, kiedy pochwycił ją w objęcia. - Elokwentny to ty nie jesteś.

- No nie... Nie wystarczy?'

- Trochę więcej słów byłoby na miejscu.

- Racja. A więc... kocham cię. Jestem zachwycony i wdzięczny, że zgadzasz się dzielić ze mną życie. Jestem też ogromnie z siebie dumny, Ashley, i bardzo szczęśliwy, że zostaniemy rodzicami. Czy mam coś jeszcze dodać, oficerze Montague?

Wtuliła się w niego mocniej, uśmiechnęła się szeroko, a potem, po chwili udawanego namysłu szepnęła:

- No nie...
- A zatem wszystko sobie wyjaśniliśmy.